Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 22 (1626) ROK XXXII 28 MAJA 1989 ROKU CENA 80 ZŁ

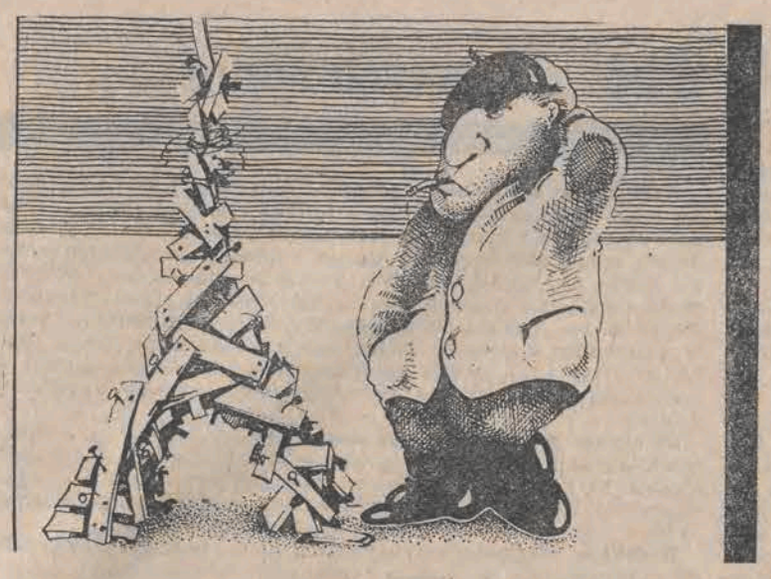

rys. Dariusz Romanowicz

□ ...Już mnie tu nie będzie — str. 1 i 6

□ Kraj, po którym nie można podróżować samochodem — str. 10

□ Koalicja nie jest wieczna — str. 4

□ Spotkanie z Andrzejem Brychtem — str. 7

□ Milicjant też człowiek — str. 5

Reporter „Odgłosów" w Berlinie Zachodnim: rozmowa z ministrem do spraw ochrony środowiska w zachodnioberlińskim rządzie — MICHAELE SCHREYER.

Ochrona środowiska warunkuje dobrobyt

PAWEŁ TOMASZEWSKI — czytaj str. 5

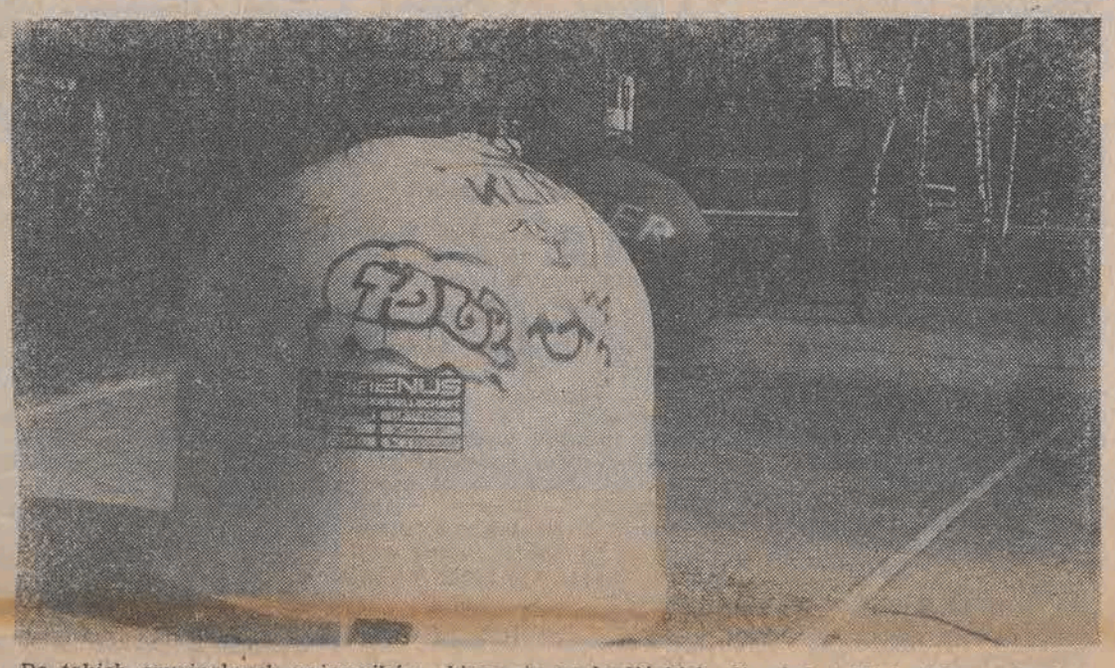

Do takich oryginalnych pojemników zbiera się na berlińskich ulicach butelki i szklaną stłuczkę. Ale dlaczego aż do dwóch obok siebie? Ponieważ pierwszy przeznaczony jest na szkło białe, drugi zaś — na kolorowe.

Fot. Paweł Tomaszewski

Faszyzm i stalinizm nie były dziełem tylko głównych dyktatorów. O powstaniu obu reżimów zadecydowały przesłanki obiektywne i wola milionów ludzi.

Anatomia tyranii

EDMUND LEWANDOWSKI

Wielkie nadzieje XIX wieku brutalnie przekreśliła pierwsza wojna światowa. Wzięło w niej udział 35 państw. Zmobilizowano łącznie 60—70 milionów żołnierzy. Z tego co ósma osoba poległa, co trzecia odniosła rany. Na ogromnych przestrzeniach pojawiły się liczne mogiły i krzyże. W domach znalazło się wielu okaleczonych fizycznie i psychicznie mężczyzn, nawykłych do słuchania i wydawania rozkazów, żądnych odwetu, szukających miejsca w cywilnym życiu.

W powojennych warunkach narodziły się dwa ludobójcze systemy totalitarne: faszyzm i stalinizm. Podstawą ich były interesy milionów ludzi, fałszywa wiara, nadzieja i miłość oraz strach przed więzieniem i śmiercią. Na temat pierwszego reżimu istnieje ogromna literatura naukowa, natomiast drugi zaczynamy dopiero poznawać. Artykuł mój jest próbą lapidarnego wyjaśnienia istoty faszyzmu i stalinizmu.

Zwyczajny faszyzm

Z socjologicznego punktu widzenia faszyzm był masowym ruchem społecznym i ustrojem występującym w Niemczech, Włoszech, Hiszpanii, Portugalii. Silne tendencje faszystowskie ujawniły się również w kilku innych krajach. Można więc mówić o pewnej prawidłowości historycznej.

Faszyzm uchodzi za wytwór świadomości drobnomieszczańskiej. Ale przecież lgnęli do niego także robotnicy, chłopi i pracownicy umysłowi. Połączyło wszystkich namiętne poczucie krzywdy i pragnienie sprawiedliwości oraz potrzeba autorytetu i skrajny antykomunizm. Psychologicznym fundamentem faszyzmu był typowy dla większości niższych klas średnich tzw. charakter autorytarny. Tego rodzaju ludzie szanują silny autorytet, a gdy zaczyna słabnąć, reagują pogardą i nienawiścią. Są to żywioły rebelianckie i destrukcyjne, kierujące się głównie emocjami.

Największą aktywność w ruchu faszystowskim przejawiała młodzież. Faszyzm był buntem młodego pokolenia. Friedrich Meinecke podkreśla, że to młodzież właśnie umożliwiła Adolfowi Hitlerowi dojście do władzy. Udział osób w wieku 20—30 lat był w NSDAP aż dwa razy wyższy aniżeli w SPD. Młodzi zbuntowali się przeciwko starszym i systemowi, ponieważ mieli utrudnione warunki startu życiowego i awansu społecznego.

Trzonem kadrowym faszyzmu byli ekstremiści, ludzie o postawach totalnej negacji i destrukcji. Atakowali cały system polityczny i stopniowo opanowywali instytucje władzy od wewnątrz, w oprawie legalności. Hitlerowcy przechwalali się nawet, że zrobili „*bezkrwawą rewolucję*". Ale w istocie była to — jak trafnie zauważył Franciszek Ryszka — rewolucja przeciw rewolucji. Faszyzm stanowił ruch prawicowy: antymarksistowski, antykomunistyczny i antyradziecki.

Należy pamiętać, że faszyzm powstał w warunkach głębokiego kryzysu gospodarczego i moralnego. Za wszelkie zło obwiniano istniejący ustrój oraz komunistów i Żydów. Faszyści obiecywali rozprawić się z winnymi, wyprowadzić kraj z kryzysu, dokonać odrodzenia moralnego. Dodatkową atrakcją były hasła narodowe. To imponowało nie tylko młodzieży; tym bardziej że za słowami szły natychmiast czyny.

Faszyści niemieccy przedstawiali się jako ruch robotniczy i socjalistyczny. Skrót NSDAP oznacza: Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników. Członkowie nazywali się „*Parteigenossen*" — towarzysze partyjni. Sztandar był czerwony, tyle że ze znakiem swastyki. Uroczyście świętowano 1 Maja. To zmyliło ludzi pracy. Wielu robotników uwierzyło faszystom, a część uległa w atmosferze powszechnego entuzjazmu oraz psychicznego i fizycznego terroru.

Na drodze do władzy faszyści musieli wyeliminować opanujących komunistów i socjaldemokratów. Pomógł im w tym, niestety, Kościół rzymskokatolicki. Hugh R. Trevor-Roper pisze w tej sprawie:

„*Watykan opętany strachem przed komunizmem uważał Włochy i Niemcy za bastion Kościoła i społeczeństwa w Europie. (...) Tak więc zarówno we Włoszech, jak i w Niemczech partia faszystowska doszła do władzy taką samą drogą. Drogę tę otworzył przed nią Kościół katolicki. Naturalnie nie sam tylko Kościół ponosi za to odpowiedzialność. Kościół działał w tym przypadku jako przedstawiciel społeczeństwa konserwatywnego*".

W 1938 roku wydano w Lublinie książkę księdza prof. dr Józefa Pastuszki pt. „Filozoficzne i społeczne idee A. Hitlera". Można w niej przeczytać, że Hitler reprezentuje „*umiarkowany*" kierunek. Autor oceniał, że ideologia ta zawiera „*miażdżącą i najczęściej trafną krytykę rządów demokratycznych*".

Dyktatury totalitarne uważano wówczas za zjawisko normalne. Opierały się zresztą na masach i miały pozornie demokratyczny charakter. Hans Kohn nie bez racji twierdzi, że Adolf Hitler nie podbił mas, lecz je reprezentował...

Faszyzm a stalinizm

Nietrudno zauważyć liczne podobieństwa między faszyzmem i stalinizmem, choć były to reżimy przeciwstawne. W życiu społecznym często sprawdza się znane przysłowie francuskie, że krańcowości się stykają.

Politolodzy zachodni od dawna zaliczają faszyzm i stalinizm do wspólnego typu społeczeństwa totalitarnego. Carl J. Friedrich i Zbigniew K. Brzeziński wyróżnili sześć wzajemnie skorelowanych cech totalitaryzmu: 1) oficjalna ideologia obejmuje wszystkie aspekty ludzkiej egzystencji i każdy obywatel winien się do niej dostosować przynajmniej biernie; 2) jedyna partia masowa, zbudowana hierarchicznie, na czele z jednym przywódcą, jest nadrzędna lub całkowicie zespolona z biurokratyczną organizacją rządową; 3) istnieje system terrorystycznej kontroli policyjnej; 4) partia ma monopol na wszystkie środki masowego przekazu: prasę, radio, film; 5) w tych samych rękach znajdują się środki efektywnej walki zbrojnej; 6) cała gospodarka podlega centralnej kontroli i kierownictwu.

Zdaniem obu autorów, ten syndrom jest zjawiskiem nowym w historii. Wystąpił w państwach faszystowskich i komunistycznych. Jego istnienie umożliwiły nowoczesne środki

3

Gdy człowiek umiera, przed jego oczyma przesuwają się obrazy z jego życia.

...Już mnie tu nie będzie

JAN NOSKO

1.

Potężny huk rozsadzał mu czaszkę i piersi, przetaczał się ciężarem przez rozpalony brzuch wywołując ból w lędźwiach, udach i stopach. Nagłe uderzenie krwi poruszyło leżącego na tapczanie człowieka. Zaczął wolno podnosić się do góry. Oparł się na łokciach.

— To konie tak pędzą — pomyślał z ulgą. Tętent wzmagał się. Dookoła widział teraz krzyczących ludzi pędzących na oszalałych koniach. Brudne, okrwawione twarze, zniszczone szynele, kurtki, papachy, czapki i kapelusze. Karabiny na sznurkach, nogi w łapciach. Mijał go potężny jeździec z podartą dziurawą burką na ramionach. Wymachiwał obnażoną szablą.

— Tam! Tam! — krzyczał coraz głośniej.

Podniósł wzrok. Naprzeciw wyłoniła się sylwetka jeźdźca z oficerskimi szlifami pędząca wprost na niego. Nie mógł unieść szabli. Tamten zamachnął się i ostra lanca trafiła go prosto w brzuch.

— Śmierć chamom! — wrzeszczeli jeźdźcy wyłaniający się z tumanów kurzu i znowu otrzymał potworne pchnięcie poniżej żeber.

Ulica tonęła w oparach mgły. Po lewej i po prawej stronie poszarpane kontury szarych kamienic. Pośrodku, na kamienistej, bulwiastej drodze tory, jakby porzucone. Coś świszcze i szumi. Zobaczył wyłaniający się z ciemności tramwaj. Ach, to czternastka — wyszeptał spieczonymi wargami. To na ulicy Radwańskiej. Tramwaj pędził wprost na niego. Z przodu ma żelazny dyszel, jak w drabiniastym wozie. A on stoi na szynach i nie może ruszyć nogą ani jedną, ani drugą? Wyciągnął ręce przed siebie.

— Aaa — zawył przeciągle.

A.

— *Stefan! Stefan! Co tobie! Uspokój się.*

— *Karolina! Karolina! Obudź się. Trzeba ojcu dać zastrzyk...*

Za szeroką zasłoną błysnęło światło ukazując pokój z jednym oknem. Obok drzwi prowadzące prosto na podwórze. Po przeciwległej stronie, tuż przy żarówce oświetlającej mieszkanie, szamotowy piec. Przy nim stół z naczyniami i chlebem. Tuż za nim łóżko przylegające do ściany. Prostopadle do niego stało drugie, a za nim tapczan. Przy tapczanie stół i kilka krzeseł.

— *Połóż się, tato, połóż się* — powiedziała Karolina patrząc z przestrachem na wymęczoną, chudą twarz ojca. Zwrócił na nią niewidzące, załzawione oczy. Z ust ciekła mu ślina. Pierś szybko podnosiła się i opadała. Z gardła wydobywało się bulgotanie. Usiłował podnieść rękę, ale nie miał siły. Karolina wzięła go pod ramiona i powoli układała na wznak.

Jęczał. Szybko wydobyła strzykawkę, naciągnęła ampułkę morfiny, po czym wbiła igłę w przedramię chorego. Z kieszeni szlafroka wyciągnęła chustkę i wytarła mu twarz. Chory dalej jęczał i rzęził.

— *Może pojechać po lekarza* — zapytał jeden z chłopców, którzy obudzili się i siedzieli na łóżku.

— *To nic nie da* — odpowiedziała Karolina — *zaraz dam mu drugi zastrzyk, to szybko uspokoi się i zaśnie.*

Zaczęła nerwowo i pośpiesznie przeszukiwać skrzynkę z lekami. Wysypała całą zawartość domowej apteczki, ale morfiny nie było.

— *Władziu* — zwróciła się do najstarszego z chłopców — *masz tu receptę i biegnij do apteki. Tylko szybko, bo ojciec będzie się strasznie męczył...*

2.

Poczuł uderzenie gałęzią drzewa. Był w lesie. Nagle wzdrygnął się. Obok siebie zobaczył nieznajomego człowieka.

— Ty kto? — zawołał przestraszony.

— Jak to, kto? Co tobie Stefan? To ja, Romka. Ty zachorował, czy co? Zmęczył się ty też? Oj, to niedobrze. My już piąty dzień uciekamy przez lasy, bagna i wody. Zapomniał ty, czy co, że my od śmierci uchodzim. Stefan! Ty bądź zdrów! Ty mnie już drugi dzień niesiesz, bo ja taki słaby.

Stefan spojrzał na Romkę. Jaki on młody. On zdaje się z Postaw. Tylko czemu on taki chudy, brudny i obszarpany.

6

Adres redakcji:
90 113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36 52 44,

sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80 99,
publicyści 36 77 70, 32 89 70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska Zofia Kędziora Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski
Grafik: Janusz Szymański Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż), Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A Makowski, Zenon J Michalski, Adam Ochocki Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź ul Sienkiewicza 3/5 tel 32 59 11

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel 36 80 99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka Ruch" 91-103 Łódź ul Sienkiewicza 3/5

DRUK Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2 Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW Prasa Książka Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 23 00 958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045 139 11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1547. D-10.

Przegląd prasy

W jakim zakresie Polacy odczuwają sympatię lub niechęć do innych narodów? Na to pytanie odpowiada w kwartalniku „KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO" (nr 4) Aleksandra Jasińska-Kania.

W maju 1987 roku najwięcej Polaków deklarowało sympatię do Węgrów — 45 proc., Francuzów — 41 proc., Włochów — 39 proc., Słowaków — 38 proc., Czechów — 36 proc., Rosjan — 33 proc., Amerykanów — 32 proc. i Japończyków — 31 proc. Na dalszych miejscach znaleźli się (podaję w procentach): Anglicy — 27, Bułgarzy — 25, Hiszpanie — 23, Szwedzi — 21, Rumuni — 18, Wietnamczycy — 17, Niemcy z NRD — 17, Chińczycy — 16, Niemcy z RFN — 13, Murzyni — 12, Żydzi — 11, Cyganie — 8, Arabowie — 7.

A oto odsetki Polaków deklarujących niechęć do wymienionych w ankiecie narodów: Niemcy z RFN — 35, Cyganie — 29, Niemcy z NRD — 24, Żydzi — 16, Murzyni — 15, Arabowie — 14, Rosjanie — 13, Czesi — 8, Amerykanie — 8, Rumuni — 7, Chińczycy — 5, Japończycy — 4, Szwedzi — 4, Bułgarzy— 4, Anglicy — 3, Wietnamczycy — 3, Słowacy — 3, Włosi — 2, Francuzi — 2, Hiszpanie — 2, Węgrzy 1. Pozostali respondenci deklarowali obojętność lub brak opinii o danym narodzie.

W latach 1975—1987 stwierdzono ogólną tendencję spadku pozytywnych i negatywnych emocji w stosunku do większości narodów. W 1975 roku najwięcej Polaków odczuwało sympatię do Rosjan — 59 proc., Węgrów — 54 proc. i Francuzów — 54 proc. Natomiast niechęć wyrażano przede wszystkim do Niemców — 60 proc., Żydów — 41 proc. i Cyganów — 39 proc. Aleksandra Jasińska-Kania zwraca uwagę na spadek uczuć antysemickich w społeczeństwie polskim.

W innym artykule Irena Hurwic-Nowakowska podaje, że w latach bezpośrednio powojennych było w Polsce ponad 200 tys. Żydów. A obecnie liczbę Żydów szacuje się na 5—6 tysięcy.

„Pozostały więc resztki powojennej szczątkowej grupy żydowskiej. Przy tym wśród Żydów mieszkających dziś w Polsce uderza nikły odsetek młodzieży. Jest to, można powiedzieć, pokolenie na wymarciu, ostatnie pokolenie minionych środowisk. Nie istnieje już dziś w Polsce jakieś terenowe skupisko żydowskie w rodzaju Dzierżoniowa z okresu moich badań. W Dzierżoniowie w 1947 r. Żydzi stanowili 40,5 proc. ogółu mieszkańców — swego rodzaju curiosum w powojennych warunkach. Tam odnalazłam ludową, folklorystyczną grupę żydowską o specyficznym kolorycie".

OBCY STUDENCI W POLSCE

W polskich uczelniach pobiera naukę 7080 studentów zagranicznych. Prawie dwie trzecie (65 proc.) pochodzi z krajów rozwijających się, 20 proc. z państw socjalistycznych, 10 proc. ze środowisk polonijnych i 5 proc. z krajów kapitalistycznych. Najwięcej zagranicznych studentów mamy obecnie z Syrii — 670, Iraku — 600, Jemenu — 360, Palestyny — 300 i KRLD — 200. Pisze o tym w dodatku „POLITYKA — EKSPORT — IMPORT" (nr 10) Jerzy Baczyński.

„Prawie trzy czwarte zagranicznych studentów jest stypendystami rządu polskiego. Otrzymują: bezpłatną naukę, zakwaterowanie, wyżywienie oraz stypendia, naliczane procentowo od kwoty stypendiów krajowych. Ostatnio średnie stypendium cudzoziemskiego studenta wynosi 25,5 tys. zł miesięcznie. Jest publiczną tajemnicą, że niektórzy zagraniczni stypendyści pobierają też kieszonkowe (w dewizach) od swoich własnych rządów. Którzy, o tym wiadomo w każdym akademiku.

Mniej więcej co czwarty obcokrajowiec studiuje u nas na zasadach odpłatności dewizowej. (...) Obecnie średnia roczna opłata dewizowa wnoszona przez studenta (lub jego sponsora) wynosi ok. 4,5 tys. dolarów, ale np. studia medyczne są droższe — ponad 5 tys. dolarów rocznie. (...) Obecnie najwięcej studentów, opłacających naukę w dewizach, pochodzi z krajów arabskich: Irak — 430, Syria — 300, Jemen — 180, Libia — 150".

KTO DUŻO ZARABIA?

W 1987 roku było w Polsce 2 317 700 osób mających dochody przekraczające 700 tys. zł rocznie. Stanowili oni około 10 proc. ogółu pobierających wynagrodzenia i czerpiących inne dochody, lecz skupiali w swych rękach około 30 proc. ogólnej sumy dochodów osobistych ludności.

Wstępne dane o polskiej grupie dostatku przedstawili w tygodniku „ŻYCIE GOSPODARCZE" (nr 19) Mieczysław Mieszczankowski i Leszek Pawlicki. Wyodrębnili oni dziewięć grup ludzi o wysokich dochodach. Są to: 1) pracownicy gospodarki uspołecznionej — 500 tys. osób (4,2 proc. ogółu); 2) pracownicy zatrudnieni oficjalnie za granicą — 100 tys. osób; 3) producenci rolni — 330 tys. osób; 4) właściciele prywatnych zakładów — 231 tys. osób; 5) wolne zawody — 167 tys. osób; 6) emeryci — 50 tys. osób (2,7 proc. ogółu); 7) osoby okresowo zarobkujące za granicą — 340 tys. osób; 8) osoby zajmujące się tzw. turystyką handlową (Turcja, Berlin Zachodni i RFN, Singapur, Zjednoczone Emiraty Arabskie, ZSRR) — 330 tys. osób; 9) inne osoby o wysokich dochodach (handel deficytowymi towarami i obcą walutą, nieoficjalne gratyfikacje, łapówki) — 270 tys. osób.

„W grupie 230 tys. właścicieli prywatnych zakładów o przeciętnych dochodach 2,5 mln zł rocznie są multimilionerzy, których dochód roczny wynosił nie 2,5, lecz przeciętnie 8—12 mln rocznie. Należy dodać, że do tej grupy zaliczono także właścicieli lub pełnomocników przedsiębiorstw zagranicznych.

W końcu 1987 r. było na terenie Polski 688 takich przedsiębiorstw o przeciętnym zatrudnieniu ok. 100 osób. Zysk netto tych przedsiębiorstw wyniósł ok. 29 mld zł, tj. ok. 42 mln zł na jedno przedsiębiorstwo".

W tym samym piśmie na sąsiedniej kolumnie Jan Główczyk pisze o proporcjach i dysproporcjach dochodowych w Polsce. Podkreśla on, że wiele gospodarstw domowych dochodzi do poziomu minimum egzystencji, a nawet spada poniżej tego poziomu.

W latach 1980—87 najbardziej poprawiła się sytuacja gospodarstw domowych chłopów. Wysunęły się one na drugą pozycję po inteligencji. Natomiast pogorszyła się pozycja gospodarstw robotniczych, które znalazły się w najgorszej sytuacji materialnej na tle pozostałych grup. Dlatego w ubiegłym roku robotnicy tak ostro zareagowali na operację cenowo-dochodową.

UPADEK NASZEJ GOSPODARKI

Sytuacja materialna ludności zależy od stanu całej gospodarki polskiej, która przeżywa głęboki kryzys. Pod względem dochodu narodowego na jednego mieszkańca (około 3000 dolarów) należymy do najniżej rozwiniętych krajów Europy. A wskaźnik eksportu lokuje Polskę na przedostatnim miejscu (wyprzedzamy tylko Albanię). Przypomina to w miesięczniku „WIĘŹ" (nr 3) Ryszard Bugaj.

U progu 1988 roku dochód narodowy Polski na jednego mieszkańca był niższy o 13 proc. niż w 1978 roku. Dochód podzielony był niższy o 18 proc. Płace realne spadły o ponad 20 proc. Zadłużenie zagraniczne wzrosło do 40 mld dolarów na Zachodzie i 6,5 mld rubli na Wschodzie. Mamy dramatyczną sytuację mieszkaniową, skrajnie zdewastowane środowisko naturalne, zaawansowaną dekapitalizację znacznej części majątku produkcyjnego i rosnącą lukę technologiczną.

„Podupadło polskie państwo opiekuńcze. Pogarszają się świadczenia służby zdrowia, oświaty (niskie wskaźniki skolaryzacji), opieka nad ludźmi starymi itp. Jednocześnie postępuje tu żywiołowa komercjalizacja. Ma miejsce duże i rosnące zróżnicowanie dochodów, co przy obniżonym poziomie przeciętnym zaowocowało wzrostem grupy ludności znajdującej się w warunkach ostrego niedostatku".

Niebezpiecznym zjawiskiem jest spadek pogłowia trzody chlewnej w gospodarstwach indywidualnych z 15,5 mln sztuk w 1980 roku do 14 mln w 1988 roku. Zjawisko to dokładnie analizuje Ludwik Staszyński w miesięczniku „WIEŚ WSPÓŁCZESNA" (nr 2).

W latach 1980—1988 obsada trzody chlewnej na 100 hektarów użytków rolnych wzrosła tylko w 10 województwach, a w pozostałych spadła. Przy czym w 21 województwach był to spadek bardzo duży (od 20 do 40 proc.). Największy wzrost zanotowały: poznańskie (14,5 proc.), toruńskie, łomżyńskie, leszczyńskie, bydgoskie (12,6 proc.), ciechanowskie i suwalskie (7,3 proc.). Natomiast największy spadek miały kolejno: jeleniogórskie (40,6 proc.), rzeszowskie, wrocławskie, krośnieńskie, wałbrzyskie, szczecińskie, legnickie, nowosądeckie (33,5 proc.), przemyskie, gorzowskie (30,2 proc.).

W grupie województw, w których nastąpił duży spadek obsady trzody chlewnej, znalazły się prawie wszystkie województwa zachodnie i północne. Silny spadek wystąpił również w rejonach zurbanizowanych (bielskie, katowickie, warszawskie, wrocławskie) oraz w województwach południowych i środkowych. W miejskim województwie łódzkim pogłowie zmalało o 9,8 procent.

Ludwik Staszyński twierdzi, że przyczyną regresu lub stagnacji chowu trzody chlewnej jest przede wszystkim nieopłacalność, a nie ograniczenie importu zbóż. Dodatkową przyczyną są trudności opałowe i rosnące ceny węgla. Obserwacje wskazują, że postęp dokonał się w tych rejonach, gdzie podstawą żywienia świń stają się suche pasze zbożowe kosztem ziemniaków.

STO ODCIENI CZERWIENI

W dyskusjach dotyczących nadbudowy politycznej coraz częściej stawiany jest problem socjaldemokratyzacji PZPR. Zdaniem prof. Mariusza Gulczyńskiego doświadczenia socjaldem. ji mogą być przydatne, ale nie wystarczające. W wywiadzie udzielonym nowemu tygodnikowi publicystyczno-informacyjnemu „ZMIANY" (nr 2) mówi:

„Socjaldemokracja nie radzi sobie w krajach, w których ongiś sprawowała władzę: w Wielkiej Brytanii, w RFN. Nawet we Francji, gdzie raczej panuje niż rządzi, i o tyle utrzymuje pozycję, o ile wyzbywa się lewicowości".

Socjaldemokracja sprawdza się tylko w krajach bogatych i w okresach dobrej koniunktury gospodarczej. Natomiast nie sprawdziła się w słabiej rozwiniętych krajach kapitalistycznych (np. w Argentynie, Chile) i tym bardziej nie może sprawdzić się w Polsce. Dlatego powinniśmy sięgnąć po wszystkie doświadczenia, jeżeli okażą się przydatne, choć najbliższa jest nam socjaldemokracja i to co lewicowe w chrześcijaństwie.

„Siły politycznego przywództwa i politycznego kierownictwa w partii zamiast walczyć o monopol władzy powinny stawiać na hasło: nie ma wroga na lewicy. Postępować zgodnie z hasłem: niech rozkwita sto odcieni czerwieni. Nie powinniśmy popełnić błędu, jaki popełnił Kościół katolicki w obliczu reformacji, zwalczając ją ostrzej niż pogaństwo. Z perspektywy dziejowej widzimy, że ruchy reformatorskie spowodowały umocnienie się chrześcijaństwa. Kościół katolicki stał się tym mocniejszy, im bardziej stawał się ekumeniczny".

Mariusz Gulczyński radzi Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, żeby ustawiła się ekumenicznie wobec wszystkich odcieni lewicy. Wyjaśnia przy tym, co dziś oznaczają pojęcia lewica i prawica.

E. L.

Z kół zbliżonych donoszą...

Rozwija się kampania wyborcza. W sobotę i niedzielę odbyły się różne imprezy rozrywkowe i festyny, podczas których kandydaci na posłów i senatorów prezentowali swoje programy. **Antoni Szram** miał latać balonem. Ale do momentu zamknięcia numeru nie udało się ustalić, czy fakt ten miał już miejsce. Natomiast przed Łódzkim Domem Kultury, gdzie odbywa się międzynarodowa wystawa plakatu filmowego, widzieliśmy **Antoniego Szrama** w gustownym kapeluszu. Komu zależy na kulturze, niech głosuje na Szrama! Przy okazji przypominamy, że Antoni Szram był pierwszym laureatem nagrody „Odgłosów" za upowszechnianie kultury.

Stanisław Kwiatkowski poinformował telewidzów o wynikach ostatnich badań nastrojów społecznych. Niestety, województwo łódzkie znalazło się w czołówce tych rejonów gdzie nastroje są najgorsze. Za nim idą radomskie i szczecińskie. Natomiast sieradzkie jest wśród tych, gdzie nastroje są dobre.

Redakcja „Odgłosów" otrzymała od posła **Andrzeja Gawłowskiego** podziękowanie w imieniu Zespołu Poselskiego Miasta Łodzi za współpracę. Poseł **Andrzej Gawłowski** był przewodniczącym zespołu. W wywiadzie dla „Odgłosów" powiedział, że nie będzie kandydował ponownie. Stało się jednak inaczej. Kandyduje. I bardzo dobrze! Życzymy mu, aby ponownie był wybrany!

W środę (17 maja) TVP nadała późnym wieczorem relację ze spotkania w Gdańsku, w którym uczestniczyli **Aleksander Kwaśniewski** i **Adam Michnik.** Było to niebywale interesujące i atrakcyjne spotkanie, przykład tego, jak powinna wyglądać kultura polityczna. Tej kultury politycznej powinni uczyć się niektórzy prezenterzy telewizyjni i działacze Komitetów Obywatelskich „Solidarności".

Z „Gazety Wyborczej" dowiedzieliśmy się, że Zarząd Regionu Ziemi Łódzkiej „Solidarności" — struktura konkurencyjna do Regionalnego Komitetu Wykonawczego „Solidarności" podlegającego Lechowi Wałęsie — nie wysunął własnych kandydatów, a popiera tylko tych z listy Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego, których kandydatury były wcześniej uzgodnione, czyli tych, którzy „stoją na gruncie wartości chrześcijańskich" oraz innych przedstawicieli opozycji: **Karola Głogowskiego** z Ruchu Wolnych Demokratów i **Jana Keplera** — dyrektora Muzeum w Pabianicach.

Z Biura Wyborczego Edwarda Bryla wpłynęła prośba o zamieszczenie informacji o możliwości wpłacania pieniędzy na jego konto wyborcze: **Ogólnopolska Agencja Wydawniczo-Reklamowa „Anons": PKO — Bank Państwowy I Oddział w Łodzi nr 47513—60307—136 z dopiskiem: „Fundusz wyborczy".** Prośbę spełniliśmy.

Z przyjemnością odnotowujemy pogląd Aleksandra Małachowskiego, który napisał do „Gazety Wyborczej", a tę jego wypowiedź zacytowało „Życie Warszawy". **Aleksander Małachowski** napisał:

„Brzydkimi słowami posługują się jedynie ludzie nie mający nic innego do powiedzenia. Teraz też bywamy pod obstrzałem brzydkich słów. Zdarza się jednak, niestety, że brzydkie słowa wypowiadane są także i z naszej, solidarnościowej strony. Wysłuchałem dziś, 12 maja w pr. III o godz. 8.20 bezimiennego felietonu radiowego firmowanego przez „Solidarność" i pełnego tandetnych, brzydkich słów. Brzydkie słowa odnajduję też raz po raz w naszej wspólnej „Gazecie Wyborczej". Różne połajanki, wydrwiwuszki, podsmrodzianki wypisane takim językiem, choćby i w słusznej sprawie, obniżają autorytet solidarnościowej prasy i radia. Wszystko, co się chce, można powiedzieć językiem godnym i szlachetnym".

Popieramy taki pogląd z całego serca!

Ponieważ nie chcemy naszej rubryki ograniczać tylko do spraw wyborów, donosimy, że już 7 czerwca 1989 roku odbędzie się w Sądzie Wojewódzkim rozprawa o naruszenie dóbr osobistych **Andrzeja Szymczaka** — prezesa spółdzielni „Centrum" — przeciw **Lucjuszowi Włodkowskiemu, Bogumiłowi A. Makowskiemu** i **Jolancie Pol.** O przebiegu rozprawy poinformujemy.

W Łodzi gościem Uniwersytetu Łódzkiego jest obywatel Gruzji, pracownik naukowy jednej z uczelni w Tbilisi. Przyjrzał się on toczącej się walce przedwyborczej i był srodze rozczarowany. U nich to jest dopiero walka. Relacje z wydarzeń w Gruzji przedstawił pracownikom UŁ. Sprawozdanie z tego spotkania postaramy się zamieścić w najbliższych numerach „Odgłosów".

Informujemy, że ze względu na Boże Ciało, które to święto przypada 25 maja, w czwartek, druk „Odgłosów" przesunięto na niedzielę, 21 maja. Z tego powodu numer musieliśmy zamknąć w piątek, 19 maja, a nie w poniedziałek — jak to zwykle czynimy.

Zebrała: BOGDA MADEJ

PS. Teraz tylko ode mnie. Sądzę, że dość już męskiego rządzenia. Do tej pory byłam przeciwna kobietom-działaczkom. Zmieniłam jednak zdanie. Usłyszałam apel pani Anny Szymańskiej-**Kwiatkowskiej** (redaktor naczelnej „Kobiety i Życia"), żeby wybierać mądre kobiety, bo takie w Sejmie i Senacie będą potrzebne. Zgadzam się! Dość już tego męskiego mędrkowania! Z efektami męskich rządów spotykamy się codziennie. W życiu i w domu też. Niestety.

B. M.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Stanisław Wiącek jest ostatnim żyjącym żołnierzem oddziału legendarnego „Jędrusia". Uzyskał w partyzantce stopień podporucznika. Po wojnie został niewinnie skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie. Siedział 65 dni w celi śmierci — niezwykłe losy Stanisława Wiącka przedstawia w obszernym materiale RYSZARD BINKOWSKI. Już za tydzień pierwszy odcinek.

— Wicio dochodził na styk inne wozy, rzucał maszynę w bok, wskakując przed nos wozom na sąsiednich pasach, dosłownie o centymetry ocierał się o cudzą blachę. Trąbili na niego, doganiali, wygrażali pięściami, ktoś nawet strzelił, była dziurka w drzwiach i kulę znaleziono w szoferce — pisze ANDRZEJ BRYCHT.

— Młoda i piękna nauczycielka wyszła w szlafroku. Odebrała z mych rąk zeszyty. Patrzyła w oczy. Poczułem skurcz w gardle. Ku memu zaskoczeniu, przytuliła mnie nagle do siebie. Zakręciło mi się w głowie. Lekkim ruchem rozwiązała węzeł luźnej przepaski i szlafrok rozchylił się ukazując ją całkiem nagą. Nigdy dotąd nie widziałem nagiego ciała kobiety, nie czułem jego ciepła, nie doznałem poczucia jedności. Zaczęła zdejmować ze mnie koszulę, wszystko, co przeszkadzało nam w namiętnym zbliżeniu. Upadliśmy na dywan — fragment nowej powieści WIESŁAWA ROGOWSKIEGO.

— Łódź jest miastem najbardziej sfeminizowanym wśród czterdziestu jeden wielkich miast. Na 100 mężczyzn przypada tu 113 kobiet. Wśród ludzi starych przewaga kobiet jest znacznie większa: na 100 mężczyzn przypada ich 171 — pisze prof. WŁADYSŁAW WELFE.

— Domaganie się w chwili obecnej całkowitego zniesienia cenzury jest pewnego rodzaju demagogią. Dlatego, że taka propozycja ładnie brzmi, ale jej realizacja sprawi, iż cenzura w istniejącej sytuacji będzie nadal, tyle że wewnątrz wydawnictw i redakcji — mówi prof. JANINA ZAKRZEWSKA.

— W lesie błysnęło jakieś światło i Bernard zgasił latarkę. Las oddychał swoim tajemniczym nocnym życiem, szemrał i groził tak, jak grożą potępione dusze. Szewc poczuł, że włosy stają mu dęba — powieść ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO.

ze str. 1

walki i propagandy. Różnice między poszczególnymi państwami totalitarnymi wynikały tylko z odmiennych ideologii i tradycji kulturalnych.

Nazizm i stalinizm traktuje jako szczególne przypadki totalitarnych systemów politycznych Wacław Mejbaum. Pod pojęciem totalitaryzmu rozumie on — nawiązując do terminologii Eliasa Canettiego — strukturę instytucjonalną opartą na przeciwstawieniu *„władzy"* i *„masy"*. Systemy takie powstają w wyniku rewolucyjnych ruchów klasowych, narodowych lub religijnych. Ruchy te rodzą się w warunkach głębokiej dyskryminacji wielkich grup społecznych. W artykule na łamach „Zdania" (1988, nr 12) autor pisze:

„Rewolucja październikowa w Rosji jest z tego punktu widzenia przede wszystkim rezultatem buntu mas chłopskich i żołnierskich, doprowadzonych do rozpaczy wyniszczającą wojną imperialistyczną, kontynuowaną w celach absolutnie dla tych mas obojętnych bądź nieakceptowalnych. Przewrót nazistowski w Niemczech staje się zrozumiały, jeżeli uwzględnić rozgoryczenie proletariatu i lumpenproletariatu wywołane przez stagnację gospodarczą w Republice Weimarskiej, a pogłębione w wyniku kryzysu światowego. Analizę porównawczą obu proce .o przeprowadził Andrzej Stawar j.szcze w latach trzydziestych (jest skądinąd skandalem, że prace Stawara nie doczekały się dotąd publikacji w państwowych wydawnictwach PRL)".

W pełni zgadzam się z koncepcją Wacława Mejbauma i podzielam również pogląd, że na uwagę zasługują analizy Andrzeja Stawara (1900—1961). Ten ciekawy krytyk literacki (właściwe nazwisko: Edward Janus) już przed wojną opisał funkcjonowanie faszyzmu i stalinizmu. Jego szkice socjologiczno-historyczne wydał Instytut Literacki w Paryżu. Zbiór zatytułowany „Pisma ostatnie Andrzeja Stawara" (Paryż 1961, stron 247) dostępny jest tylko w niektórych naszych bibliotekach.

Geneza reżimów totalitarnych

Faszyzm i stalinizm nie były dziełem tylko głównych dyktatorów. O powstaniu obu reżimów zadecydowały przesłanki obiektywne i wola milionów ludzi. Żadna jednostka — nawet najwybitniejsza — nie może sama tworzyć historii. Wielkie jednostki mają wprawdzie duży wpływ na proces historyczny, ale muszą być spełnione pewne warunki. Po pierwsze — dana jednostka (jej zdolności i dążenia) musi bardziej od innych odpowiadać interesom jakichś grup społecznych. Po drugie — grupy reprezentowane przez jednostkę muszą być siłą liczącą się w danej epoce. Po trzecie — tylko ta jednostka ma szanse wielkiego awansu i wpływu, która działa zgodnie z ogólnym kierunkiem rozwoju społecznego. Obrazowo przedstawił to Aleksander Hercen:

„Jakkolwiek dobry będzie samowładca — zawsze będzie niczym pływak na wodzie, który faktycznie pozostaje na wierzchu i jak gdyby kieruje nią, w rzeczywistości zaś unoszony jest przez wodę i wraz z jej poziomem podnosi się i opuszcza. Człowiek jest bardzo silny, człowiek zasiadający na tronie jeszcze silniejszy, ale tutaj znowu powtarza się stara historia: silny on jest tylko z prądem, i tym silniejszy, im go lepiej rozumie, prąd jednak płynie i wtedy, gdy on go nie rozumie, a nawet jeśli przeciwstawia się mu".

Jerzy Plechanow pisał, że wpływowe jednostki mogą kształtować indywidualne oblicze wydarzeń, ale nie są w stanie zmienić ogólnego kierunku dziejów. Jeśli więc istniała silna tendencja rozwojowa w kierunku totalitaryzmu, to mało ważne jest, kto stanął na czele całego ruchu. Gdyby nie było Benito Mussoliniego, Adolfa Hitlera i Józefa Stalina, znaleźliby się podobni dyktatorzy. Warto tu przypomnieć fragment listu Fryderyka Engelsa do W. Borgiusa we Wrocławiu:

„Było rzeczą przypadku, że Napoleon, właśnie ten Korsykanin, był dyktatorem wojskowym, którego potrzebowała wyczerpana wojną republika francuska. Ale w braku Napoleona zająłby jego miejsce ktoś inny; dowodem jest fakt, że taki człowiek znajdował się zawsze, ilekroć był potrzebny: Cezar, August, Cromwell etc.".

Benito Mussolini, Adolf Hitler, Józef Stalin i inni dyktatorzy byli potrzebni pewnym grupom społecznym. Działali zgodnie z oczekiwaniami milionów ludzi. Znaczna część społeczeństwa popierała wówczas stosowanie radykalnych środków, akceptowała terror i zastraszenie, domagała się surowego karania tzw. wrogów narodu. W czasach zamętu rewolucyjnego bądź kontrrewolucyjnego rozwój wydarzeń z reguły prowadzi do tyranii. W starożytnych Atenach po rewolucji Solona przyszła tyrania Pizystrata.

Nie wszystkie chyba jednak narody w takim samym stopniu podatne są na przyjęcie totalitarnej dyktatury. Można zrozumieć Niemców i Rosjan, ale jak wytłumaczyć faszyzm we Włoszech? Na predyspozycje Włochów do faszyzmu, co ciekawe, zwrócił uwagę znany reżyser filmowy Federico Fellini. Jego zdaniem Włosi pojedyńczo są ograniczeni i śmieszni, lecz w tłumie groźni i zdolni do idiotycznych działań. Niedojrzałości ich w życiu prywatnym towarzyszy skłonność do faszyzmu w życiu narodowym.

Anatomia tyranii

Fot. Grzegorz Gałasiński

W przypadku faszyzmu i stalinizmu sprawdziło się popularne wśród różnych narodów powiedzenie, że nie ma gorszej rzeczy jak z chama zrobić pana. Bohater powieści Michaiła Szołochowa „Cichy Don", Grigorij Melechow, powiada:

„Nie ma gorszego tyrana, jak z chłopa pana! Oficerowie są paskudni, ale jeśli taki od gnoju zostanie oficerem — kładź się i zdychaj, człecze — gorszego nie znajdziesz".

Podobną myśl spotykamy już w biblijnej „Księdze Przysłów". Autor z piątego wieku p.n.e. pisał, że ziemia drży i znieść nie może, gdy służąca zostanie panią, głupiec bogaczem, a niewolnik królem.

Należy tu podkreślić, że faszyzm i stalinizm powstały tylko tam, gdzie istniał szybki i masowy proces ruchliwości społecznej. W krótkim czasie awansowali ludzie z klas niższych, dochodząc nawet do najwyższych stanowisk w państwie. Z dołów społecznych wywodzili się również Adolf Hitler i Józef Stalin.

Wszechwładza biurokracji radzieckiej

Wspom..iany wcześniej krytyk polski Andrzej Stawar uważał, że siłą napędową faszyzmu była energia społeczna chybionej i zwichniętej rewolucji. Faszyści umiejętnie wykorzystali nastroje rewolucyjne do przekształcenia ich w proces kontrrewolucyjny. Natomiast staliniści kontynuowali dzieło rewolucji, ale zlikwidowali demokrację i wprowadzili na wielka skalę przymus. Władzę objęła nowa warstwa kierownicza w postaci po..żnego aparatu biurokratycznego.

Andrzej Stawar nie podzielał poglądu Lwa Trockiego, że powstanie wszechwładnej biurokracji w Rosji związane było z chorobą i przedwczesną śmiercią Włodzimierza Lenina. Jeden człowiek nie mógł zapobiec temu, co wynikało z gospodarczych i społecznych warunków epoki. Proces biurokratyzacji miał charakter obiektywny. Spowodowały go trzy zasadnicze przyczyny: rozproszenie podmiotów gospodarczych, olbrzymia przewaga ludności chłopskiej i skutki wojny domowej. A dodatkowym czynnikiem było niezadowolenie robotników z Nowej Polityki Ekonomicznej i legalizacji burżuazji nepmańskiej.

W koncepcji Andrzeja Stawara funkcjonowanie biurokracji radzieckiej stanowi klucz do zrozumienia stalinizmu. Biurokracja ta potrzebowała wodza. Gdyby nie został nim Józef Stalin, to byłby ktoś inny. Historia pokazała, że walka Stalina z Trockim oznaczała wypędzenie diabła przez belzebuba. Obaj przywódcy mieli dyktatorskie skłonności i zarzucali sobie mniej więcej to samo. Zwyciężył Józef Stalin, ponieważ oparł się na kombatantach wojny domowej i aparacie biurokratycznym, który Lew Trocki krytykował.

„Bolszewizm jako partia nowego typu sformował się dopiero w wyniku wojny domowej. Wówczas dopiero stało się możliwe zaprowadzenie dyscypliny wewnętrznej typu wojskowego, co dawniej, za czasów Lenina, nie udawało się z powodu swoistej masy członkowskiej. Miała ona bowiem swoje w istocie socjaldemokratyczne przyzwyczajenia. Kadra inteligencka zachowała częściowo styl cyganerii politycznej — w sensie w jakim traktował to pojęcie Marks: skłonność do dyskusji zasadniczych, doktrynerstwa, upodobania we wszelkiego rodzaju nowinkach. (...)

Dopiero wojna domowa wytworzyła kadrę nową, o nowym typie myślenia i nawet dała jej przewagę. Ludzie ci mieli za sobą siedem lat wojny: to był ich główny staż polityczny. Ich zasługi partyjne miały charakter wojskowy. Zdarzało się, że po udanych akcjach całe jednostki wojskowe zapisywały się do partii. Często nie mieli zawodu lub go zapomnieli: zawodem ich stało się rzemiosło wojskowe. Z trudem wykuli na pamięć statut partii i przeczytali parę broszurek, nie mieli gustu i nie rozumieli dyskusji, które toczyły się na szczycie partyjnym".

Kombatanci lubili proste formuły polityczne i organizacyjne oraz komendy i dyscyplinę. Nic więc dziwnego, że bardziej odpowiadał im Józef Stalin niż tacy intelektualiści jak Nikołaj Bucharin, Grigorij Zinowiew, Lew Kamieniew, Lew Trocki. Aparat biurokratyczny (szczególnie NKWD) często składał się z prostaków i chamów, którzy dysponowali ogromną władzą.

Włodzimierz Lenin a Józef Stalin

Na początku lat sześćdziesiątych Andrzej Stawar zwrócił uwagę, że Włodzimierz Lenin i Józef Stalin byli ludźmi o diametralnie różnych cechach osobistych. Inaczej też ułożyły się ich losy życiowe. Różnice te w jakimś stopniu znalazły wyraz w ideologii i polityce.

„Od wczesnego dzieciństwa Lenin był zbuntowanym potomkiem klasy rządzącej. Dzieciństwo i młodość miał jeśli nie bogate, to w każdym razie dostatnie. Świetnie ukończona szkoła średnia i uniwersytet stanowiły znakomite uzupełnienie przygotowania życiowego. Jeśli wcześnie dotknęły go prześladowania i krzywdy (śmierć starszego brata za udział w spisku antycarskim), to jednak nie przestał należeć do środowiska ludzi uprzywilejowanych nawet prawnie, z tytułu pochodzenia.

To wyrobiło w nim cechy, które posiadają na ogół ludzie środowisk dziedzicznie obciążonych dobrym wychowaniem. Bezwzględny w polityce, Lenin w stosunkach osobistych odznaczał się swoistą przyjacielską dobrodusznością i lojalnością — brak tych cech zrażał go właśnie do Stalina, co znalazło zresztą wyraz w pozostawionych przez niego dokumentach.

Stalin, syn ubogiego szewca-partacza, wczesne dzieciństwo spędzał, jak to mówią, na ulicy, dzieciństwo pełne niezawinionych krzywd i upokorzeń, które pozostawiły niezatarty ślad. Jedynym zakładem naukowym, w którym przebywał, było seminarium duchowne. Aczkolwiek ta próba kariery duchownej wcześnie została przerwana, wywarła nań silny wpływ. Specyficzny reżym tego rodzaju zakładów, nastawionych na agresywne modelowanie indywidualności elewów, łączył się z cechami nabytej tam kultury umysłowej. Czernyszewski — sam wychowanek seminarium — pisał o swoistym typie dialektyki, panującym w tych zakładach. Właściwości charakteru Stalina, utrwalone przez wczesną młodość, czyniły go strasznym przede wszystkim w stosunkach osobistych z najbliższymi, co potwierdza wiele źródeł. Podstępność i brak lojalności uczynił narzędziem politycznego działania i trzeba stwierdzić, że okazało się to skuteczne w specyficznych warunkach Kremla, który bardzo szybko wrócił do tradycyjnych cech bizantyjskiego dworu pełnego zakulisowych intryg i podkopów. (...)

Niezawodnie w ostatnim okresie wystąpiły pewne patologiczne rysy osobowości Stalina, które rozwinęły się w sprzyjających warunkach. Tutaj na wstępie uwaga: Lenin, czując zbliżającą się starość, cytował słowa Turgieniewa, że największym właściwie występkiem — skazą człowieka jest ukończenie 55 lat. Lenin, jak wiadomo, tej daty nie doczekał".

Andrzej Stawar sugeruje, że gdyby Józef Stalin umarł wcześniej, to nie dopuściłby się tak okrutnych i patologicznych czynów. Podobnie sądzi o cesarzu rzymskim Tyberiuszu. Nie przekonuje mnie jednak wprowadzenie cezury 55 lat (Stalin osiągnął ten wiek w 1934 roku). Bardziej prawdopodobna jest koncepcja szaleństwa cezarów.

„Proszę się postawić w sytuacji człowieka, który przez otoczenie traktowany jest z największym uwielbieniem pomieszanym ze strachem, karmiony pochlebstwami do przesytu. Jednocześnie człowiek ten czuje, że jest otoczony ludźmi, którzy czekają na pierwszy fałszywy krok, aby go powalić. Nie wie, czy wśród dworaków, na pozór lojalnych, nie dojrzał spisek, czy filiżanka herbaty, którą mu podają, nie zawiera trucizny, a lekarz, który zbliża się z zastrzykiem — może po to, aby go uśmiercić. Ta niezwykle napięta sytuacja, w której znajduje się tyran, gwałtowne przejścia, praca podejrzliwej wyobraźni, wystarczają aby zachwiać równowagę nawet silnego systemu nerwowego, jakim obdarzony był niewątpliwie przez naturę Stalin".

Przypadek czy konieczność dziejowa?

Nie potrafię kategorycznie odpowiedzieć na pytanie, czy faszyzm i stalinizm były nieuchronne? Myślę jednak, że trudno było uniknąć tych reżimów. W wielu różnych państwach istniały społeczne przesłanki totalitaryzmu. Systemy ludobójcze powstały w Niemczech, Rosji, Kampuczy. A przywódcy Czerwonych Khmerów studiowali na Sorbonie. Khieu Samphan i Hou Youn obronili nawet prace doktorskie...

Możemy dziś spekulować, co by było, gdyby kto inny doszedł do władzy bądź inaczej zachowały się określone siły społeczne. Ale przecież faktem jest, że faszyzm i stalinizm istniały w XX-wiecznej Europie i to przy ogromnym poparciu społecznym.

EDMUND LEWANDOWSKI

Z tej ziemi

Nie powtarzajmy raz już popełnionych błędów

1.

Mam zamiar podjąć się dość ryzykownej pracy. Namawiać do czytania starych książek. Wiem, że w dobie wszechpanowania telewizji, kiedy można oglądać telewizję satelitarną, to trud niemal daremny, ale chcę się go podjąć, abyśmy mogli sobie uświadomić zagrożenia, jakie niesie nam współczesność. Od lat używamy — przepraszam, nadużywamy — wielkich słów. Wszystko usiłujemy widzieć w wymiarach historycznych: historyczny zjazd, historyczny moment, historyczne wydarzenie. Trzeba wszakże czasu, który weryfikuje wydarzenia, ukazuje je w kontekście innych i nadaje im lub odbiera miano historycznych. Ale cokolwiek by się jednak mówiło, przyszło nam żyć w okresie bez wątpienia przełomowym, kiedy z gruzów stalinowskiego socjalizmu rodzi się coś nowego. Co? Niektórzy mówią: *„socjalistyczny parlamentaryzm"*. Inni jak ognia boją się przymiotnika *„socjalistyczny"*, bośmy go nadużyli. Wolą więc mówić o *„demokratycznym parlamentaryzmie"*. Ale to wszystko są ledwie zarysy tego, co powstaje. Wiążą się z tym nasze nadzieje, ale niesie to również różne zagrożenia.

„Tęsknota za wprowadzeniem ustroju prawdziwie demokratycznego, którą przeżywa dziś olbrzymia większość polskiego społeczeństwa, nie jest bynajmniej rezultatem jakiegoś chwilowego nastroju politycznego, nie jest reakcją na zawody doznane pod wpływem doświadczeń rządów autorytatywnych. Jest to po prostu etap w wielkim procesie demokratyzacji współczesnych społeczeństw..."

Te — jakże aktualnie dziś brzmiące słowa — napisał Adam Próchnik w 1937 roku. Jego zdaniem *„demokracja jest bowiem jedynym ustrojem, który nadaje się jako trwały ustrój dla człowieka doby dzisiejszej"*. Ale...

„Proces demokracji musi, po pierwsze, objąć wszystkie społeczeństwa, wszystkie narody i państwa, ogarnąć swym zasięgiem cały świat. Po drugie, musi sięgnąć w głąb, musi przeorać wszystkie dziedziny życia. Demokracja polityczna to dopiero faza wstępna, to droga do istotnej demokracji, która musi przeniknąć całokształt życia. Musi nastąpić demokratyzacja kultury, demokratyzacja podstaw społecznych przede wszystkim..."

I te słowa nie straciły na aktualności.

Dlaczego je przytaczam? Czy tylko dlatego, że nie straciły na aktualności? A może jedynie po to, aby podeprzeć się cudzym autorytetem?

Nie. W minionych latach, dokonując licznych zwrotów i naprawiając różne błędy i wypaczenia, spychaliśmy w niebyt ludzi i ich myśli, sugerując narodowi, że właśnie wszystko zaczynamy od nowa. Wszystko — no, może większość — było do tej pory złe, zrozumieliśmy swój błąd i zaczynamy od nowa. Była to praktyka niebywale szkodliwa. Zrywaliśmy naturalną łączność z przeszłością, a każdy naród, który zrywa ze swą przeszłością, traci swoją moralną, społeczną i polityczną tożsamość. Tego czynić nie wolno. Do swojej przeszłości, nawet tej najgorszej, trzeba się przyznać. Można ją potępić, odciąć się od niej, jako nie chcianej i złej tradycji, ale nie można jej wyrzucić na śmietnik historii. Trzeba ją rzetelnie i krytycznie ocenić. Tego właśnie nie robiliśmy. Tego właśnie staramy się nauczyć, przyznając się do błędów, zbrodni, rehabilitując idee i ludzi z nimi związanych, przywracając fałszywie oskarżonym cześć i honor, prawo do miłości ojczyzny, ale zabitym lub zmarłym nie przywrócimy życia. I to nie jest posypywanie głów popiołem ani babranie się w przeszłości. To próba zrozumienia sensu historii i sensu naszego działania. To również uczenie się pluralizmu, który jest nieodłączną częścią demokracji.

2.

Z wielkim niepokojem słucham w radiu i telewizji, czytam w ulotkach słowa, których oduczyłem się już używać: *„niezależny"*, *„prawdziwy"*. Pamiętam, jak w tygodniach i miesiącach poprzedzających IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR, kiedy toczyła się w partii zacięta walka o jej przyszłość, niektóre grupy nadużywały słowa: *„prawdziwy"*. Oni byli *„prawdziwymi komunistami"*, oni bronili *„prawdziwego socjalizmu"*, oni byli *„prawdziwymi patriotami"*. Tylko nadmiar bezmyślności, brak tolerancji i arogancja wobec innych pozwala na uzurpowanie sobie prawa mianowania się *„prawdziwym"*. Jest to bowiem mimowolne odrzucenie wszystkich innych, jako *„nieprawdziwych"*. Boleję nad tym, że opozycja przejęła ten niedobry zwyczaj. Ze względów taktycznych narzuciła sobie prawo do monopolu na nieomylność, rację, recepty na rozwiązania kłopotów i trudności i tak dalej. Rozumiem sens tego chwytu taktycznego, ale widzę w tym poważne zagrożenie również dla „Solidarności" i dla całej opozycji.

Mogę zaryzykować tezę, że klęska stalinizmu zawierała się w jego monopoliźmie, w innej wersji „samodzierżawia". Rodzący się stalinizm rodził również wobec siebie opozycję. Podjął z nią walkę i krwawo likwidując wszelkie kolejne opozycje zrodził zaczątek własnej klęski. Nie mając już opozycji rzeczywistej, tworzył fikcyjne, aby w ten sposób uzasadniać swoją niezbędność. Śmiem więc twierdzić, że żaden ruch polityczny czy społeczny nie może istnieć bez naturalnej, silnie z nim związanej, choć mu przeciwnej opozycji. Są to jak dwie połówki jabłka, które mogą istnieć jedynie jako całość, chociaż muszą być wzajemnie wobec siebie w opozycji.

I może się różnym politykom marzyć, że jak wzrosną w siłę, a ludziom się będzie żyło lepiej, to... rozprawią się z przeciwnikiem. I właśnie wtedy podpiszą wyrok na siebie, wejdą w okres nieuchronnej klęski. Opozycja — jak to wynika z przebiegu dziejów — jest zjawiskiem naturalnym. I tak to trzeba traktować.

A *„niezależni"*? Śmiech pusty mnie ogarnia, słyszę i widzę, kto i dlaczego mianuje się *„niezależnym"*. Mam już swoje lata, widziałem tych niezależnych w różnych sytuacjach, a teraz na przykład widuję ich w... kościele. Czyżby to była nowa forma *„niezależności"*?

3.

Jeszcze dwa cytaty ze starych ksiąg.

„Nie granice i nie sąsiedzi, tylko nieład wewnętrzny przyprawił nas o utratę politycznego bytu. (...) Któż nie widzi, żeśmy tak późno zaciągnęli się do grona narodów zachodnich i ich cywilizacji, że stojąc dalej od ogniska tej cywilizacji, tylko pośrednio doznawaliśmy jej wpływu?". — To Michał Bobrzyński tak pisał w „Dziejach Polski" wydanych w 1927 roku. I dalej pisał:

„Upadliśmy wskutek tego, żeśmy się sądzili wyższymi ponad prawa rządzące ludzkością. Zdawało nam się, że nam jednym wolno istnieć bez tego, o co inne narody krwawym dobijają się trudem. Wiedzmy na przyszłość, że pracą, wytrwałością, zapałem, możemy się wznieść wysoko, ale tylko w obrębie przyrodzonych warunków, wskazanych tej pracy, że dla nas jednych w porządku świata nie działy się i dziać się nie będą cuda".

Nikomu niczym nie grożę. Zwracam tylko uwagę, że w dziejach polskiej myśli politycznej były i takie spostrzeżenia, od których nam się dziś odcinać nie wolno, jeśli chcemy stworzyć nowoczesne państwo w nowoczesnej Polsce. A zrobić to musimy. Nie powtarzajmy zatem własnych i cudzych błędów. Zastanówmy się nad myślami starych Polaków. Oni naprawdę mieli rację.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

KAROL JÓZEF STRYJSKI: Dlaczego zdecydowałem się kandydować?

Opowiadam się za Polską suwerenną, dobrze rządzoną!

Zamiast pojechać na kongres pisarzy do Bledu, przepięknej miejscowości u podnóża Alp Julijskich, zdecydowałem się stanąć do rywalizacji w pierwszych po 1948 r. autentycznych wyborach. Startuje w drużynie która broni się przed spadkiem z pierwszej ligi politycznej. Zarzuca się PZPR, że okupując przez 40 lat pierwsze miejsce w systemie niewiele dokonała. Sam uważam, że można było zrobić więcej.

Dlaczego zatem się zdecydowałem?

Po pierwsze — dlatego, że przyjaciele z mojej POP rekomendując mnie uznali, iż czas najwyższy, aby ludzie IX Nadzwyczajnego Zjazdu wyszli z cienia politycznej nieobecności.

Po drugie — aby raz jeszcze móc przeciwstawić się tym, którym marzy się powrót do starego porządku.

Po trzecie wreszcie — bo wierzę w to, co nazywa się konwergencją, czyli upodabnianiem się organizmów i systemów funkcjonujących w zbliżonych warunkach. Dla przyszłego modelu polityczno-ustrojowego Polski oznaczać to powinno zasadę, że socjalizmu tyle, ile jest to możliwe, zaś z kapitalizmu to, co jest konieczne, co jest potwierdzeniem istnienia uniwersalnych reguł ekonomii.

A teraz o sobie: Urodziłem się 42 lata temu, w ostatnim dniu zimy nad rzeką Brynicą, której nurtem biegła ongiś granica dwóch zaborów. Na Śląsku upłynęło moje dzieciństwo i młodość. Korzenie moje sięgają jeszcze dalej od Łodzi, nad inną rzekę, do innych miast i siół opisanych w sadze kresowej „Horynieccy". Od czasu wydania tej szczególnie dużym sentymentem darzonej powieści napisałem pięć innych książek. W styczniu 1989 roku wybrano mnie prezesem Oddziału ZLP w Łodzi.

Moja przygoda z literaturą zaczęła się w młodości. Debiutowałem w czasach studenckich. Z zawodu jestem ekonomistą, historykiem i politologiem. Literatura jest jedną z trzech moich życiowych miłości — pasji. Drugą jest polityka. A trzecia... o niej za chwilę.

W polityce podkochiwałem się od młodości. Wydarzenia Sierpnia '80 wzmogły to uczucie na tyle, że 4 czerwca nad ranem 1981 r. wybrano mnie I sekretarzem KD PZPR Łódź-Śródmieście. Mówią, że wielka miłość nie trwa długo. Tuż po wprowadzeniu stanu wojennego, 4 stycznia 1982 r. odwołano mnie z tej funkcji zarzucając niedyspozycyjność. Cóż, starano się zawsze nauczyć mnie myślenia, a nie ślepego posłuszeństwa. Wszak owa dyspozycyjność stała się jednym z filarów stalinizmu, systemu który był stanem totalnej wojny wypowiedzianej narodowi po 1948 r. Czy powtórzy się w moim życiorysie sukces tamtego czerwca sprzed lat? Przecież znów powróciła demokracja...

Jestem żonaty od 20 lat. Mój syn, Arkadiusz, zdaje aktualnie mature i wybiera się na Uniwersytet. Kandyduję również z uwagi na niego, na jego rówieśników. Chodzi bowiem o to, aby Polska była domem, z którego nie chce się uciekać w dużo lepszy, choć obcy świat. Aby nie stała się zaściankiem Europy, aby była krajem, z którym można wiązać swoje nadzieje. Aby nie żyło się tu tak, jakby za karę.

W wielkim skrócie o moim programie: opowiadam się za Polską suwerenną i silną, sprawiedliwą i dobrze rządzoną; za nieideologicznym charakterem państwa i równymi szansami dla wszystkich; za swobodą tworzenia partii i zniesieniem cenzury. Przeciwstawiam się odbieraniu Polakom prawa do korzystania z dóbr kultury, które stają się luksusem. Poprę każdy rozsądny program wyżywienia narodu, poskromienia inflacji i uczynienia złotówki walutą wymienialną; przywrócenia wartości pracy. Bronić także będę niezbywalnego prawa do życia w zdrowym i bezpiecznym środowisku.

Od szeregu lat mieszkam w Konstantynowie Ł. — jak większość Polaków — w bloku. Mam malucha, którym jeździ głównie żona oraz hobby — zamiłowanie do porządku. A trzecia pasja? To miłość do przyrody: pejzaży i zwierząt. Z moimi kotami rozstaję się tylko na czas podróży.

BOGDA MADEJ: Moim kandydatem na senatora jest Lech Sosnowski.

Najważniejsze: żeby było normalnie!

Co komu dziś mówi nazwa: „ROMAT"? Nic. Jeszcze nic. Ale gdyby napisać „ROMAT dawniej CENTRAL", to byłoby już wiadomo, że wiąże się to z Lechem Sosnowskim. Otóż ten wybitny handlowiec, który przez 17 lat był dyrektorem „CENTRALU" — najbardziej znanego w Polsce domu towarowego — po przejściu na emeryturę długo w spokoju nie wytrzymał. Wybudował dom a teraz wziął się za prowadzenie firmy z kapitałem zagranicznym „ROMAT". Firma mieści się w Andrzejowie.

LECH SOSNOWSKI. Ma 62 lata. Urodził się w Łasku. Tam też zaczął pracę w handlu. Jako pracownik PSS „Społem" został służbowo przeniesiony do Łodzi. Najpierw pracował na Widzewie, a następnie przeniesiony został do „Centralu". I tak już zostało. Przez 33 lata był prezesem Łódzkiego Oddziału PSS „Społem". Ma dwóch synów. Jeden zajmuje się rolnictwem, gos

Przez dziesięciolecia Stronnictwo Demokratyczne miało skromną, prawie całkowicie niesamodzielną, ale stałą pozycję u boku PZPR. Od kilku lat nie mówi się już o „partii i jej sojuszniczych stronnictwach" ale stosuje się określenie „koalicja trójpartyjna". Od kilku tygodni, konkretnie od XIV Kongresu SD, przestało się traktować koalicję z PZPR i ZSL jak nienaruszalny dogmat. Dokonano odkrycia, iż teoretycznie możliwe są różne koalicje, w zależności od rozwoju sytuacji politycznej. Jak daleko można się jeszcze posunąć na tej drodze? Czy aż do wystąpienia SD z koalicji?

— Rzeczywiście, na kongresie pojawiły się głosy, iż koalicję należy po prostu traktować jako formację, zawiązującą się przed wyborami, obejmującą zaś te siły polityczne, które wystąpią z podobnym lub zbieżnym programem działania. Pogląd ten znalazł częściowe odzwierciedlenie w programie Stronnictwa, gdzie sformułowano opinię, iż koalicja trójpartyjna w dotychczasowym kształcie i składzie nie jest przesądzona raz na zawsze. Wyrażono nawet zdanie, że w przypadku, gdyby najbliższe lata nie doprowadziły do realizacji naszych celów programowych, należy się — być może — zorientować na innych partnerów. Należy być przecież otwartym na wszystkie siły społeczne, które powstają — na razie w formie stowarzyszeń — ale w przyszłości zapewne jako partie polityczne. Nie można wykluczyć, iż SD znajdzie się kiedyś w koalicji w tymi nowymi partiami. Zależeć to będzie od rozwoju sytuacji politycznej, od podobieństwa programów, od zbieżności celów. Niczego nie przesądzamy.

— Czyżby to oznaczało, że aktualny podział sił w koalicji rządzącej nie odpowiada aspiracjom Stronnictwa?

— Nie w pełni. Wątpliwości dotyczą sposobu rozdziału mandatów poselskich pomiędzy członków koalicji. Uważaliśmy, że tylko cała koalicja, czyli wszystkie trzy partie, powinny mieć w sumie większość głosów w Sejmie. Tak nie jest, bo więcej niż połowa mandatów należeć będzie do PZPR oraz ZSL. Wynika stąd, że SD nie będzie mogło pełnić roli „języczka u wagi". Zachodzi więc obawa, czy istotnie jesteśmy równoprawnym partnerem koalicji, skoro tak niewiele od nas zależy? Ponadto, niepokoi utrata 10 mandatów w Sejmie. Wszystkie partie koalicji straciły co prawda część swoich mandatów, ale dla nas jest to szczególnie bolesne, bo i tak mieliśmy ich 35 zaledwie.

— Czy wobec tego można oczekiwać, że perspektywa wyjścia SD z koalicji nie jest li tylko teoretyczna, że jest bliska?

— W perspektywie obecnej kadencji jest to mało realna ewentualność. Siła każdej partii leży nie tylko w jej programie, ale i w liczebności, w możliwościach organizatorskich itp. My, co prawda, nie mówimy już, że jesteśmy partią kadrową — mówimy od niedawna, że jesteśmy otwarci na całe społeczeństwo — ale nie ma co ukrywać że sił mamy stosunkowo niewiele. W warunkach np. aglomeracji łódzkiej, realizacja samodzielnych zadań nawet w układzie rządzącej koalicji może dla nas stanowić określoną trudność. Chcemy być samodzielni, przygotowujemy np. alternatywne, kompleksowe programy w dwóch najbardziej — naszym zdaniem — zaniedbanych dziedzinach łódzkiego „podwórka": gospodarki komunalnej (zwłaszcza remontów) i ochrony środowiska. Nie będzie to jednak łatwe. Zdajemy sobie sprawę choćby z tego, że brakuje nam wielu fachowców.

— Innymi słowy, z jednej strony nie możecie na razie wyjść z koalicji, bo jesteście za słabi, a z drugiej strony — nie wykluczacie, że z niej wyjdziecie, gdy tylko będziecie silniejsi... Z punktu widzenia interesów PZPR, nie jesteście więc pewnym sojusznikiem.

— Przede wszystkim chcę podkreślić, że jesteśmy nadal lojalnym partnerem tej koalicji. Ale myślę, że dobrze się stało, iż postawiliśmy nad koalicją znak zapytania. Każdy z jej członków powinien mieć świadomość, że nie jest ona wieczna — w obecnych warunkach może ją to jedynie umocnić, bo umocni się w ten sposób wzajemna współzależność partnerów.

— Co zamierzacie uczynić, aby za 4 lata, gdy przyjdzie zdawać egzamin w całkowicie wolnych wyborach, Stronnictwo było silniejsze?

— Nasz program, ze względu na jego humanistyczne treści i problematykę suwerenności narodu adresowany jest do ogółu społeczeństwa, a przede wszystkim — do środowisk inteligencji, do lekarzy, nauczycieli, inżynierów, ale również do rzemieślników, z których wielu posiada wysokie kwalifikacje i wykształcenie. W najbliższym czasie odbędzie się szereg spotkań w społeczności akademickiej Łodzi, skąd coraz częściej trafiają do Stronnictwa osoby, zgłaszające swój akces do SD. Wzmożone zainteresowanie naszą działalnością panuje wśród części młodzieży. Renesans przeżywają Koła Młodych Demokratów, w kwietniu powstała zupełnie nowa organizacja — Unia Młodych Demokratów Słowem — otwieramy się szeroko, znacznie szerzej niż dotychczas.

— Zapytam wprost: czy rozpoczniecie w najbliższym czasie akcję szerokiego naboru członków do SD?

— Sądzę, że nie będzie żadnych akcji. Natomiast wszyscy zainteresowani działalnością SD, którzy się do nas zgłoszą, mogą liczyć na życzliwe przyjęcie.

— Jesteście za wolnymi wyborami, ale możecie w nich przepaść... Czy to nie paradoks?

— Mamy świadomość niebezpieczeństwa przegranej, ale nie wolno nam zrezygnować ze szczytnych idei, jakie od lat głosimy. Nie zrezygnujemy więc z walki o pełną suwerenność narodu, o wyzwolenie społeczeństwa spod omnipotencji państwa. Nie zrezygnujemy z walki o przywrócenie znaczenia swobodnego rozwoju osobowości człowieka, swobodnej przedsiębiorczości, swobodnego kształtowania własnego otoczenia. Z tego wszystkiego nie zrezygnujemy choćby się to miało w ostatecznym rachunku obrócić przeciwko Stronnictwu.

— Jak realizuje się zasady koalicyjnego współdziałania na terenie Łodzi?

— Komisja Współdziałania PZPR, ZSL i SD ma wiele formalistycznych zaszłości. Nie mogła wypracować dotychczas jakichś bogatszych, ciekawszych form pracy. Konsultacje ograniczały się przeważnie do momentów trudnych dla kraju, bądź wynikały z oczywistych potrzeb związanych np. z kampanią wyborczą. Kilkakrotnie podejmowano próby utworzenia sekretariatu, planów współpracy... ale jakoś nic z tego nie wyszło. Te zaszłości wyznaczają w pewnym stopniu ciągle zbyt skromne ramy międzypartyjnej współpracy, choć od kilku posiedzeń komisji widoczna jest jednak pewna poprawa... W lecie 1989 roku zerwano z niepisaną zasadą, iż posiedzeniom komisji przewodniczy reprezentant PZPR, zaś jej obrady odbywają się w Komitecie Łódzkim PZPR bądź w którymś z komitetów dzielnicowych. Na przykład ostatnie posiedzenie komisji, poświęcone ocenie kierowniczej kadry województwa odbyło się w siedzibie Łódzkiego Komitetu SD, w atmosferze swobodnej wymiany myśli, bez narzucania poglądów jednej tylko strony... Są to pierwsze objawy zmiany klimatu.

— Czy to prawda, co mówiono na XIV Kongresie, że w przeszłości kandydaci na przewodniczących terenowych organizacji Stronnictwa musieli być akceptowani przez sekretarzy instancji PZPR?

— W latach 60. i 70. pełniłem funkcję sekretarza Wojewódzkiego Komitetu SD przez kilka kadencji. Nie przypominam sobie, żeby konsultowano moją osobę z wojewódzką instancją PZPR... A przynajmniej — zweryfikuję swoje twierdzenie — nie uzależniano wysuwania danej kandydatury od zgody i akceptacji władz PZPR. Natomiast było w zwyczaju, że przed zjazdami wojewódzkimi SD ustępujące władze Stronnictwa zapraszały swych sojuszników (również z ZSL) na spotkanie w dość wąskim gronie, udzielając informacji co do osób, jakie zamierza się wysunąć na kierownicze stanowiska. Kilkakrotnie uczestniczyłem w tych rozmowach, chociaż o mnie też wtedy mówiono. Nie spotkałem się z zastrzeżeniami, dotyczącymi mojej osoby... Ale w terenie bywało różnie. Mieliśmy określone trudności z naszymi kandydatami w Zduńskiej Woli, w Tomaszowie...

— Czy to znaczy, że sojusznicy wnosili sprzeciw? Jak było w takich przypadkach wyjście?

— To zależy. Jeśli organizacja SD była wiarygodna i liczyła się na danym terenie, podejmowaliśmy próby przekonywania. Jeśli była słaba, o niewielkich wpływach — musieliśmy czasem ponosić ofiary. Ale były to sporadyczne przypadki.

— Jak by pan określił pokongresowe stanowisko SD wobec swego najważniejszego sojusznika: czy jest to kwestionowanie jego kierowniczej roli? Czy jest to raczej inny pogląd na przewodnią rolę PZPR?

— Bardziej odpowiada mi to drugie określenie... Tradycyjne rozumienie tej kierowniczej roli jest dla nas już obecnie nie do przyjęcia. Sądzę, że powinna się ona wyrażać w ogólnonarodowej inspiracji...

— Ale na kongresie postulowano wojnę na konkurencję na programy polityczne. Jak to pogodzić z pierwszeństwem w „ogólnonarodowej inspiracji"?

— Ależ społeczeństwo samo oceni, który z programów jest atrakcyjniejszy! Nie wykluczam, co prawda, iż koalicja wysunie jeden, wspólny program, pod którym podpiszą się wszyscy trzej partnerzy. Z pewnością byłoby to trudne zważywszy, iż są dziedziny, na które mamy odmienne poglądy. Dotyczy to np. uprzywilejowanej roli wielkiego przemysłu, której jesteśmy zdecydowanym przeciwnikiem, przynajmniej w takim kształcie strukturalnym i organizacyjnym przemysłu, jak obecnie. Małe jest piękniejsze, a dla społeczeństwa bardziej pożyteczne. Myślę też, iż różni nas siła, z jaką kładziemy nacisk na potrzebę dowartościowania inteligencji. W tej inwestii nie musimy wymyślać żadnych komorników. Wiemy dobrze, że to inteligencja, nauczyciele, inżynierowie, naukowcy, lekarze i sędziowie staniowić będą o przyszłości narodu, bez żadnych „ale".

— Nie macie jednak zbyt dużych możliwości reprezentowania inteligencji. W obecnych wyborach, w województwie łódzkim oddano SD do dyspozycji tylko jeden mandat.

— Paradoksalnie, w czasach, gdy byliśmy o wiele mniej samodzielni mieliśmy do dyspozycji aż cztery mandaty poselskie z województwa łódzkiego. Było to wprawdzie „wielkie" województwo, ale i dziś przecież w Piotrkowskiem i Sieradzkiem Stronnictwo nie dysponuje żadnym mandatem, a są tam również środowiska SD.

Skoro jesteśmy już przy wyborach... Czy wie pan, że tylko raz byłem świadkiem prawdziwej kampanii wyborczej? Działo się to w latach 60, kiedy to jeden z przywódców świeckich katolików podjął próbę kandydowania z powiatu wieluńskiego. Rozwinął bardzo aktywną, niespotykaną w Polsce Ludowej kampanię propagandową. Prasę katolicką rozprowadzano po wsiach za darmo; organizowano wiece, które kończyły się czasem przyjęciami przy wspólnym stole, podobno nawet bito z tej okazji świnie... Kiedy jednak przyszło do zarejestrowania tej kandydatury w Komisji Wyborczej, uznano, iż organizacja ta nie jest uprawniona do zgłaszania kandydatur... Teraz mam nadzieję, że po raz drugi będę świadkiem prawdziwej kampanii wyborczej.

Rozmawiał: ANDRZEJ GEBAROWSKI

Współpraca między partiami jest sformalizowana, ale są oznaki korzystnych zmian.

Koalicja nie jest wieczna

Rozmowa z JERZYM RACHOWSKIM, wiceprzewodniczącym Łódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego, członkiem CK SD.

Ochrona środowiska warunkuje dobrobyt

Berlin Zachodni jest miastem, w którym ochronę środowiska naturalnego traktuje się z całą powagą i nadaje jej wielkie znaczenie. A widać to na każdym niemal kroku. Wystarczy bowiem nawet krótka przechadzka, aby dostrzec, że na przykład w wielu domach do osobnych pojemników na śmieci wrzuca się szkło, papier, odpadki organiczne itd., że na wielu ulicach liście z drzew zbierane są do specjalnych worków; że wytrwale i skutecznie pielęgnuje się miejską zieleń i że wszędzie jest po prostu czysto.

Rzecz jasna, powyższe przykłady nie wyczerpują wcale tematu. Są zaledwie powierzchowną, wycinkową ilustracją zjawiska, którego zasięg w rzeczywistości jest dużo, dużo szerszy i które w ocenie obecnych władz nabiera coraz większej wagi. Potwierdza to rozmowa z Michaele Schreyer — senatorem (ministrem) do spraw ochrony środowiska w nowym zachodnioberlińskim rządzie.

MICHAELE SCHREYER ma 37 lat. Pochodzi z Kolonii. W latach 1977—1983 pracowała jako asystentka na Uniwersytecie Berlińskim, gdzie uzyskała też doktorat. Od 1983 do 1987 roku była naukową konsultantką Partii Zielonych w Bonn. Stamtąd przeniosła się do monachijskiego Instytutu Analiz Gospodarczych, gdzie zajmowała się między innymi związkami pomiędzy polityką gospodarczą a ochroną środowiska. Po ostatnich wyborach do Senatu Berlina Zachodniego — desygnowana przez Alternatywną Listę (berlińska odpowiedniczka Partii Zielonych) — objęła 16 marca 1989 r. stanowisko senatora do spraw ochrony środowiska w koalicyjnym „czerwono-zielonym" (SPD — AL) rządzie.

— Czy, pani zdaniem, stan środowiska naturalnego w Berlinie jest dobry, zadowalający, czy zły?

Michaele Schreyer: — Uważam, że jest zły. Oczywiście nie aż tak zły, jak w innych miastach, na przykład w wielu polskich, gdzie doszło już do kryzysu ekologicznego. I trudno nawet porównywać sytuację tam i tu, ponieważ u nas stanu krytycznego nie notujemy w żadnej dziedzinie. Niemniej w niektórych mamy bardzo poważne problemy. Chodzi o gospodarkę wodno-ściekową, czystość powietrza, utylizację odpadów... Z tym, że natężenie tych problemów zmienia się — przede wszystkim w zależności od pory roku.

— Co najbardziej zagraża środowisku Berlina?

— Niewątpliwie największym zagrożeniem jest zanieczyszczenie powietrza, zwłaszcza zimą, kiedy w mieście unosi się smog. Dalej — natężenie hałasu powodowane głównie przez startujące i lądujące samoloty, czego wciąż jeszcze często się nie docenia, a co jest bardzo niebezpieczne dla zdrowia wielu berlińczyków. Wielkim problemem są również odpady, które miasto produkuje w bardzo dużych ilościach, a których nie ma możliwości zutylizować na jego terenie.

— Czy dostrzega pani szanse na zlikwidowanie lub przynajmniej znaczne ograniczenie tych zagrożeń?

— Ochrona środowiska to polityka małych kroków. I z tego powodu poszczególne przedsięwzięcia, decyzje mogą spowodować jedynie częściową poprawę sytuacji. Po prostu z natury rzeczy ich skutki są ograniczone. Ale mam nadzieję, że te małe kroczki będą nas jednak przybliżać do celu.

Jeśli chodzi o powietrze, to przede wszystkim należy dążyć do ograniczenia ruchu kołowego, gdyż właśnie spaliny z samochodów stanowią największe źródło zanieczyszczeń. I będziemy to robić. Tylko że jest to proces długoletni. Bo przecież rzecz polega nie tyle na zmianach jakichś technologii, ile na zmianach przyzwyczajeń i zachowań ludzi, a to musi potrwać.

Pod względem zaopatrzenia w wodę — tak pitną, jak i dla przemysłu — jesteśmy samowystarczalni. Mamy własne ujęcia. A to nakłada na nas szczególny obowiązek ochrony wód powierzchniowych (rzeki i jeziora) oraz głębinowych, gdyż ich zanieczyszczenie znacznie pogorszyłoby sytuację. I tu musimy skoncentrować się na zabezpieczeniu tych miejsc, gdzie dociera do nas woda z zagranicy. Jest to o tyle trudne, iż nie mamy przecież wpływu na ochronę środowiska w Berlinie Wschodnim i całej NRD. A zatem — kolejny złożony i długotrwały proces, związany bowiem z pertraktacjami z drugim państwem.

Oczywiście wpływ na jakość wody mają też zanieczyszczenia gleby, ścieki przemysłowe, a nawet to, co unosi się w powietrzu. Dlatego na przykład uważamy za konieczne zamknięcie dla ruchu kołowego Havelchaussee, która przebiega przez teren szczególnej ochrony wód.

Natomiast w przypadku zabezpieczenia się przed szkodliwym działaniem ścieków przemysłowych nacisk będziemy kłaść głównie na informację i pomoc finansową dla przedsiębiorstw, by te mogły wprowadzać jak najskuteczniejsze środki ochronne.

— Czy w Berlinie wodę z kranu można pić bez przegotowania?

— Tak. Z tym, że i tu jest pewien problem. Otóż w wielu berlińskich domach instalacje wodociągowe są bardzo stare i zbudowane z ołowiowych rur. Ołów przenika z nich do wody, która w tej sytuacji jest szkodliwa dla zdrowia. Aby to wyeliminować, forsować będziemy szeroki program wymiany rur ołowianych na plastikowe.

— Wspomniała pani o ochronie środowiska w NRD. Czy wobec faktu, że Berlin Zachodni jest enklawą na jej terenie, widzi pani możliwość rozwiązania problemów ekologicznych miasta bez udziału Niemców po drugiej stronie muru?

— Nie. W ekologii nie możemy prowadzić polityki izolacji, gdyż dla zanieczyszczeń mur nie jest żadną granicą. Stąd coraz większe znaczenie współpracy międzypaństwowej i rozmów z NRD na temat ochrony środowiska. Mimo wszystko — sądzę — zacząć musimy jednak od własnego podwórka.

Transfer zanieczyszczeń nie jest przy tym jednokierunkowy. Duży udział w zatruciu powietrza nad Berlinem Zachodnim ma NRD. Podobnie — w przypadku wód powierzchniowych. Ale przecież i my wpływamy na stan środowiska po drugiej stronie. Mam tu na myśli przede wszystkim śmieci, które wywożone są i utylizowane w NRD.

Zresztą problem ten jest jeszcze bardziej złożony, gdyż urządzenia do utylizacji, zbudowane przy naszym współudziale, nie są, niestety, na najwyższym poziomie technicznym, a wysypisko i palarnię śmieci Schoeneiche — choć położone na terytorium NRD — mamy jednak pod samym nosem. A zatem i my odczuwamy ich wpływ.

— Słyszałem, iż jedna z pracownic wschodnioniemieckiego ministerstwa do spraw ochrony środowiska oświadczyła na spotkaniu z tamtejszą nieformalną grupą ekologiczną, że w tym przypadku NRD przestrzega norm obowiązujących w RFN.

— Tu chciałabym wyjaśnić, iż zachodnioniemieckie normy dotyczące ochrony powietrza wokół palarni odpadów specjalnych powinny być, naszym zdaniem, ostrzejsze. Stąd nawet przestrzeganie ich w NRD nie odpowiada naszym oczekiwaniom. Poza tym ważne jest również, aby posiadane środki techniczne były lepiej wykorzystywane.

Natomiast jeśli chodzi konkretnie o Schoeneiche, to nie dysponujemy pełną informacją, jak naprawdę wygląda tam ta sprawa.

— A co zamierza pani zrobić, aby problem odpadów — tak komunalnych, jak i przemysłowych — został w Berlinie satysfakcjonująco rozwiązany?

— Najpierw chciałabym jeszcze dodać, iż spora część odpadów specjalnych, przemysłowych zamiast do NRD trafia do innych krajów. Nie wiemy przy tym ani — gdzie, ani — jakie są tego następstwa.

Sytuacja jest taka, że jeśli odpady te deklarowane są na granicach jako artykuły przemysłowe, to mogą swobodnie je przekraczać, gdyż my nie kontrolujemy tego procesu. Powinniśmy więc zacząć to robić. Aby tak się jednak działo, przede wszystkim musimy dokładnie wiedzieć, kto i jakie odpady w Berlinie produkuje. Musimy mieć ich rejestr. Po drugie, należy też ustalić, dokąd i jakimi drogami takie odpady docierają.

— A czy są plany legalnego wysyłania odpadów z Berlina poza NRD, na przykład do Polski?

— Czy są plany? Za dużo pan ode mnie wymaga. Zajmuję swoje stanowisko dopiero od dwóch tygodni. Nie, w tej chwili — o ile wiem — nie ma takich planów. To znaczy, może powiem ostrożniej...

W pierwszym rzędzie powinniśmy dążyć do tego, aby w Berlinie powstawało mniej odpadów. Powinniśmy też jak najszybciej doprowadzić do sytuacji, w której odpady będą mogły być utylizowane u nas, na miejscu. Nie wszystkie jednak metody utylizacji da się w naszych warunkach zastosować. I dlatego pod pewnymi warunkami zgodziłabym się na wysyłanie niewielkich ilości odpadów także do innych krajów. Oczywiście, jeśli będzie gwarancja, że tam zostaną skuteczniej niż u nas unieszkodliwione.

Nie widzę w tym nic złego. W końcu takie surowce wtórne jak szkło czy makulatura też nie zawsze są przerabiane tam, gdzie powstają. Ale powtarzam jeszcze raz: to musi być w pełni kontrolowane i bezpieczne.

— Czy Senat Berlina ma zamiar wspierać finansowo NRD w dziedzinie ochrony środowiska i czy są już w tej sprawie prowadzone jakieś rozmowy?

— Tak, rozmowy takie są już prowadzone. Rzecz w tym jednak, że kompetencje w tej sprawie należą nie do Berlina, a do Bonn. Oczywiście Bonn może nam je częściowo lub w całości przekazać, ale to nie my o tym decydujemy. Krótko mówiąc, chciałam powiedzieć, że płaszczyzna naszych kontaktów oficjalnych z NRD jest, jak na razie, stosunkowo wąska.

Pewne nadzieje można też wiązać z kontaktami z nieoficjalnymi grupami ekologicznymi w NRD, zwłaszcza jeśli chodzi o wymianę informacji. Kontakty te nie są obciążone takim balastem politycznym, jak z władzami. Można się więc w nich skoncentrować rzeczywiście na ekologii. Nie one jednak będą decydować, czy będziemy współfinansować ochronę środowiska w NRD.

Muszę tu też dodać, że w przeszłości były już takie propozycje po naszej stronie. I mam nadzieję, że do nich powrócimy. Całkiem prywatnie zaś mówiąc... W moim przekonaniu, problemy ekologii nie zależą wcale od systemu politycznego, od tego, że na przykład u nas jest gospodarka rynkowa, a gdzie indziej — planowa. I tam i tu mają one to samo źródło, a jest nim fetyszyzacja wzrostu gospodarczego.

— Po nominacji na senatora powiedziała pani publicznie, że zamierza zaostrzyć normy dotyczące smogu. Czy nie sądzi pani, iż jest to tylko ograniczanie skutków, nie zaś — przyczyn? I czy redukowanie, a nawet wstrzymywanie ruchu kołowego w mieście, gdy występuje w nim smog, jest właściwym rozwiązaniem?

— Nie. To jest tylko środek nadzwyczajny, przewidziany na sytuację, kiedy smog już jest. Nie ma natomiast charakteru zapobiegawczego, gdyż po prostu nie może. I dlatego trudno nawet w tym przypadku mówić o ochronie środowiska.

Ale przecież mamy też inne jeszcze normy i przepisy federalne, które nakładają na przykład na fabryki konkretne już obowiązki w dziedzinie ochrony powietrza. I właśnie teraz rozpoczynamy wdrażanie takiego nowego regulaminu, który jeśli będzie wszędzie przestrzegany, przyczyni się — mam nadzieję — do znacznej poprawy sytuacji. Tylko że trzeba to robić szybko i konsekwentnie, aby nie było tak, jak dotychczas, kiedy to egzekwowanie postanowień wielu aktów prawnych dotyczących ochrony środowiska napotykało duże trudności.

— W Berlinie, jak zdążyłem już zauważyć, do ochrony środowiska przywiązuje się dużo większą wagę, niż w większości polskich miast. Czy, pani zdaniem, wynika to tylko i wyłącznie z większych możliwości finansowych i technologicznych, czy też jeszcze z czegoś innego?

— Oczywiście względy finansowe grają tu pewną rolę. Nie chciałabym jednak aż tak silnie ich akcentować, gdyż uważam, że rzecz sprowadza się głównie do świadomości, postawy i woli społeczeństwa i idących za nią działań politycznych.

W Republice Federalnej społeczna presja w dziedzinie ochrony środowiska była prostą reakcją na doświadczane skutki jego degradacji. Degradacji dosyć daleko już posuniętej i to praktycznie w całym kraju. Presja ta uświadomiła wszystkim rządom — federalnemu i krajowym — że jest coraz gorzej i że w związku z tym powinny one coś zacząć robić. Sprawą zajęły się również bardzo poważnie mass-media, co jeszcze bardziej zwiększyło nacisk na władze.

Tu przy okazji muszę pochwalić moją partię, ponieważ z chwilą wejścia jej do parlamentów, zmusiła ona niejako inne partie polityczne do zajęcia się także i tą problematyką. Uważam to za duży jej sukces.

Inna sprawa, że w naszym systemie parlamentarnym społeczeństwo ma większy wpływ na władze, na postawy polityków...

— Co sądzi pani o twierdzeniu jednego z przemysłowców niemieckich, że obecnie mieszkańcy RFN i Berlina żyją w znacznie czystszym środowisku niż kiedyś, zaś narzekania na jego stan, to głównie „zasługa" środków masowej komunikacji i organizacji ekologicznych?

— Rzeczywiście, są ludzie, którzy twierdzą, że problemy ekologiczne rodzą się jedynie dlatego, że dysponujemy coraz doskonalszą aparaturą pomiarową, więc coraz więcej da się zbadać i wykryć. Jest to jednak z gruntu fałszywy pogląd i absolutnie go nie podzielam.

Jeśli spojrzymy, ile towarów ludzie mają dziś do dyspozycji, to istotnie można powiedzieć, że nigdy przedtem nie żyli tak dobrze, jak teraz. Bo na poziom życia patrzy się przede wszystkim przez pryzmat kieszeni. Ale to przecież nie wszystko. Poza tym ten dobrobyt kosztuje. To znaczy, im jest większy, tym większe stają się wydatki na ochronę środowiska, które też go warunkuje. I to należy uwzględnić, mówiąc, jak nam się żyje. Zresztą — coraz więcej wydajemy na ochronę zdrowia, a wcale nie przybywa osób, które twierdziłyby, że fizycznie czują się dziś lepiej niż kiedyś.

Wypowiadana jest również opinia, że dlatego musimy być bogaci, aby stać nas było na utrzymanie środowiska w dobrym stanie. Jest to opinia niebezpieczna, gdyż odwraca priorytety. To ochrona środowiska warunkuje nasz dobrobyt i zdrowie.

— A konkretnie: czy to, że dziś tak dużo mówi się o ekologii, wynika z faktu, iż woda, powietrze, gleba bardziej są zanieczyszczone, niż powiedzmy, dwadzieścia lat temu, czy też — ponieważ wzrosła od tego czasu ekologiczna świadomość społeczeństwa?

— W Berlinie na przykład notujemy w ostatnich latach spadek zanieczyszczenia powietrza dwutlenkiem siarki. Wzrasta jednak zanieczyszczenie tlenkami azotu. Czy jest więc lepiej?

Morze Północne znajduje się na krawędzi śmierci biologicznej. Dwadzieścia lat temu nie było jeszcze tak źle. Więc nie jest to tylko sprawa świadomości. Zresztą to byt kształtuje świadomość.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
PAWEŁ TOMASZEWSKI

ze str. 4

podarzy na ziemi teścia. Drugi jest studentem piątego roku medycyny. Członek PZPR.

Na pytanie: **— Co jest najważniejsze w programie wyborczym Lecha Sosnowskiego?** — odpowiada:

— Program swój skonstruowałem na podstawowej zasadzie: **MUSI BYĆ NORMALNIE!** Co to znaczy? To znaczy, że każdy z nas musi obracać się w normalnych warunkach, normalnie pracować, normalnie odpoczywać, normalnie kupować, normalnie sprzedawać, normalnie mieszkać, normalnie...

Co zatem trzeba zrobić, aby w Polsce zaczęło być normalnie? Trzeba znieść wszelkie bariery, ograniczenia, wszelką sztuczność, wszelki brak zdrowego rozsądku. Nie! Nie nawołuję do anarchii. Musi oczywiście istnieć porządek, musi obowiązywać prawo, ale musi to być prawo, a nie do skrajnych możliwości zbiurokratyzowane przepisy. Nie może być tak, żeby minister decydował o tym, o czym powinien decydować kierownik sklepu. Trzeba też pozbyć się pośredników. Wszelkie zło widzę właśnie w pośrednikach. W gospodarce powinna istnieć prosta struktura: władza centralna i przedsiębiorstwo. Przy czym władza centralna nie może zajmować się przydziałami masła dla sklepów, bo to nie jej rola.

— I to wystarczy? Zbyt to proste, aby było możliwe?

— Możliwe i wystarczy. Tylko że — jak dowodzi niestety praktyka — najtrudniej jest wprowadzić do życia najprostsze rozwiązania. Otóż wbrew wszelkim czarnowidzom uważam, że Polska ma wszelkie możliwości, aby szybko wyjść z kryzysu. Posiadamy przecież liczne surowce. Ale je sprzedajemy. Nie przetworzone. Nie wolno tego robić. Już z doświadczenia „Romatu" wiem, ile trzeba starań, aby otrzymać miedź do produkcji kabli. A dlaczego? Bo eksportujemy surową miedź. Powinniśmy ją natomiast w kraju przerabiać i sprzedawać gotowy produkt. I tak jest nie tylko z miedzią. Tak jest z wszystkimi surowcami.

Druga sprawa — druga dziedzina rezerw, choć nie lubię tego pojęcia — to bylejakość. Jako handlowiec i wieloletni dyrektor „Centralu" wiem, ile wraca do handlu w ramach gwarancji różnych towarów. Śmiem twierdzić, że w każdym samochodzie jest półtora samochodu, bo te pół dołożono w ramach gwarancyjnych napraw. I tak jest w innych towarach. Gdybyśmy zaczęli dobrze produkować, to i towarów byłoby więcej.

— Ale o tym wiemy przecież od dawna. Dlaczego nie można tego zmienić?

— Bo działamy administracyjnie i „łapiemy złodzieja" w gotowym produkcie, a trzeba go szukać w procesie produkcji. Celem produkcji musi być wysokiej jakości towar, a nie cele uboczne, jak fundusz płac, plan itd.

— Gdzie jeszcze są rezerwy?

— W zrównaniu trzech sektorów, w usunięciu barier, które uniemożliwiają im pełne działanie. Niech każdy robi to, na co go stać. Macie możliwości, macie chęć, macie warunki — róbcie. Pod koniec lat czterdziestych, kiedy nie było ograniczeń — szybko zapełniły się półki w sklepach, szybko odbudowano zniszczenia. Zrobiliśmy nową Polskę z gruzów. Potem zaczęły się zakazy i nakazy, i stłamszono wszelką inicjatywę.

— Był czas, kiedy Lechowi Sosnowskiemu proponowano ministerialny fotel, odmówił, teraz walczy o fotel senatora. Dlaczego?

— Dlatego, żeby zrealizować to, o co walczyłem przez wiele, wiele lat. Bo wbrew pozorom minister niewiele może. Traci całą energię i intelektualny potencjał na walce z oporną materią. A ja lubię widzieć efekty swojej pracy. Poza tym nie znoszę biurokracji, a w każdym ministerstwie musi ona z natury swojej być obecna. W Senacie będę mógł się sprzeciwiać wszelkim biurokratycznym zamysłom.

Swoją wyborczą kampanię Lech Sosnowski zaczął nietypowo — na jarmarku w Ozorkowie. Bywa też na meczach ŁKS i Widzewa, co mu również zjednuje sympatyków. Zapowiada też kilka różnych wyborczych niespodzianek.

Prezentowała: BOGDA MADEJ

JAN PŁÓCIENNICZAK: Mam zamiar przejść na emeryturę.

Milicjant też człowiek

— Panie Płócienniczak, a do jakiej partii pan należy?
— Do PZPR! — padła odpowiedź.
— O, kurwa! Co ja zrobiłem, komuniście podpisałem.
Potem mruknął: *— A niech tam* — i odszedł.

Chętnych do złożenia podpisu na liście wyborców Jana Płócienniczaka było tak wielu, że musieli czekać nawet kilka minut w kolejce.

Jan Płócienniczak odpowiadał na pytania, dyskutował, rozdawał autografy.

— Czy może pan zagwarantować, że jak pana wybierzemy, to dzielnicowy będzie bardziej uchwytny? Tak jak jest teraz, to paranoja, żeby nikt nie wiedział, jak wygląda dzielnicowy, a cóż dopiero odczuł jego opiekę. Z reguły jest przecież nieuchwytny.

— Niech pan spojrzy na moje hasło wyborcze: „ze mną bezpieczniej". *Jestem przeciw załatwianiu przez milicję spraw, którymi nie powinna się ona zajmować. Np. przestępczość podatkowa, alimentacyjna, zwożenie pijaków do Izby Wytrzeźwień. I za przeznaczeniem zaoszczędzonego w ten sposób czasu i wysiłku do zwalczania rosnącej ilości napadów, włamań, kradzieży. Będę walczył o zmniejszenie ZOMO o połowę. Zostawiłbym jednostki ZOMO tylko w większych miastach. O przesunięcie tych sił do ochrony naszych osiedli, domów, samochodów...*

Często padało pytanie:

— Jaki jest pana pogląd na karę śmierci?

— W przypadku najcięższych przestępstw, jestem za jej utrzymaniem.

Wiele kobiet przed złożeniem podpisu pytało, jaki jest stosunek kandydata na senatora do projektu ustawy zakazującej przerywania ciąży. Gdy dowiadywały się, że jest za utrzymaniem ustawy z 1956 roku dopuszczającej aborcję, brały długopis do ręki.

ze str. 5

Podoba się ludziom przeniesiony na nasz grunt styl, w którym kandydat nie boi się bezpośredniego kontaktu z wyborcami, nawet z tymi, którzy są mu niechętni. To wyraźnie ludzi ujmowało.

— *A pamięta pan, jak mnie pan ciągnął za włosy?*

— ?

Pułkownik nie pamiętał. A zresztą nawet gdyby pamiętał, to nie przyznałby się. Pani wyciągnęła z torebki fotografię. Było to zdjęcie z drugiej klasy szkoły podstawowej. Chodzili do tej samej klasy.

Jan Płócienniczak jest łodzianinem. Tu ukończył prawo. Rozpoczął pracę zawodową. Następnie przeniósł się do Warszawy.

— *Mógłby pan zadedykować Kasi?* — poprosił szpakowaty mężczyzna. — *To moja córka. Ona pana uwielbia.*

— *A ile ma lat?*

— *Dziewięć.*

— *A skąd mnie zna, z programu? Ale „997" nie jest dla dzieci.*

Z pewnością nie jest, ale i wśród nich cieszy się popularnością. Ale to już zasługa rodziców.

— *Nikt za mną nie stoi* — powiedział kiedyś Jan Płócienniczak — *jedynie Michał Fajbusiewicz, z którym wspólnie robimy program „997".*

— *Ciekawych czasów dożyliśmy* — komentują głośno ludzie — *żeby milicjant ubiegał się o urząd senatora!*

— *Milicjant też człowiek* — powtarzał Jan Płócienniczak. — *Wybierzcie mnie, a nie pożałujecie. Kto inny jak nie milicjant zna się najlepiej na zapewnieniu bezpieczeństwa. Będę opowiadał się przeciw przejawom chamstwa, arogancji i korupcji wśród milicjantów.*

No i faktycznie, czyż nie ciekawe czasy, gdy milicjant sam mówi o przejawach chamstwa wśród funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. Ale zaraz, zaraz, przecież Jan Płócienniczak jako podpułkownik MO podlega dyscyplinie tej organizacji. Nie jest zatem niezależny.

— *Mam zamiar przejść na emeryturę, a jako emeryt zyskam swobodę realizowania swoich postulatów.*

Jan Płócienniczak myśli też o odejściu z programu „997". W tym miejscu westchną jego sympatycy, którym program ten kojarzy się nieodłącznie z osobą Jana Płócienniczaka.

ZOFIA KĘDZIORA

Co ma zrobić samotna matka?

Zmienić pracę na lepiej płatną?

Są zjawiskiem powszechnym na całym świecie. Ich liczbę w Polsce trudno określić, gdyż ma ona tendencje wzrostowe. Samotne matki — wdowy, rozwódki, panny z jednym, dwojgiem, rzadziej trojgiem i więcej dzieci. Zatrudnione głównie w przemyśle lekkim, oświacie i wychowaniu, kulturze, ochronie zdrowia, łączności, handlu. Mimo licznych udogodnień ich sytuacja materialna jest wciąż bardzo trudna. Zarabiają mniej od mężczyzn. Niewielkie zazwyczaj alimenty i zasiłki socjalne stanowią skromny dodatek do pensji.

W lutym 1989 r. przeciętna pensja pracownika przemysłu lekkiego wynosiła 82.894 zł, pracownika handlu i usług 59.871 zł, łączności 53.362 zł. Płace pracowników oświaty, ochrony zdrowia i kultury są dużo niższe. W 1988 roku nie przekraczały 45.000 zł. Obecnie mimo podwyżek sytuacja wcale nie wygląda lepiej — wzrosły płace, ale i wzrosły ceny!

Samotne matki chciałyby zapewnić swoim dzieciom normalne warunki rozwoju — takie same jakie mają dzieci z pełnych rodzin. Czy zawsze jest to możliwe? Latem kobiety borykają się z jeszcze jednym problemem. Gdzie wysłać dzieci na wakacje, tak by wyjazd nie odbył się kosztem znacznego pogorszenia warunków życiowych.

— Gdzie radziłaby pani spędzić tegoroczne wakacje samotnej matce, oczywiście biorąc pod uwagę jej skromne dochody? — z tym pytaniem zwracamy się do pani Iwony Szymańskiej, pracownika Biura Podróży „Orbis".

— *Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Właściwie to najlepszy byłby trzytygodniowy pobyt w Ciechocinku w pensjonacie „Sienkiewiczówka", ale nie znam jeszcze kosztów tej imprezy. Poza tym mamy tygodniowe pobyty w Zakopanem w Hotelu „Kasprowy" w miesiącach maj-czerwiec. Cena — 72.000 zł.*

— To nie jest chyba na kieszeń samotnej matki?

— *Ja tylko mówię, co możemy zaoferować. Poza tym mamy wczasy w miejscowościach nadmorskich. Gdynia, Łeba, Ustka, Rowy, Darłowo. W Łebie, Ustce i Rowach proponujemy kwatery prywatne pierwszej kategorii. Cena w granicach 55.000-66.000 zł. W Gdyni zakwaterowanie w Hotelu „Gdynia" kosztuje trochę więcej — 87.000 zł. Jest jeszcze Augustów za 58.000 zł. Wszystko w miesiącach lipiec, sierpień.*

— A czy organizują państwo kolonie dla dzieci?

— *Tym zajmuje się koleżanka, która w tej chwili jest na urlopie. Ja nie mogę na razie nic powiedzieć na ten temat. Proszę przyjść za dwa tygodnie. W tym też czasie spodziewamy się kolejnych ofert znad morza. Miejmy nadzieję, że tańszych.*

— A gdzie pani radziłaby wybrać się na tegoroczne wakacje samotnym matkom? — pytamy panią Majewską z Biura Podróży „Sports-Tourist".

— *Nie mamy nic dla samotnych matek. Dysponujemy miejscami w kwaterach prywatnych w Szklarskiej Porębie i Zakopanem oraz w pensjonacie w Jastrzębiej Górze. Niestety cena 70.000 zł nie jest chyba na kieszeń samotnej matki.*

Pani Małgorzata Filipska, pracownica PTTK jest większą optymistką:

— *Mamy wczasy trzyosobowe na miesiąc sierpień w sam raz dla samotnej matki z dwojgiem dzieci. Krynica, Międzyzdroje, Ciechocinek, Rabka, Darłówko, Kołobrzeg, Łazy, Ustronie. Cena od 53 000 do 65 000 zł. Mieliśmy też tipiec ale został już sprzedany. Uważam, że cena nie jest zbyt wygórowana.*

Podobnego zdania jest pani Mrowicka, pracownica nowo otwartego Biura Podróży „Mega", mieszczącego się przy al. T. Kościuszki 128.

— *Nasze biuro ma wiele ofert dla samotnych matek. Dla kobiet z dziećmi poniżej trzech lat organizujemy wczasy specjalne. Natomiast kobietom z dziećmi powyżej trzech lat proponujemy przede wszystkim wczasy w miejscowościach Rewal w województwie szczecińskim oraz Rowy. Zapewniamy bardzo dobre warunki: dwuosobowe pokoje, 100 metrów od morza i 50 m od lasu. Wczasowicze mieszkają w pensjonacie ze stołówką i świetlicą. Jest nawet plac zabaw dla dzieci. Druga połowa czerwca oraz druga połowa sierpnia w Rewalu kosztuje 62.000 zł. W sezonie jest nieco drożej — 65 000. Rowy są tańsze: sezon — 58.000 zł, koniec czerwca i sierpnia — 53.000 zł. Ponadto mamy dwutygodniowe wczasy w Mielnie, ale bez wyżywienia. Posiłki wczasowicze gotują sami. Zapewniamy kuchenkę turystyczną. Cena dwutygodniowego pobytu wynosi 25.000 zł, ale niekoniecznie trzeba przyjechać na dwa tygodnie. Przyjmujemy też zamówienia na tydzień lub 10 dni — zależnie od życzenia klientów. Dla amatorów kempingów mamy Juratę: 50 m od morza, cena 58.120 zł.*

7

ze str. 1

...Już mnie tu nie będzie

— Ty co? Ty czemu tak na mnie patrzysz? — zapytał Romka. — Stefan! My przecież z niewoli litewskiej uciekamy. I ja już nie mogę. Ja zupełnie ustał i źle ze mną.

Po twarzy strugami spływał pot, ręce mu drżały. Potknął się o wystający korzeń i runął na ziemię. Stefan wolno podszedł do niego i długo patrzył na leżącego. Nagle zatrząsł się, wszystko sobie przypomniał. Usiłował podnieść leżącego, ale sam był u kresu sił.

— Jaki ja słaby — powiedział i wolno osunął się na pobliską kępę mchu.

— Odpoczniemy chwilę... a potem musimy iść dalej... bo jak nas dogonią! — Przed oczami Stefana przesuwał się obraz minionego czasu. Złe, wykrzywione nienawiścią twarze, ręce zaciśnięte na bagnetach i kolbach karabinów. Uderzenia w głowy, piersi i brzuchy. Zbita, skopana i opluta miazga ludzka ustawiała się w szeregu do kresu swoich dni. Wyrywani trójkami i czwórkami, wchodzili na stołki. Nie czuli zakładanych na szyje powrozów i nie słyszeli towarzyszących im chrapliwych okrzyków:

— Psy! Wściekłe polskie psy! Wilna i świętej ziemi litewskiej naszej chcieliście! Nie będziecie mieli jej nawet po śmierci! Zginiecie na szubienicy! Niech was robactwo pochłonie!...

Stefan poczuł, że z oczu płyną mu nie dające się zatrzymać potoki łez. Przewrócił się na wznak, ale nie widział ani wysokich drzew, ani też nie ukoiła go bezbrzeżna cisza niezmąconego boru leśnego.

Usłyszał parskanie konia. Z okurzonej podróżą bryczki wysiadał starszy, szczupły, o wyrazistej twarzy człowiek. Podbiegł do niego oficer. Chwilę rozmawiali, po czym zaczęli obaj iść w kierunku chwiejących się z umęczenia szeregów.

— Ten... i tamten — usłyszał Stefan. Był słaby od upływu krwi i razów. Nie czuł nawet, kiedy dwaj Litwini wzięli go pod ramiona i pchnęli do przodu. Sądził, że to już ostatnia chwila, gdy poczuł ciepło żywego stworzenia. Otworzył oczy, ręce opierały się o grzbiet zaprzęgniętego do bryczki konia. Zwierzę cicho zarżało.

— Pojedziecie ze mną — usłyszał. Obejrzał się. Za nim stał ów starszy człowiek z bryczki, obok niego pokrwawiony Romka.

— Jestem pastorem — powiedział — potrzebni mi są dwaj ludzie do pracy w moim kościele. Macie szczęście, że Bóg się nad wami zgrzeszmy ulitował i uratował od niechybnej śmierci. Ale — dodał — nie liczcie na pobłażliwość — spojrzał na Stefana jasnymi, wyblakłymi oczami. — Będziecie ciężko pracować, a o strawę musicie prosić moich parafian...

— Romka! — Stefan wytężył głos. — Słyszysz mnie!

— A co — wychrypiał Romka.

— Leż tutaj, a ja pójdę się rozejrzeć — Stefan usiadł i zrobił ruch jakby chciał wstać. Romka z nadludzkim wysiłkiem uniósł głowę.

— Nie zostawiaj mnie tutaj, poczekaj aż umrę, to już niedługo, poczekaj — mówił cicho resztką sił.

Po długich zmaganiach, wreszcie podnieśli się i obejmując się nawzajem, powoli szli. Po godzinie usłyszeli szczekanie psa. Tak się przestraszyli, że prawie biegiem popędzili dalej. Las przerzedził się i oto na jego skraju ukazały się niewielkie zabudowania. Stanęli niezdecydowani.

Wreszcie nie bacząc na nic ruszyli w kierunku podwórza. Zatrzymali się przy studni i zaczęli się rozglądać. Obejście zachęcało do pozostania. Błogi spokój, cisza, obok w domu uchylone drzwi, ulatujący z komina dym. Weszli do środka. Romka dostrzegł ławę i natychmiast upadł na nią do cna wycieńczony. Stefan przysiadł się do stołu i zaczął się rozglądać. Na kominie płonął silny ogień i ogrzewał dwa pokaźne sagany. W rogu stały dwie beczki, dochodziła stamtąd woń kiszonej kapusty i solonych grzybów. Obok cebrzyki z wodą i oparte o ścianę koromysła. Stefan tak był zajęty, że nie zauważył powoli otwierających się drzwi. Ukazała się w nich stara kobieta.

— Kto wy? — zapytała, a głos jej wstrząsnął Stefanem. Odzwyczaił się od normalnych ludzkich głosów. Odwrócił się. Kobieta wpatrywała się w niego jakby chciała przeniknąć go na wylot. — Ty sam? — zapytała.

— Nie — odpowiedział Stefan — tam leży on. — Pokazał na leżącego Romkę.

— A więcej was nie ma? — dopytywała się stara i rozejrzała się.

— Nie ma. Daj jeść, głodni my — Stefan błagalnie uniósł ręce — odpoczniemy, to odwdzięczymy się. My wszystko możemy zrobić.

— A uczciwy ty człowiek — zapytała stara, podeszła do Stefana i położyła mu nagle swoje sękate ręce na ramionach — uczciwy ty, nie bandyta jakiś — zacisnęła ręce, a Stefanowi wydało się, że to jakiś olbrzym, jakiś siłacz schwycił go i chce zdusić. Usiłował wyzwolić się z tego uchwytu. Ale stara potrząsnęła nim i pchnęła. Stefan upadł na ziemię i przez chwilę nie mógł się podnieść.

— A co ty, taki słaby? — stara patrzyła podejrzliwie na Stefana. — Ty uciekasz chyba skądś i ten, tam — pokazała na Romkę. — Wy z lasu wyszli? Nie z drogi? — przepytywała dalej.

— Z lasu, matko, my cztery dni nic nie jedli prócz liści, orzechów, jagód i korzonków — Stefan wolno podnosił się z ziemi, oparł się o stół, uniósł się i ponownie usiadł na ławie.

— Daj jeść — powiedział.

— Ty do Polski uciekasz? — stara zacisnęła usta.

— Taż tu Polska, my swoi — Stefan podniósł wzrok. — Taż tu Polska — dodał.

— Polska tam! — pokazała na oborę. — Tam, za rzeką, oni ją zabrali, to nasza rzeka i nasza ziemia.

— Jeść daj — Stefan czuł, że za chwilę straci przytomność.

— Dam jeść, dam pić, dam, dam — powiedziała stara Spojrzała na Romkę, potem podeszła do komina. Zdjęła pokrywę, buchnęła para. Chwyciła sagan i ruszyła do ławy, na której leżał Romka. Nagle gwałtownym ruchem przechyliła i całą zawartość — wrzący ukrop, wylała na leżącego. Następnie błyskawicznym ruchem uniosła puste naczynie i z całej siły uderzyła w głowę, raz i drugi. Romka upadł na ziemię. Nie żył.

— Za co? Boże! Ratunku! — krzyczał przerażony Stefan. Stara podbiegła do komina i chwyciła drugi sagan, ale półprzytomny z przerażenia Stefan chwycił koromysło i z całej siły pchnął ją i nie bacząc na przeraźliwy skowyt poparzonej kobiety wyskoczył na podwórze. Uciekał w kierunku rzeki cały czas krzycząc: Ratunku! Ratunku! Na pomoc...

B.

— *Tato! Tato! Uspokój się* — wołali na przemian Karolina i chłopcy — *Uspokój się! Wszystko będzie dobrze.*

— *Aj! Pomóżcie* — chory usiłował podnieść się. — *Pomóżcie* — wołał. — *Nie dajcie zginąć śmiercią straszną!*

Karolina ocierała mu twarz.

— *Jeszcze chwilę wytrzymaj* — powiedziała — *zaraz Władzio wróci z apteki, zaraz będzie dobrze.*

— *A, to ja w domu* — powiedział i kurczowo trzymał ręce dziewczyny. — *Ach! Jaki straszny sen miałem, jaki niedobry* — mówił i dalej silnie wpatrywał się w Karolinę.

Drzwi z trzaskiem otworzyły się i do pokoju wpadł zziajany chłopiec.

— *Czemu tak długo?* — zapytała Karolina — *ojciec obudził się i strasznie męczy się.*

— *W aptece mnie zatrzymali jako podejrzanego, bo na recepcie wypisane było dwadzieścia ampułek i przyjechał milicjant, żeby mnie spisać* — mówił szybko.

Karolina wyrwała pudełko z rąk Władka i szybko zaaplikowała dwa zastrzyki.

3.

Wieczór nadchodził. Koń ostro chrapnął. Powoli otwierał zamknięte powieki. Poczuł, że po lewej nodze coś się porusza. Ogarnął go strach. W kierunku brzucha przesuwał się wąż, ciemny, w żółte cętki. Posuwał się dalej i znalazł się na piersi.

Ukąsi mnie teraz i koniec ze mną — pomyślał. — I dlaczego to mnie wciąż coś złego spotyka.

— Och! — krzyknął.

Na pierś spadła głowa kasztanka. Koń błyskawicznie zacisnął zęby na głowie żmii, poderwał ją do góry, a kiedy ciało gada spadło na ziemię, rozdeptał je kopytami. Następnie zarżał, uniósł ogon i popędził do stojących w pobliżu domów. Stefan podniósł się z ziemi i zawołał:

— Stój! Stój! Podziękować ci chcę! — zaczął biec za oddalającymi się końmi. Biegł coraz szybciej, ale konie coraz bardziej się oddalały.

Ale co to? Konie zawróciły, a na czele kasztanek. Pędziły wprost na niego.

Stratują mnie — przestraszył się. Ale konie z hukiem zatrzymały się tuż przy nim, a kasztanek ocierał się o niego jakby prosił o opiekę przed czymś nieznanym i strasznym. Dźwięk narastał. Słychać było krzyki, śpiewy i wołania. Konie coraz bardziej niepokoiły się. Wtem spoza opadającego kurzu ukazał się czołg — jeden, potem następny. Siedzieli na nich ludzie i machali do niego rękami. Wreszcie na wieżyczce zobaczył pięcioramienną gwiazdę.

— Sowieci? — patrzył z niedowierzaniem. *Czuł, że mu się wszystko pomieszało.* Zupełnie jak wtedy, we wrześniu trzydziestego dziewiątego, kiedy to nagle na podwórko wjechały czołgi i zaroiło się od krasnoarmiejców.

— Ty jest Stefan Murzicz? — zapytał ostro niewysoki, krępy wojskowy.

— Tak, to ja — Stefan wbił topór w pień drzewa, był zajęty rąbaniem drew.

— My o tobie dużo wiemy — wojskowy twardo wymawiał słowa.

Stefan poczerwieniał. — Ja tutejszy i żyję z pracy tych rąk. — Pokazał sękate, zgrabiałe dłonie.

Wojskowy zaśmiał się, a inni mu zawtórowali: — A to się przestraszył. Ale ty nie bojsia. Ty nasz. Ty tu za bolszewika był. I rewolucju u nas robił. Druhije niech bajutsa, niech płaczut. Dobierzemy się teraz do nich. A najpierw do waszego łysego. On nas do kaścioła nie wpuścił z taborem, stalinskim zakonam straszył, kanstitucju mnie w nos wtykał. Ot, chitraja swołocz. Ty nas ugościsz, a patom pakażesz hetyje chamuty, katoryje wam polskije pany na spinu nakidawali...

Uśmiechnął się. Przypomniał sobie, że tak niedawno tuż po wojnie ten ostry wojskowy, już jako major — ponownie zatrzymał się u niego w gospodarstwie. Wracali z oddziałem spod Berlina do domu, do swoich.

— No co, drug — powiedział wtedy Stefan — Niemca pobiłeś, Europę i świat zdobyłeś, żywy i zdrowy, ot, szczęściarz z ciebie — wypili po szklance niebieskawego, świeżego samogonu.

— Tak — wolno i z namysłem odpowiedział major — faszystu zrobili my koniec jak należy. Nu — spojrzał na Stefana — kagda my wierniomsia w Rassieju... My dużo przeszli, my strasznie przecierpieli, ale my mnogo po darogie widzieli. I nielzia nam tak bolsze żyć.

Czołgi były już tak blisko, — Gałygin! Gałygin! — krzyknął rozpaczliwie Stefan — Gałygin! Gdzie ty. Przypomniał sobie co mu powiedział major przed odjazdem.

— Pomnij Stefan, my ciebie nie puścim stąd, ni do Polski, ni kuda nibudź. Ty nasz. Ja ujeżdżaju, a tut moj drug właść dzierżać budziet. Wot on, Wincuk Gałygin — pokazał na stojącego przy płocie człowieka. — On ot tuda swojak, Biełarus.

Wincuk Gałygin trzymał ręce w kieszeniach wojskowych bufiastych, usmolonych spodni. W ustach skręt machorkowy, na głowie wysoka czapka bez daszka.

Stefan przypomniał, że gdzieś go już kiedyś widział. Na wiejskim zebraniu Wincuk krzyczał: — Nam ciapier swaboda, niet polskich panau, niet polskaj układy, nam była żmuć, a żmuć nam nie nada, ciapier sawiety, ciapier my swabodna pamolimsia...

— Ty, Stefan! Ja tobie drug i przyjaciel — powiedział Gałygin.

— A ja ciebie nie znam — odpowiedział Stefan. — Skąd ty?

— A toż ja spod Głębokiego, jesieniu trzydziestego dziewiątego tu byu, w Szarkowszczyznie żyu, a patom u partizanau i w krasnoj armii i w Polszy byu i u Niemcau, a ciapier właść dzierżać budu i ty sa mnoju budziesz

— Ja do Polski muszę — powiedział Stefan.

— A tobie na co ten mus, na co tobie ta Polska. Taż ja, ją widział. Ty by pojechał i zarazże na kaleniach z powrotem wrócił. Tobie wydaje się, że tam żdut was, te Polaki. A tam wy dla nich nie Polaki będziecie, a kacapy. A pojedziesz na poniemieckie tereny, tam Niemcy jeszcze. I strasznо jakoś i cudzo, a tut sami swoi, jednakowi i biełaruskie i polskie krestianie.

— Ale naszych coraz mniej, dużo wyjeżdża. I moja strasznie chce jechać, nie chce zostać.

— A tobie co Stefan, baba dugę na grzbiet nałożyła, hołoble do tyłka przypięła. Ty bab nie znasz? A chaliera na ich — krzyczał Gałygin.

Major słuchał, chodził tam i z powrotem, wreszcie zatrzymał się i zawołał:

— Stój, stój ty, Gałygin, nie kriczy na niaho, jamu nie tołka mus, no i prawo jechać, jeśli on zachoczet w Polszu jechać, ty jamu pamożesz, słyszysz — pamożesz! A my jaho — major roześmiał się na całe gardło — a my jaho pawarocim iz polskaj granicy. Tak ty Gałygin jamu pamożesz — ha, ha, ha!...

4.

Pierwszy czołg był tuż, tuż. — Gałygin! Gałygin! — krzyczał Stefan. Z wieżyczki czołgu wychyliła się postać Gałygina.

— Uciekaj! Uciekaj Stefan! Skacz na konia, na tego z gwiazdką. Uciekaj! Bo strzelać będę!

Koń pędził jak szalony. Ukazały się pierwsze domy, potem następne, coraz więcej.

Co to za miejscowość. Ile tu domów. To chyba Głębokie. Koń pędził po wymarłych ulicach. Nagle usłyszał rosnący gwar. Obejrzał się. Nie, to nie czołgi. Zniknęły gdzieś.

Wpadli na dworzec kolejowy. Pełno ludzi. Ruch, gwar. Jedni wprowadzali bydło do wagonów, konie, świnie, cały dobytek gospodarski. Inni przeładowywali siano ze stojących przy torach wozów. Tu i ówdzie, grupy płaczących i żegnających się ludzi. Dookoła rozpaczliwe okrzyki.

— Stefan! Stefan! Gdzież ty się podziewał! — zobaczył stojącą w drzwiach wagonu płaczącą kobietę.

— Zonia! Przecież my mieli dopiero za rok jechać.

— A gdzież za rok, jak wczoraj Gałygin telegramu przywiózł, że dzisiaj odchodzi transport do Polski. Tak ja sama od siebie odchodziwszy schwyciła co mogła, dzieci do sań zapakowała, worki z suszonym chlebem zabrała.

— Taż ja na pasionce był i mnie coś postraszyło

— Wsiadaj szybko, wsiadaj. Zaraz dokumenty sprawdzać będą...

Pociąg ruszył. Zaskrzypiały piskliwie koła. Niesforne wagony uformowały się w karną kolumnę i zgodnym rytmem ruszyły naprzód. Stefanowi coraz szybciej biło serce, coraz mocniej pulsowały skronie. Poddawał się rytmowi jazdy. I już nie wiedział, czy to tętent, czy dudnienie kół, czy pędzi na koniu, czy to rytm pociągu zlewa się, w jakby galopującym takcie. Nagle chwycił za żelazną osłonę okna. Okropny skurcz złapał go za gardło, oczy coraz krwawsze i niewidzące. I tylko zamierające serce krzyczało:

— Już mnie tu nie ma, już tu mnie nie będzie, a wszyscy moi, a ojciec i matka. A taż to wszystko rodnoje. A toż ja tu mały był i wzrosłszy ja tu żył, ziemię orał i tajnu szkołu polską kończył i dwie wojny przeżył, w rewolucji i w partyzantce był i w litowskiej niewoli rany krwawe miał. A gdzież ja się teraz podzieję...

C.

Złapał się za serce...

JAN NOSKO

Łódź, kwiecień 1989

Pod masywnym Andrzejem Brychtem pękło salonowe krzesło.

Salonowe potyczki

W Kanadzie jako kierowca woziłem paczki między innymi do „Trans America Building", ogromnego szklanego wieżowca, gdzie pogubiłem się na początku i nie mogłem odnaleźć właściwej instytucji. Po roku czy półtora w tym samym wieżowcu podpisywałem umowę z telewizją na film za 350 tysięcy dolarów. Półgodzinny film rozrósł się do 6 godzin. Robiliśmy go w sześciu krajach. Miałem swoje biurko, pokoik, sekretarkę, w tym samym wieżowcu. Tak się tam toczy koło fortuny. To jest wspaniałe, nikt nie jest bez szans, każdy może odnieść sukces, trzeba tylko coś umieć. I tak samo szybko można spaść na pysk. Aktor, gdy chwilowo nie gra ani w filmie, ani w teatrze, jest taksówkarzem. I to jest normalne.

Taką historyjkę opowiadał mi **Andrzej Brycht,** gdy szliśmy Piotrkowską na jego spotkanie z czytelnikami do Muzeum Historii Miasta w pałacu Poznańskich przy Ogrodowej. Spotkania te, pomyślane jako impreza cykliczna, nazwano **„Potyczkami salonowymi"**, gdyż odbywają się w prawdziwych salonach dawnych fabrykantów. **Andrzej Brycht** jest drugim z kolei gościem salonu **(po Wojciechu Żukrowskim, a przed Tadeuszem Konwickim)**, imprezy zorganizowanej przez impresariat artystyczny Muzeum Miasta, przy pomocy życzliwych i hojnych sponsorów, których jednak ciągle za mało.

Krystyna Wawrzkiewicz, gospodyni spotkania, przedstawia gościa zebranej licznie publiczności: elew wojskowej szkoły artylerii, górnik, zawodowy kierowca, bokser, pośrednik handlu samochodami, obywatel kanadyjski, który przyjechał do Polski na 3 tygodnie, a został (jak na razie) półtora roku. No i oczywiście przede wszystkim pisarz, autor 14 książek (w tym dwóch napisanych po angielsku) tłumaczonych na 12 języków. Spotkanie prowadzi **Marek Wawrzkiewicz,** również eks-łodzianin, naczelny redaktor miesięcznika „Poezja":

— Słowo Andrzeja Brychta, poparte niekiedy mocnym argumentem, miało swoją moc w Łodzi w różnych kręgach towarzyskich, od inteligentów po chuliganów. Drukował swoje teksty w „Łodzi Literackiej", „Kronice" i „Odgłosach". Był filarem „Współczesności". Miał mocne wejścia w literaturę. Jego skandalizujący reportaż o Piotrkowskiej został odczytany jako atak, obrazę miasta Łodzi.

Na sali siedzi młodzież licealna, w większości dziewczyny, drętwa i chyba niezbyt zdająca sobie sprawę, kim jest człowiek, który do nich tak zaczyna mówić:

— Patrzę na te smutne twarze dziewczyn i myślę, że trzeba je trochę rozweselić. Co będziemy gadać o literaturze, o reportażu, trzeba mówić o czymś, co je zainteresuje. O tym mieście, o Piotrkowskiej. W czasach, gdy was jeszcze nie było na świecie, był to deptak, a wieczorem kraina chuliganów. Szacowni mieszczanie nie chodzili o tej porze Piotrkowską. W ścisłym śródmieściu było 12 kin i wiele kawiarni, a każda miała swój charakter i swoich bywalców. „Łodziankę" w pewnych porach dnia okupowali homoseksualiści, głównie tancerze z baletu Parnella. Kelnerka podchodziła do nich i pytała: „Co panom podać?". I „panie" były bardzo z tego zadowolone. W „Cyganerii" przesiadywali Bec-Walscy, łódzcy mieszczanie, i tak dalej. A dziś wchodzę do „Grandki", karaluchy chodzą po stolikach, ludzie przy tych stolikach to też karaluchy. Dawne dzielnice to były osobne imperia, które decydowały o życiu i śmierci tych, którzy nie należeli do żadnej bandy chuliganów. Śródmieście było silne, bo zblatowane z Bałutami. W ogóle było ciekawiej niż dzisiaj. Dzisiaj chuligaństwo, to tępy, samobójczy wandalizm. Wtedy był dowcip, humor, ludzie mieli animusz i o coś im jednak chodziło. Dziś jest tępe robienie szmalu i zmęczenie tym. Brakuje koloru i kolorytu tamtych ludzi i ich fantazji. Widziałem na Wólczańskiej, jak facet zabił scyzorykiem kobietę. Przyjechał milicjant na rowerze, wezwał dorożkę, włożyli tam trupa i mordercę i pojechali na komisariat. W takim świecie dojrzewałem. Po reportażu o Piotrkowskiej w „Odgłosach" przysięgano mi zemstę, wygnanie z miasta, ale tak się nie stało. „Odgłosy" zamówiły u mnie nowe reportaże.

Marek Wawrzkiewicz przyznaje się do niewiedzy, czy wzbudzenie zainteresowania swoją osobą za pomocą skandalizujących reportaży było wykalkulowane, czy naturalne. Faktem jest jednak, że nazwisko Andrzeja Brychta stało się głośne w Polsce. Literaturą zdeklasował się jednak w swoim środowisku chuligańskim.

Andrzej Brycht: — W tomie pt. „Suche trawy" użyłem prawdziwych pseudonimów moich kolegów chuliganów. W restauracji „Casanova" oni wyrazili swoje pretensje uważając, że napisałem na nich donos. Nikt oczywiście nie czytał tego, co napisałem. Oni nawet do kina nie chodzili. Nie mieli zupełnie pojęcia, co to jest literatura. Nie mogli tego zrozumieć. To była bariera nie do przejścia między nami. Mogłem im to tłumaczyć, stawiając wódkę. Gdy sobie popili ukradli mi portfel bo już byłem dla nich obcy. Portfel odzyskałem, pieniędzy nie. Tak się skończyły moje kontakty z tym światem.

M. Wawrzkiewicz: — Dwie pozycje uczyniły Brychta głośnym: „Dancing w kwaterze Hitlera" i „Raport z Monachium". Popularność polegała na tym, że lano go z prawa i z lewa.

A. Brycht: — I Żydzi cha, cha, cha. Była to książka o moim stosunku do Niemców. Zaprosił mnie wydawca, tam popatrzyłem na tych hitlerowców, którzy kłębili się w Monachium. Wydawca podaje mi rękę, a to — jak się okazało — dobry przyjaciel Hitlera. A mojego ojca zastrzelili hitlerowcy strzałem w tył głowy. Ja bym go postawił pod mur. Wtedy. Uczucia młodego człowieka są silniejsze niż starszego. Po powrocie dałem wyraz moim uczuciom silnym, ostrym. Było to dobre czytadło. Ludzie podchodzili do mnie i mówili: „Panu to dobrze, napisał pierwszą książkę i od razu taka szalona popularność". A była to moja jedenasta książka. Gdy wyemigrowałem, od środowisk polonijnych i żydowskich dostałem w łeb. Ale nie zmieniłm poglądów, nie wyparłem i nie wypieram się swojej starej twórczości. A dzisiaj jest dużo takich, skądinąd dobrych pisarzy, którzy wypierają się swej dawnej twórczości. Np. Tadeusz Konwicki, który napisał książkę „Władza", czy Kazimierz Brandys, co to dziś siedzi gdzieś w Paryżu troszcząc się o prawa człowieka, a pisał coś takiego, jak „Obywatele". Oni robią dziś liberalizm, ci dawni twórcy piszący pod Józefa Stalina. To cwaniaki. Więksi od nich, to tylko międzynarodowe żydostwo.

Pada wreszcie pytanie, bo nie mogło nie paść, o powody opuszczenia kraju i to u szczytu powodzenia.

— No to wyjechałem, no to co, co to kogo obchodzi? Teraz częściej pytają, dlaczego wróciłem. Dlatego, że jest mi tu lepiej niż gdziekolwiek indziej. A że przez 15 lat nie miałem na to ochoty? Człowiek zmienia towarzystwo, ludzi, miejsca, krajobrazy. Nazywanie tego ucieczką, zdradą — jest bezsensowne. Miałem przeświadczenie, że robię słusznie, nie patrzyłem co powiedzą koledzy z ZLP czy Wydziału Kultury KC. Chciałem jechać i obejrzeć świat, zobaczyć jak ludzie żyją gdzie indziej, jak jest. I zobaczyłem. Byłem w Afryce, widziałem Murzynów, zwiedziłem Zachód. A co, miałem się tu godnie starzeć? Był problem z czego żyć. Nie jestem Żydem, nie mam więc rodziny rozsianej po świecie jak oni. Ja chciałem być człowiekiem Zachodu. Bez języka jest to niemożliwe. Ucząc się języka człowiek rodzi się na nowo, jak dziecko poznaje nowe słowa. Nie mogłem wbić się w środowisko literackie, pisano bowiem o mnie jako o „czerwonym", UB-eku. Żyłem więc spokojnie, pracowałem jako górnik, nosiłem świniaki, byłem kierowcą. Dylemat oderwania się od kraju jest dla każdego trudny, chyba najtrudniejszy w życiu. Nie mogłem jednak za Gierka wrócić do Polski, nie mogąc nazajutrz wyjechać według własnego widzimisię. Nienawidzę być zamknięty. Dziś jest inaczej, dlatego przyjechałem.

Spotkanie nagrywa Telewizja. Właśnie skończyła się taśma magnetowidowa. Jest chwila przerwy. Andrzej Brycht proponuje przeczytanie wierszy lirycznych, które pisała jako osiemnastolatek. „Tego i tak nie będziemy nagrywać" — zastrzega. Wiersze, jak i fragmenty „Opowieści z tranzytu" czytają studenci Wydziału Aktorskiego PWSTviT, **Jacek Sut** i **Bartłomiej Topa.**

Po przerwie **Marek Wawrzkiewicz mówi:** — Wyobraźmy sobie Czerwonego Kapturka. Wchodzi do lasu i traci orientację. Ty, Andrzeju, wysiadasz w obcym mieście i nie wiesz, co będzie. Ja ci nie wierzę. Musiałeś mieć jakiś plan. Przecież nie zakładałeś, że będziesz sprzątał ulice czy wylewał asfalt.

A. Brycht śmieje się: — Nie miałem żadnego planu. Z grubsza wiedziałem, że mogę napisać parę książek i je wydać. I z tego miałem zamiar żyć. Te plany miały jednak krótkie nogi. Bez znajomości języka było bardzo trudno. Zostałem kierowcą, pracowałem w handlu, ale potem napisałem scenariusz 6-godzinnego filmu (tu przytacza historię zacytowaną na wstępie). Poza tym trafiłem na mur emigracji polskiej skupionej wokół „Kultury" paryskiej. Trochę mnie drukowali, ale później już nie, z powodu odmiennych poglądów politycznych. Nie mogłem zaakceptować tego, co oni robią i mówią. Starego psa nie można nauczyć nowych sztuczek. Emigranci myślą, że stanowią szalenie wpływową siłę na sytuację w kraju. To jest złudzenie. Oni mogą tylko robić nam dobrą (lub złą) opinię i podsypywać dolary. Gdy się wyskoczy z tramwaju, to on jedzie dalej i należy do tych, którzy są wewnątrz, a nie do tych, którzy wyskoczyli. Nie jęczałem, że byłem pisarzem bitym w komunizmie. Nie pojechałem tam, żeby robić forsę i żyć w luksusie. Luksus kojarzy mi się z tym, żebym miał stół, żeby mi nikt nie dał w mordę i żeby nikt mi się nie wpieprzał w w to, co robię. Nie rozumiem tych, którzy stawiają sobie kolosalne pałace z 50 pokojami. Po co? Przecież na nogi można założyć naraz tylko jedną parę butów.

W momencie, gdy **Andrzej Brycht** mówi o luksusie i biedzie, obecny na sali poeta krakowski **Tadeusz Śliwiak,** wraz z poetą łódzkim **Henrykiem Zasławskim** rzucają na podium, pod nogi Brychta, monety polskie, krzycząc: „luksus, luksus". Korzystając z małego zamieszania, Zasławski reklamuje spotkanie ze Śliwiakiem, które odbyć się ma nazajutrz w Klubie Prasy.

Czytelniczka, zwykła, jak się przedstawiła, pyta:

— Jak pan sobie radził z pisaniem w nie swoim języku? Jerzy Kosiński twierdzi, że to bardzo trudne.

A. Brycht: — Angielski jest bardzo łatwy i w dwa miesiące można nauczyć się stu podstawowych słów. Ale stąd do wieczności jest długa droga. Żeby pisać, trzeba znać język w jego najgłębszych warstwach. Tak znać jak język polski. Gdy znam 30 tysięcy polskich i angielskich słów, to w polskim wyrażę wszystko, co chcę. Chodzi o prozę artystyczną. W angielskim — nie. Nie jestem tam pewny znaczenia słowa. Tu — rzecz zrastała się z sensem słowa w miarę rozwoju psychiki i intelektu. To jest we krwi. Od tego nie można uciec. Z Jerzym Kosińskim to jest lipa. On napisał „Malowanego ptaka" po polsku. Miał takiego fagasa, któremu zapłacił za tłumaczenie na angielski. Gdy książka zyskała sławę, tłumacz uznał, że za mało dostał i zaczęła się heca. To była głośna sprawa, opisywana przez prasę amerykańską. Późniejsze książki usiłował pisać sam, ale też mu ktoś pomagał. Przecież Jerzy Kosiński tutaj nie próbował nawet pisać, był fotografikiem. Tam wszedł w odpowiednie układy, a one są bardzo ważne, opowiadał różne kawałki niby z Polski („Malowany ptak"), ożenił się z superbogatą kobietą, wdową po miliarderze i drzwi wydawnictw stanęły przed nim otworem. Jerzy Kosiński mówi bardzo dobrze po angielsku, ale brzmi to jak klekotanie bociana. Ma język opanowany do perfekcji, ale akcent zdradza cudzoziemca, jednak brzmi śmiesznie.

A. Brycht wstaje. „Siedź, bo mikrofony" — upomina go kamerzysta **Adam Kaczanowski.** „Nie mogę siedzieć, nogi mi zdrętwiały", ale siada. Częściej tylko zmienia pozycję.

Ktoś z sali mówi: **— Nie do końca wierzę w szczerość pańskich intencji. W „Azylu politycznym" pan straszy, że tam się nie da żyć. Czy nie jest to tekst na zamówienie?**

— Ja nie straszę. Jeśli pan zechce wyjechać, co panu po moich strachach. Gdy ja wyjeżdżałem, to dopiero propaganda straszyła. Za te grosze, które mi tu płacą, ja nie muszę być nieszczery. Gdybym chciał straszyć na zamówienie, to zabrakłoby im pieniędzy, żeby mi zapłacić. Nie mam powodu, by naginać fakty, by robić propagandę w jakąkolwiek stronę.

Młoda dziewczyna: — **Jakie pan proponuje ideały młodym czytelnikom? Czy celem życia jest wyjazd i zrobienie pieniędzy? Czy bezkolizyjny przejazd przez życie nie jest egoizmem?**

— Żadnych ideałów nie proponuję. Celem życia jest śmierć. W Afryce widziałem tysiące umierających dzieci — i co ja miałem zrobić? Ci, co im pomagają, nie załatwiają problemu i nie załatwią. Egoizm jest siłą napędową. My jesteśmy dla siebie szalenie ważni, ale i bliskim dawać trzeba od siebie coś dobrego.

Dziewczyna: **— Młode pokolenie przyzwyczajone jest do wzorów proponowanych przez pisarzy.**

— Ci, którzy mają ochotę, niech proponują. Ja nie mam ochoty. Bo kogo zaproponuję? Schwarzeneggera? Z takimi muskułami?

Dziewczyna: **— Ideały: Kordian, Konrad...**

— Wie pan, że ja nie wiem, kto to jest Kordian, Konrad — i żyję? Nie znam poezji Słowackiego, Norwida...

Dziewczyna: **— Serdecznie polecam** (oklaski).

— Mickiewicz mnie nudzi. Proszę pani, Hindusów jest miliard i oni nie czytali o Kordianie. Chińczycy to samo. My jesteśmy piekielnymi egocentrykami w sprawach naszej kultury. Każda ideologia, religia powoduje śmierć tych, którzy w to nie wierzą.

Pod silnym, masywnym Andrzejem Brychtem pęka delikatne, salonowe krzesło. Siada na innym, ale nie na długo, bowiem po kilkunastu minutach spotkanie dobiega końca.

MAREK KOPROWSKI

P.S. Jest to skrót wypowiedzi Andrzeja Brychta z dwóch spotkań autorskich w tym samym dniu w ramach „Potyczek salonowych". Wypowiedzi nie są autoryzowane. Andrzej Brycht powiedział: „Niech pan robi, co chce. Mam do pana zaufanie".

ze str. 6

Pani Jadwiga Saletra, pracownica „Intertouru" poleca samotnym matkom szczególnie trzy miejscowości: Węgorzewo, Ciechocinek i Ochotnicę. Dwutygodniowy pobyt w tych miejscowościach kosztuje od 46.000 do 87.000 zł.

— *Nasza specjalność to natychmiastowe wczasy* — mówi pani Jadwiga. — *Jeśli takie jest życzenie klienta jesteśmy w stanie załatwić wczasy nawet od jutra. Nad morzem proponujemy wypoczynek w następujących miejscowościach: Rewal, Pobierowo, Mielno, Dźwirzyno, Kołobrzeg, Dąbki, Karwia.*

W górach proponujemy Zakopane, Poronin, Krynicę, Ochotnicę, Jagniątków, Rabkę. Wszystko w granicach 46.000 — 87.000 zł. Z własnego doświadczenia wiem, że samotne matki najchętniej biorą Ciechocinek, Rabkę i Zakopane, gdyż są tam sanatoria, z których one korzystają. Osobiście polecam jednak Jagniątków koło Jeleniej Góry, gdyż są tam najlepsze warunki. Dzieci mają możliwość korzystania ze świetlicy specjalnie dla nich przeznaczonej. Organizujemy również kolonie dla zakładów pracy od 25 czerwca do końca sierpnia. Pobyty w Poroninie, Uniesciu, Kołobrzegu, Mielnie, Sosnówce, Kobylcu, Gdyni, Bukownie kosztują w granicach 78.000 — 110.000 zł.

Bardzo atrakcyjne wyjazdy proponuje Biuro Podróży Wojciecha Marzyńskiego. Pracownica tego Biura pani Elżbieta Augustyniak oferuje przede wszystkim kolonie indywidualne do Białego Boru i Węgierskiej Górki przeznaczone dla dzieci ze szkół podstawowych oraz obozy konne i taneczne w Ustce i Jaworkach.

— *Jaworki są w tej chwili wstrzymane dla zakładów pracy* — mówi pani Elżbieta. — *Obozy kosztują w granicach 115.000 — 120.000 zł.*

— Nie uważa pani, że są to wręcz bajońskie sumy?

— *Nie. Wyżywienie jest w tej chwili bardzo drogie. Koszty obozu obliczamy mnożąc dzienną stawkę 5.500 zł (na którą składa się opieka, nocleg oraz posiłki) przez 21 dni.*

— Sądzi pani, że samotną matkę stać na taki wydatek?

— *Ja też jestem samotną matką i mnie na to stać. Wszystko zależy od tego, gdzie kto pracuje i ile zarabia. Jak panie widzą klientów nam nie brakuje. Ludzi interesuje tylko to, żeby ich dzieci wypoczęły i miały dobrą opiekę. Cena na ogół nie gra roli.*

Nie pozostaje nam więc nic innego, jak życzyć samotnym matkom i ich dzieciom przyjemnych wakacji. Wybierać jest w czym, a że nie każdego na to stać? — No cóż, widać najwyższy czas zmienić pracę...

MAGDALENA GROCHOWALSKA
AGNIESZKA FORNAL

MAREK KOPROWSKI: — Wyobraźnię ma tak bujną jak jego broda.

Upór i konsekwencja

Jedni mówią, że Łódź jest stolicą polskiego filmu, inni się z tego śmieją. Faktem jest, iż funkcjonuje w mieście dwanaście instytucji związanych z tym gatunkiem sztuki i przemysłu, a pośrod nich Muzeum Kinematografii, usytuowane w pofabrykanckim pałacu Karola Scheiblera. Dyrektorem placówki jest **Antoni Szram,** twórca Muzeum Historii Miasta Łodzi, długoletni konserwator zabytków, postać barwna i lubiana, znana i popularna. Ma on bardzo oryginalne i niezwykłe pomysły w ogóle, nas interesują te związane z przyszłym wyglądem miasta, a przynajmniej jego fragmentów. Bujna wyobraźnia dyrektora (tak bujna jak jego wspaniała, ogromna broda) wymyśliła i za pomocą fachowców zaprojektowała szczegółowy plan zagospodarowania terenów wokół pałacu Karola Scheiblera.

Projekt łączy przemysłowo-parkowy kompleks w jedno ciało, mając na uwadze bliskość Szkoły Filmowej. W bardzo rozległych planach jest miasteczko filmowe, taki Disneyland, a właściwie Se-Ma-For-land, kraina beztroski i szczęśliwości dla najmłodszych, a odpoczynku i walorów poznawczych dla trochę starszych. Planuje się wykorzystanie bocznicy kolejowej dla potrzeb przyszłej kolejki obwożącej zwiedzających po miasteczku. Jest przewidziane miejsce na bibliotekę i wideotekę, jest przestrzeń mogąca pełnić rolę hali zdjęciowej, a rozległy plac Zwycięstwa zamierza się wykorzystać jako pierwsze w Polsce autokino. Próby takie już były robione na parkingu przed pałacem. Planuje się odtworzenie dawnego wyglądu parku z traktami spacerowymi, koronkowymi altankami, które zachowały się na zdjęciach i fontanną widoczną na jedynej znanej fotografii amatorskiej. W pejzaż parku wpiszą się jako elementy stałe: fragmenty dekoracji filmowych, plany zdjęciowe, rekwizyty. Do stawu, którego jeszcze nie ma, ale będzie, zwodowana zostanie (jak dobrze pójdzie) karawela z „Piratów" Romana Polańskiego.

Antoni Szram nie myśli o tych projektach w kategoriach „zawrotu głowy". Uważa, ba, jest pewien, że są realne. Znany jest zresztą z tego, że niemożliwe w jego rękach nabiera cech realności i „staje się ciałem". Tak było przecież ze sprowadzeniem do Łodzi pamiątek po Arturze Rubinsteinie. Wbrew prześmiewcom, niedowiarkom i pukającym się dyskretnie lub niedyskretnie w czoło — pojechał do Paryża i przywiózł uzyskaną od pani Neli Rubinstein, wdowy po wybitnym pianiście, cenną kolekcję dokumentów i pamiątek, o którą ubiegały się znane i o wiele bogatsze muzea światowe. I nie są to żadne cuda. Upór, konsekwencja i poważne traktowanie swojej pracy — ot i wszystko.

Antoni Szram kandyduje do Senatu. Uzyskał odpowiednią ilość podpisów i oficjalną nominację na kandydata. Przyjął ją jak nominację do Oscara. Oscar jest, co prawda, jeden, ale nominacja doń przynosi zaszczyt i jest powodem do dumy — powiedział.

Za najważniejsze dla miasta uważa sprawy konserwatorskie. Dawną Łódź, jej zabytki, cmentarze, trzeba natychmiast ratować. Senat powinien jak najszybciej wymazać starą, kaleką ustawę o ochronie dóbr kultury i czym prędzej zlecić opracowanie nowej, na miarę czasu i potrzeb.

Prezentuje:
MAREK KOPROWSKI

Wiesław Garboliński „Melancholia 1976"

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Strachliwa panienka

(opowieść psychologiczna według Boya)

Na ulicy Krupniczej
mieszkała hoża dziewuszka:
buzia i pierś anioła,
jak u sarenki nóżka.

Pokój miała niewielki
bez żadnych opiekunów,
wystrzegała się chłopców
i bała się piorunów.

Jednego dnia w czas burzy
poszukała gromniczki
i zamiast do świecznika
wsadziła ją do... pieca.

Jakkolwiek spojrzy się z boku,
orzec trzeba koniecznie,
że zachowało się dziewczę
właściwie niedorzecznie.

Poczta literacka

Pan Leopold Z — Łódź. W poetykach antycznych znajdujemy zalecenie decorum — odpowiedniości charakteru i stylu tematyki oraz artystycznego wyrazu. Poezja podejmująca tematykę naszej polskiej dramatycznej przeszłości takiego decorum w dwójnasób wymaga. Ani najszlachetniejsze intencje ani najdramatyczniejsze problemy nie mogą zrównoważyć braku owej odpowiedniości artystycznej, bez której tekst będzie tylko powiadomieniem albo publicystyką. Niestety — Pański poemat o majorze „Ponurym" — choć zawiera kilka interesujących fragmentów — jest „rozłamany" jest zbyt dosłowny. Dokumentacyjna notacja faktów nie może udźwignąć ciężaru tematyki i powikłanych zarazem problemów „białych plam" historii Polski. Powiem dość brutalnie: oceniany jako tekst artystyczny (a nie historyczny zapis) niewiele się różni w swej stylistyce od tekstów z lat 50 — ekskalamacyjnych i patetycznych nawoływań do walki z imperialistami, kułakami, sabotażystami. Po prostu — wypowiedź „jednowymiarowa" niezależnie od racji ideowych jakie wnosi, będzie zawsze schematyczna. Nie oznacza to, że Pański poemat nie może się znaleźć w jakimś wydawnictwie okolicznościowym. Funkcjonując w innych kontekstach może się wybronić przez swoje racje publicystyczne.

Garboliński (malarstwo)

Nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Łodzi ukazał się album malarstwa **Wiesława Garbolińskiego**, fachowo opracowany i obszernym, a bardzo ciekawym wstępem opatrzony przez Andrzeja Grunа. Nie dziwię się Grunowi, że pokusił się o przygotowanie albumu właśnie Wiesława Garbolińskiego, jednego z najbardziej interesujących twórców naszych czasów. I nie tylko dlatego, że obok jego malarstwa nie sposób przejść obojętnie, lecz w pierwszym rzędzie z tego powodu, iż jest to malarstwo, które zarówno w swoim artystycznym wyrazie, zawartości intelektualnej milowymi krokami wyprzedza niejednego z głośno dziś kreowanych rzemieślników.

„Garboliński — pisze Andrzej Grun — jest realistą. Tak określają jego malarstwo krytycy i tak on sam szufladkuje siebie. Ale realizm dziś, to worek bezgłębny... Granice w „świecie realizmu" są nader płynne, czasami wręcz niemożliwe do wyznaczenia. Wysiłek zaś włożony w ustalenie, gdzie czyje miejsce i kto gdzie powinien stać, niewspółmierny jest do efektu i interesujący chyba tylko dla wąskiej grupy badaczy tematu.

Twórczość Wiesława Garbolińskiego kształtuje się w dwóch równoległych — w równoległych, powtarzam, a nie przeciwstawnych sobie — nurtach. Dystans graniczny między nimi jest wyraźny, aczkolwiek istnieją analogie, które wynikają już z ogólnego charakteru artystycznej kondycji Garbolińskiego jako malarza.

Jeden nurt można by określić mianem **realizmu metaforyczno-poetyckiego**. Drugi nazwałbym **realizmem narracyjnym**, który jest malarską ilustracją wybranych zdarzeń z historii i ze współczesności lub też malarskim uprzedmiotowieniem pewnych określonych idei. Zrozumiałe, że podziałem tym obejmujemy ostatni, najbardziej dojrzały okres twórczości Garbolińskiego. Trwa on jednak dostatecznie długo i owocował takimi obrazami, że możemy go uznać za aktualnie reprezentatywny dla artysty. Można przypuszczać — a nie są to tylko spekulacje — że ten podział nie kończy ewolucji twórczości Garbolińskiego".

Odłóżmy próbę definiowania twórczości artysty, która zawsze będzie prowadziła do nakładania wędzideł, mających zawieść intelektualny wysiłek do wyznaczonego boksu. Dla odbiorcy wyznacznikiem zainteresowania zawsze będzie to, czy pragnie, poprzez album, mieć codzienny kontakt z zawartymi w nim dziełami, czy odnajdzie w nich oczekiwane treści. Prezentowane w galeriach dzieła trafiają bądź nie trafiają do naszej wyobraźni i wrażliwości, są jednak takie, z którymi pragnęlibyśmy obcować na co dzień, właśnie poprzez album i odnajdywać w nim to, co nas porusza, wzbogaca, urzeka. A takie jest właśnie malarstwo Wiesława Garbolińskiego — pełne tonów, przytłumień. Artysta nie dobiera się do naszej wrażliwości przy pomocy ostrych kolorów. Swój świat stara się oddać i wprowadzić nas w penetrowane obszary przy pomocy tak ogromnej skali środków oraz — jak to słusznie zauważa Grun — tonów i odcieni, że dopiero po pewnym czasie postrzegamy, co nas urzekło — ów klimat zatrzymanego czasu, coś bliskiego znękanemu człowiekowi.

Ale malarstwo Garbolińskiego zawiera coś więcej, coś, co jest dla odbiorcy albumu nie bez znaczenia. I właśnie, tak mniemam, ukazaniu tej istoty służą perfekcyjne umiejętności posługiwania się kolorem i kompozycją, stwarzającą niekiedy wrażenie przypadkowości, lecz przy bliższym kontakcie — bezbłędnie funkcjonują w artystycznym zamyśle. Tym wyróżnikiem jest ich treściowa zawartość, intelektualny, a najogólniej ujmując — humanistyczny zamysł stanowiący przesłanie. To jest świadome malarstwo, świadome co do zawartości, jak i środków wyrazu.

W tym reprezentatywnym dla dorobku artysty przekroju reprodukowanych w albumie dzieł odnajdujemy głośne już dziś obrazy, które w albumowym uszeregowaniu robią tym większe wrażenie. Są tu słynne pejzaże, martwe natury — z czajnikiem, z czerwonym dzbanem, z biaszankami; są akty — niebieskie, szare, czerwone, są noce księżycowe i dziewczyny w oknie, ale jest coś przejmującego i poruszającego najgłębiej — samotność. Samotność! Nawet wtedy, a może właśnie wtedy, gdy sąsiaduje z drugim człowiekiem, rzeźbą, samotność zamknięta rachitycznymi budowlami, ścianami pracowni, przyklejona do martwej postaci z kamienia. Nawet wtedy, gdy człowiek „Znużony jest pieśnią". Jest to malarstwo, które trafia do naszych najgłębszych pokładów i odsłania nawet te, które są już spatynowane, wytłumione.

Album malarstwa Garbolińskiego warto mieć nie na półce, lecz obok — pod ręką.

MARIAN ZDROJEWSKI

Nowy „Jarmoł"

Jak zapewne wszyscy pamiętamy, ze szkoły średniej wynosząc tę wiedzę, w wieku XV niejaki Słota lub Złota napisał parenetyczny traktacik **„Rześń o chlebowym stole"** znany powszechniej pod tytułem **„O zachowaniu się przy stole"**. Ten pierwszy polski podręcznik savoir vivre'u serwował rady pożyteczne acz zgrzebne: a to żeby i białogłowy mogły się trochę przy tym stole pożywić, a to aby nie zgarniać wszystkich półmisków do siebie, a jeść bez mlaskania, a ręce mieć przy tym czyste. W pół wieku później pojawia się tomik **Jerzego Jarmołowskiego „O zachowaniu się pod stołem"**. Aliści zawiedliby się czytelnicy, którzy lubią przyjmować niesadną postawę horyzontalną — tę pod stołem właśnie — gdyby tomik naszego poety potraktowali jako publikację instruktażową. To „pod stołem" bliższe jest metaforycznemu określeniu „pod wozem", zatem określa sytuację poezji zagradowanej, traktowanej jako zgodny element w obiegu kulturowym (unikają jej wydawcy, rzadko sięgają po nią odbiorcy). A przecież — mówił o tym poprzedni tom Jarmołowskiego — poezja jest od róży i od koniczyny — może być ozdobą (bezinteresowne piękno!) kwietną naszych stołów i może być pożywieniem dla wszystkich Pegazów. W tomie ostatnim raz jeszcze autor powraca do próby określenia poezji i jej zadań — szczególnie w cyklu pierwszym **„Z czego by tu robić poezję?"** W tym pytaniu tylez jest zakłopotania co nonszalancji. To nie Muzy dyktują strofy władne do osiągnięcia „rządu dusz", bowiem proces ich powstawania przypomina mozolne destylowanie „zacieru" powszechnych doświadczeń, by zyskać parę kropli pożywnego i mocnego lirycznego trunku. A tworzyć ją (poezję) można i z kapsli od piwa i z „dzieweczki niepostuchanej" i ze słuchania Mozarta i z barokowych bezdomnych psów z ulicy Franciszkańskiej i jeszcze z biesiadnych spotkań z przyjaciółmi i z kontemplacji domowego akwarium ze skalarami żyjącymi swoim skalarowym życiem tajemniczym, nieprzenikliwym i „umetafizycznionym". Zatem: nie „wszystko jest poezją", ale „wszystko może być poezją". Jarmołowski wychodząc z doświadczeń powszednich i powszechnych dużą rolę przyznaje wyszukanej kunsztownej stylizowanej formie. To zbuntowany literacki plebejusz tworzący „sonety sonechamskie", przywołujący zarazem formy i gatunki pozornie odstawione do lamusa: ronda, trioletty, abecadariusze, madrygały. Element zabawy, gry literackiej nie jest wszakże pozbawiony powagi. To nie gra dla samej gry, ale mądra biesiada mająca na celu pozyskanie odbiorcy, wskazanie że obszar doświadczeń poetyckich nacechowany jest demokratyzmem. Wystarczy trochę wysiłku, aby nabrać doświadczeń i przeżyć mogła się przemienić w poezję. Dlatego — jak sądzę — obudowuje komentarzem tę swoją hipotezę. „Marginalia" (cykl drugi) tylez mówią o naszym życiu co o roli poety i mechanizmach poezjowania. Raz są sentencją, raz paradoksem, niekiedy typową notacją, często gotowym już poetyckim konceptem. Wszakże ów destylat poetycki serwuje nam autor na końcu. „Haiku jednej jesieni" to krystaliczna najczystsza poezja. Impresja przetransponowana w uniwersalność, postrzeżenie — w filozofię: te zasady haiku Jarmołowski realizuje w sposób mistrzowski. Literacki outsider plasujący się na „pobokach" zetykietyzowanej poezji polskiej, tworzący wedle osobniczego i niepowtarzalnego mechanizmu konfrontowania powszedniości i kunsztownej formy, prywatnych „Jarmołowych" doświadczeń i uniwersalności, którą poezja zawsze przecież wnosi, nowym tomikiem poświadczył, że należy do bardziej frapujących osobowości poetyckich w naszej „geografii literackiej".

HENRYK PUSTKOWSKI

Jerzy Jarmołowski — O zachowaniu się pod stołem, WL Łódź 1989, s. 66, cena 200 zł, nakład 500 + 150.

PESTKI DYNI

— „Na całym świecie żyje około trzech tysięcy ludów, plemion lub szczepów. Wszystkie one bez wyjątku są w niebezpieczeństwie — zagrożona jest ich fizyczna egzystencja lub ich tożsamość kulturowa".

— „Gatunki zwierząt, którym grozi wymarcie budzą nieraz większe zainteresowanie światowej opinii publicznej niż ludy, które walczą o przeżycie. Dlatego właśnie Indianie, żyjący na północnym zachodzie USA, domagali się niedawno, aby rząd Stanów Zjednoczonych przyznał im status ginącego gatunku zwierząt pod ochroną".

— „30 kilometrów od stolicy Republiki Środkowej Afryki, Bangui, na szosie do dawnej rezydencji Bokassy) można ich zobaczyć na jednym ze skrzyżowań. To ostatni Pigmeje w tym rejonie. Wychodzą z buszu w nadziei na pieniążek otrzymany w darze od przejeżdżającego Europejczyka. Najczęściej noszą jeszcze swą typową przepaskę na biodrach..."

— „Dla Indian Ameryki Łacińskiej pamięć o konkwistadorach nie stanowi okazji do świętowania pięćsetnej rocznicy odkrycia kontynentu. Peruwiański Indianin Milner Cajahuaringa mówi na przykład w skrócie o »zderzeniu niekultury z kulturą: hiszpańskiej niekultury, która doprowadziła do grabieży i ludobójstwa«".

— „Los brazylijskich Indian był brutalny. Jeszcze na przełomie XIX i XX wieku żyło 230 plemion; od tego czasu co najmniej 90 wyginęło. W sąsiednim Peru być Indianinem oznacza dziś być outsiderem. W dżunglach Boliwii postępuje naprzód eksterminacja Indian Juki, w Paragwaju katolicka konferencja biskupów nie przestaje formułować oskarżeń o »zinstytucjonalizowany mord«. Wojska argentyńskie wybiły ok. 400 tys. Indian. W Ekwadorze Indianie Auca walczą o przetrwanie. W Meksyku Indianie Yaqui, walczący o ziemię, padli ofiarą masakry. Innych zabiły epidemie i ciężka praca, do której nie byli przystosowani".

— „Wobec Indian w Nikaragui stosowano do niedawna surowe represje. 250 tys. Indian należących do plemion Miskito, Sumo i Rama, opierało się najazdom sandinistów, pragnących odebrać im ziemię i kulturę i uświadomić ich politycznie".

— „Na wzgórzach Chittagong w Bangladeszu od lat trwa prowadzona po kryjomu eksterminacja, gdyż mieszkańcy gór stanowią zawadę dla cennych ziem bengalczyków z równiny nad Gangesem. Negritów, podobnie jak Pigmejów, pozostało już nad Zatoką Bengalską zaledwie kilkuset. Rodzima ludność Sri Lanki, Weddowie, liczy już tylko 300 osób".

— „Wymordowano Papuasów i mieszkańców Wschodniego Timoru".

— „Jedyni mieszkańcy północnej Skandynawii, Sami (nie lubią oni nazwy „Lapończycy") chcą mieć autonomię i własną ziemię..."

— „Dopiero ok. 1975 r. laburzystowski rząd był w stanie przeforsować tyle, aby australijskim aborygenom zwrócono przynajmniej część ziem, należących dawniej do ich przodków. Sprzeciwiały się temu związane przedsiębiorstwa górnicze które na tych terenach eksploatują kopalnie złota i uranu. Ekstremistyczne [illegible] domaga się utworzenia suwerennego państwa, które wchodziłoby w skład federacji australijskiej. Inny postulat — to odszkodowanie za ludobójstwo, jakiego dopuścili się biali".

— „Kurdowie są narodem bez państwa. Jest ich ogółem 8,5 mln. W Iraku w latach 70 spór o autonomię dla nich przeistoczył się w krwawą wojnę przeciw rządowi. Wiele tysięcy Kurdów zbiegło wówczas do Iranu i do Turcji. Podczas wojny w rejonie Zatoki Perskiej kurdyjska mniejszość była po obu stronach oskarżana o kolaborację z wrogiem i prześladowana. Wojska irackie wiosną 1988 r. zlikwidowały całe wioski kurdyjskie przy użyciu gazów trujących" (FORUM za Die Presse 16.IV.1989).

Ludobójstwo i etnobójstwo fizyczna i kulturowa zagłada ludów są wciąż jeszcze na porządku dziennym. Występują tu zastanawiające prawidłowości: tam, gdzie żyją zagrożone ludy, znajdują się najczęściej również uran, ropa naftowa, drewno albo woda — i odwrotnie.

Powiedzmy sobie szczerze — dziś etniczna odrębność dozwolona jest tylko w muzeum!

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

Rys. Sławomir Łuczyński

KALENDARZ X ŁÓDZKICH SPOTKAŃ BALETOWYCH

23.V., godz. 19.00., Teatr Wielki w Łodzi: **„WACŁAW NIŻYŃSKI IN MEMORIAM"**. 24.V., godz. 19.00 Polski Teatr Tańca — Balet Poznański. **„NIŻYŃSKIEMU — UNE SOIREE"** 25.V., godz. 19.00 — Balet Poznański (jak wyżej). 26.V., godzina 19.00, Teatr Wielki w Łodzi: Wieczór debiutów choreograficznych. **„Sen zamordowany"** — collage/C. Bilski. **„Dedykacja"** — M. Błaszczyk, R. Komassa. **„Dialog I"** — R. Strauss, R. Komassa. **„Till Eulenspiegel"** — R. Strauss, M. Wójcicka. 27.V., godz. 19.00 — Wieczór debiutów choreograficznych (jak wyżej). 28.V., godz. 11.00. Teatr Wielki w Łodzi — XXXI Łódzkie Warsztaty Operowe: **WACŁAW NIŻYŃSKI** (impreza towarzysząca). 29.V., godz. 17.00. Sesja popularnonaukowa nt.: **„Wacław Niżyński — życie, dorobek artystyczny — symbol sztuki baletowej XX wieku"** (impreza towarzysząca). 30.V., godz. 19.00. Tanztheater Der Komischen Oper Berlin (NRD). **„Match"** — S. Mutthus, T. Schilling. **„Kwartet amerykański"** — A. Dvorak, P. Śmok. **„Morze"** — C. Debussy, T. Schilling. **„Tańce wieczorne"** — F. Schubert, T. Schilling. **„Karnawał"** — R. Schumann, T. Schilling.

BRAK ŚRODKÓW

Edvard Munch, prekursor ekspresjonizmu i największy malarz, jakiego wydała Norwegia stał się w 45 lat po śmierci przedmiotem gorącego sporu kulturalnego w swojej ojczyźnie. Ten bardzo płodny artysta pozostawił po sobie 1200 obrazów, 4500 rysunków i 15 tys. grafik. Niemal całą swą spuściznę ofiarował Munch miastu Oslo, która dostępna jest publiczności w muzeum jego imienia położonym w pobliżu Ogrodu Botanicznego. Muzeum to znajduje się od lat w trudnej sytuacji finansowej: w bogatej, naftowej Norwegii nie można znaleźć środków, które pozwoliłyby poprawić warunki pracy tej placówki. Władze miejskie zdecydowały się więc sprzedać część grafik Muncha do innych muzeów i instytucji publicznych, aby w ten sposób rozwiązać najbardziej pilne problemy finansowe.

W bogatej kolekcji Muzeum Muncha w Oslo zgromadzone są także, chociaż nie zawsze eksponowane portrety blisko związanych z malarzem **St. Przybyszewskiego** i jego nieszczęśliwej drugiej żony **Dagny Juel**. Jej zabytkowy, drewniany dom rodzinny w Kongsvinger ma być właśnie rozebrany. Podobnie jak w przypadku Muzeum Muncha, również i tu brakuje środków na konserwację podupadającego obiektu. Przewodnicząca Państwowej Rady Zabytków Kultury **Aase Folkvord** rozpoczęła kampanię o uratowanie domku, w którym pragnie w przyszłości utworzyć Muzeum Kultury Kobiecej w hołdzie Dagny Juel, jednej z pierwszych emancypantek norweskich.

FESTIWAL MONIUSZKOWSKI

W końcu maja, już po raz 28, odbędzie się Międzynarodowy Festiwal Moniuszkowski w Kudowie Zdroju. Tegoroczny festiwal zbiega się z 170 rocznicą urodzin twórcy opery narodowej oraz jubileuszem 40-lecia pracy artystycznej dyrektora festiwalu — **Marii Foltyn**. Festiwal odbędzie się w dniach 28 maja do 3 czerwca br., a w jego programie znajdą się m. in. „Straszny dwór" zrealizowany przez Operę Krakowską, prawykonanie kantaty „Madonna" oraz finał konkursu śpiewaków amatorów (z udziałem reprezentantów ZSRR i CSRS). Specjalną atrakcją tegorocznego festiwalu będzie koncert jubileuszowy Marii Foltyn i występy teatru ze Lwowa.

DOSZEDŁ ZAPACH

Jak uatrakcyjnić ekspozycje muzealne? Dla ożywienia wprowadza się techniki filmowe i wideo. Ostatnio, obok efektów świetlnych i dźwiękowych, pojawiają się także zapachy. W paryskim Muzeum Techniki i Przemysłu zainstalowano urządzenie pn. „Odorama", które pozwala łączyć obraz z efektami zapachowymi, np. zapach kwiatów przy filmach przyrodniczych.

SOBÓR KAZAŃSKI

Z projektem rekonstrukcji So-

Z wizytą w Legnicy

Do Legnicy jechałem ze świadomością, że uczestniczę w czymś w rodzaju ekspansji. W żadnym bowiem z dotychczasowych turniejów udział łodzian nie był tak liczny. 6 łódzkich chórów znalazło się wśród 24 występujących. Redagodzy z naszego miasta współpracowali też z pocyplomowym studium chormistrzowskim.

„Legnica Cantat" jest dziś najważniejszą w kraju imprezą chóralną, choć początkowo przegląd miał zasięg wyłącznie lokalny, tzn. dolnośląski. Marzeniem każdego dobrego chóru w Polsce jest przede wszystkim wystąpić w Legnicy, a ewentualne zdobycie laurów uważa się za sprawę dalszą. Dopuszczane na zasadzie wstępnej kwalifikacji, zespoły walczą w Ogólnopolskim Turnieju Chorów o nagrodę przechodnią: **„Srebrną Lutnię im. Jerzego Lhana z Legnicy"** (kompozytora i teoretyka z przełomu XV i XVI w.). Przyznawane są też nagrody dodatkowe, zaś werdykt jest tradycyjnie podwójny. Co to znaczy? Otóż nagradza kilkunastoosobowe jury, któremu w tym roku, w trakcie XX Turnieju (10—14 maja) przewodził **prof. Stanisław Kulczyński**, rektor AM w Poznaniu (trochę dziwne, że Łódź w jury nie miała swego reprezentanta), ponadto nieoficjalnie premiuje kilkudziesięcioosobowe gremium dyrygentów chóralnych z seminarium odbywającego się zawsze w tym samym czasie. Ujęta w formę dyskusji konfrontacja obu werdyktów, oficjalnego i nieoficjalnego, kiedy to omawiane są szczegółowo kryteria punktacji zespołów, stanowi niezwykle frapującą lekcję analizy interpretacyjnej. Przekonuje też o obiektywizmie i rzetelności dokonanych ocen.

Ponieważ byłem obecny nie tylko na turniejowych przesłuchaniach, ale i na wspomnianej dyskusji, mogę stwierdzić, że poziom jubileuszowego turnieju sprawiał wrażenie trochę niższego, aniżeli w latach ubiegłych, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę XVIII „Legnica Cantat" (po raz trzeci zwyciężył wtedy, zdobywając Brązową Lutnię na własność, **Chór Akademicki Politechniki Szczecińskiej**). Nie kandydowały zarówno do oficjalnych, jak i nieoficjalnych nagród chory Akademii Muzycznych natomiast za specjalnie interesujące uznano m.in. niektóre ansamble z małych ośrodków, w tym dziecięce.

Wspomnę, że **Chór Akademii Muzycznej w Łodzi pod dyr. Zygmunta Gzelli** śpiewał bardzo dobrze, zaciekawiając niuansami wykonawczymi, jednak pod względem ogólnej perfekcji brzmieniowej nie przewyższył innych grup. Uwaga ta odnosi się także do **Żeńskiego Chóru Akademii Muzycznej w Łodzi pod dyr. Henryka Blachy**. W tym wszakże wypadku za konkretny mankament mogła być uznana nieco mniej szlachetna barwa sopranów w najwyższych rejestrach (alty kolorytem odznaczały się przednim.)

Stosunkowo dużo przyjechało chórów kameralnych. Należał do nich 9-osobowy zespół **„All' Antico"** z Łódzkiego Domu Kultury utworzony — jak się zorientowałem — z byłych członków formacji prof. Gzelli. „All' Antico" jako jedyny łódzki chór zwrócił uwagę oficjalnego i nieoficjalnego jury, zdobywając „nieoficjalną" nagrodę ZSP.

Szczupłość miejsca pozwala jeszcze tylko na zakończenie, na poinformowanie o zwycięzcy XX „Legnica Cantat". Srebrna Lutnia przyznana została **Chórowi Akademii Rolniczo Technicznej** w **Olsztynie pod dyr. Benedykta Błońskiego**. W ogólnym odczuciu był to zespół naprawdę znakomity, śpiewający dużo lepiej niż kiedyś. A zasługa w tym, na pewno, dopingującego do pracy turnieju.

JANUSZ JANYST

Sny i zauroczenia

Zmienne oceny towarzyszyły zawsze poszczególnym dziełom bądź całej twórczości Słowackiego. Często zwolennicy „Beniowskiego" wiedli spór z entuzjastami „Króla Ducha".

Najsensowniej chyba mieć o każdym z dzieł twórcy sąd osobny, nie wstydząc się przed ludźmi ani swych zachwytów, ani niechęci. Nie wstydzę się więc, że mogę podzielić nieorzychylny sąd **Antoniego Słonimskiego** o **„Śnie srebrnym Salomei"**. W utworze tym nastąpiło dziwne przemieszanie poetyckich piękności z czystej wody werbalizmem, psychologicznych naiwności i dwuznacznej moralistyki ze scenami i obrazami o wielkiej sile oddziaływania, ale nie przekonuje mnie pogląd, że największe słabości tej sztuki należy przypisać jej zapoznanemu rzekomemu prekursorstwu.

Znacznej części dzisiejszej widowni, jak sądzę, tło dziejowe tego dramatu jawi się jako niezrozumiała egzotyka, przypomnijmy więc, że rozgrywa się w niej (z licencją poetyckiej swobody) kolejny akt krwawych zmagań pomiędzy szlacheckimi posiadaczami tamtejszych włości, nieraz ogromnych latyfundiów, a miejscowym ukraińskim chłopstwem. W istocie jest to wojna domowa między obywatelami wspólnej Rzeczypospolitej, na obszarach wchodzących w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego.

W ten historyczny dramat wplątane są losy kilkorga bohaterów, m.in. regimentarskiego syna Leona, który, zbałamuciwszy powierzoną opiece jego ojca Salomeę, córkę zaprzyjaźnionej rodziny, przekazuje ją podstępnie swemu słudze, zakochanemu w Salomei kozakowi, Semence. Tenże (prototyp literacki sienkiewiczowskiego **Bohuna**), gotów służyć Lachom wiernie, jak pies, byle mu dali pannę, jak równemu, morduje, później z niezbyt jasnych powodów całą rodzinę Sally. Jest i druga para potajemnych kochanków: Księżniczka, którą Regimentarz chciałby wydać za Leona i ukraiński sławny wojownik, wierny Polsce Sawa, zresztą szlacheckiego, choć nie udokumentowanego pochodzenia.

Gry i intrygi miłosne są niezbyt silnie umotywowane psychologicznie, a jeszcze gorzej przedstawia się prawdopodobieństwo sytuacyjne. Ot np. pierścień Regimentarza, krwawnik, Księżniczka ciska gdzieś na drodze, a znajduje go Semenko. Kiedy indziej pierścień spada na ziemię wraz z obciętą dłonią Semenki. Ten jednak, mimo iż oblany smołą i płonący jak pochodnia, wskazuje wzrokiem Sawie swoją upierścienioną dłoń, walającą się na ziemi, w efekcie krwawnik przypieczętowuje oficjalnie związek Księżniczki z Sawą. To znów Salomea, przyniesiona na marach jako martwa, okazuje się raptem całkiem zdrowa na ciele i umyśle. Cudowność zdarzeń funkcjonuje w tej sztuce na iście baśniowej zasadzie, co kurtuazyjnie można określić jako działanie czynnika mistycznego.

Wolno więc zadać sobie pytanie, jakież to powody skłaniają od czasu do czasu reżyserów do zmagań ze sceniczną realizacją tych nieprawdopodobnych i niezbyt życiowych historii. W oglądanym przeze mnie przed kilkunastu laty warszawskim przedstawieniu Hanuszkiewicza nad mrożącymi krew w żyłach opowieściami dominowała fascynacja Ukrainą, zauroczenie jej niezmierzonymi stepami, przebogatym folklorem. Np. scena szła w głąb i zza pagóra wyłaniały się przybywające postacie.

W przedstawieniu Hussakowskiego nie przebija się chyba ta nuta sentymentu aż tak mocno. Scena kameralna zabudowana jest ciasno, wchodzi się i wychodzi na boki przez wąskie drzwi schodkami, co prawda od proscenium do pierwszych kilku rzędów wybiega pomost, jakby ku dalszemu światu.

Porażająca bliskość tych bujnych i malowniczych postaci daje wrażenie barokowo-iluzjonistycznego panopticum. Jakby nas osaczały duchy, które się ucieleśniły. Nagle, pod sam koniec, całe to udręczające już nagromadzenie spraw półrealnych rozładowuje się w konwencji to kontuszowej śpiewogry, ni to mieszczańskiego wodewilu. Czy zanim opadnie kurtyna mamy uprzytomnić sobie, że to theatrum, ku zabawie raczej niż gwoli prawdzie? Mimo iż Słowacki rzecz kończy wyraźnie i dobitnie: Regimentarz i jego świat muszą zejść z politycznej sceny...

Obsadę dobrano starannie. **Regimentarzem** broniącym polsko szlacheckich racji był **ZBIGNIEW JÓZEFOWICZ**. **Leon MARIUSZ WOJCIECHOWSKIEGO** bardziej ekonomizował przewrotnością niż moralnym nawróceniem. **Semenko JERZEGO ŚWIĄTŁONIA** to żywy obraz „kozaczej duszy". Godnym w swej starczej dumie **Gruszczyńskim** był **WŁADYSŁAW DEWOYNO**. Bezbłędnie rozegrał dramaturgię opowieści Pafnucego **ANDRZEJ GŁOSKOWSKI**. Nawet niezawodny **BOGUSŁAW SOCHNACKI** nie zdołał uczynić wypowiedzi Wernyhory całkiem klarowną. Tylko tak urodziwa Księżniczka jak **BOŻENA MILLER-MAŁECKA** może sobie pozwalać na nieznośne chimery i dostać tak przystojnego męża jak Sawa **DARIUSZA SIATKOWSKIEGO**. Melodramatyzm roli Salomei przekonująco rozegrała **JOANNA JANKOWSKA**. Ogólnie panowie odznaczali się staranniejszą dykcją niż panie.

JERZY KWIECIŃSKI

Juliusz Słowacki: „Sen srebrny Salomei" — romans dramatyczny w pięciu aktach. Reżyseria — **Bogdan Hussakowski**, scenografia — **Ewa Bloom-Kwiatkowska**, muzyka — **Krzysztof Szwajgier**, choreografia — **Janina Niesobska**.

Zatańczymy?

Wypełniona szczelnie sala, siedzący na podłodze w przejściach, stojący pod ścianami i tłum, dla którego zabrakło miejsca — popatrujący przez otwarte drzwi z foyer — to obrazek dość rzadki na imprezach, gdzie bohaterami są zespoły amatorskie. A tak właśnie wyglądała widownia DK-owskiej sali kinowej, gdzie odbywał się **VII Wojewódzki Przegląd Zespołów Tańca Współczesnego**. Trzeba dodać, że 90 proc. owej publiczności, stanowiła młodzież w wieku licealnym. A więc nie tylko disco i video im w głowach — jak to widzą niektórzy.

Do pokazu zgłosiło się 10 zespołów, każdy zaprezentował się w dwóch układach tanecznych; dopuszczono również układy parateatralne zbliżające się ku baletowi. Obejrzeliśmy więc i siarczystego rock n'rolla (zespół **„Sarabanda"** z DK-Polesie II nagr.), gorące tańce latynoamerykańskie nie zabrakło nieśmiertelnych łabędzi lecz była również **„Uwertura kubańska"** trudny układ choreograficzny w wykonaniu zespołu **„Interpretacje"** z DK-Widzew. Wystąpiły także zespoły dziecięce **„Nutki"** (wyróżnienie) i **„Migotki"** pełne wdzięku i przejęcia swą niełatwą rolą. Propozycje oceniało wysokie jury, składające się z zawodowców-praktyków i teoretyków tańca, w tym instruktorów z kategorią „S".

Poziom był — oczywiście — bardzo różny. Większość nagród, w tym główną, zdobył zespół „Interpretacje", istniejący od marca 1989 r. a więc zaledwie od trzech miesięcy. Obejrzeliśmy dwa trudne układy choreograficzne efektownie i bezbłędnie wykonane przez młodych tancerzy. Nagrody instruktorskie przypadły paniom **Elżbiecie Myślińskiej** i **Mirosławie Daniel** właśnie za te dwa układy. Swoimi nagrodami obdarzyli „Interpretacje" **obserwatorzy** i **Pracownia Odzieży Unikatowej Joanny Koprowskiej** — współorganizatora Przeglądu. Sukces — w pełni zasłużony — młodego zespołu świadczy dowodnie o tym, iż pracą można osiągnąć wiele i to w krótkim czasie co jest prawdą starą i może dlatego u nas jakby zapomnianą. Samo ględzenie i biadolenie o trudnościach prowadzi donikąd.

Inne zespoły są niewątpliwie na dobrej drodze, lecz prezentowane ich propozycje można uznać jedynie za ćwiczenia warsztatowe. Poza „Gessami" **Krystyny Kwestarz** (II nagroda). Jest to znany obsypany nagrodami zespół, który prezentuje wysoki kunszt taneczny, a układ do muzyk **Michaela Jacksona bliski był wykonania perfekcyjnego**.

Imprezą towarzyszącą Przeglądom, był pokaz mody z Pracowni Odzieży Unikatowej Joanny Koprowskiej, sponsora i współorganizatora imprezy — obok Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ Łódzkiego Domu Kultury. Modelki zaprezentowały odzież ręcznie malowaną, gdzie oryginalne niepowtarzalne wzory stanowią same w sobie prawdziwe dzieła sztuki. Odstąpiono od tradycyjnej formuły pokazu mody, zastępując ją układami choreograficznymi, co znakomicie korespondowało z ideą Przeglądu.

Organizatorzy — **Ośrodek Taneczny Łódzkiego Domu Kultury** — potrafili imprezie nadać wartki bieg i ład kompozycyjny co jest zasługą **Bogdy Witkowskiej** i jej niewielkiego zespołu ludzi. Był to pokaz dobrej roboty organizatorskiej.

Szkoda tylko że popsuła wszystko Telewizja. Ekipa przybyła w czasie jej dogodnym sfilmowała akurat to co w tym momencie działo się na scenie. Ten przypadkowy materiał pojawił się w Łódzkich Wiadomościach Dnia jako 15-sekundowa migawka nie mająca nic wspólnego z tym, co rzeczywiście warte było pokazania. Ani słowa o nagrodzonych czy choćby wyróżnionych. Amatorka i bylejakość. Trzeba było widzieć zawiedzione miny zebranych tłumnie przed telewizorem uczestników Przeglądu by zrozumieć że niekiedy lepiej by było by Telewizja nie przyjeżdżała w ogóle, niż tak partacząc i lekceważąc swoją robotę krzywdziła młodych, pełnych zapału ludzi.

MATEUSZ KRUK

Galeria pisarzy

ANDRZEJ BRYCHT

Rys. Sławomir Arabski

Kronika

Z OKAZJI DNIA DZIECKA, w dniach od 27 maja do 4 czerwca trwać będzie na placu Barlickiego kiermasz handlowy. Do udziału w kiermaszu Wydział Handlu UM Łodzi zaprosił wszystkie jednostki produkcyjne i handlowe, zarówno uspołecznione, prywatne, jak i spółki.

W WARSZAWSKIM PAŁACU KULTURY I NAUKI zakończyły się doroczne Międzynarodowe Targi Książki. Wzięło w nich udział około tysiąca wydawców z 20 krajów, w tym 10 państw Zachodu. Wśród 209 stoisk spotkać można było tym razem polskich wydawców emigracyjnych z 13 oficyn (m.in. **„Orbis"**, **„Odnowa"**, **„Aneks"**, **„Libella"**, **„Zeszyty Literackie"**, **„Kultura"**, **„Instytut Polski"**), a także wydawców z tzw. drugiego obiegu (**„CDN"**, **„In plus"**, **„Aspekt"**, **„Pokolenia"**, **„Oficyna Literacka"**). Nasze instytuty naukowe i biblioteki zaopatrzyły się dzięki targom w wiele nowości. Na ich zakup rząd wyasygnował milion dolarów.

ZBLIŻA SIĘ DOROCZNE ŚWIĘTO CZYTELNIKÓW „GŁOSU ROBOTNICZEGO". Jego punktem kulminacyjnym będzie wielki festyn w Parku Kultury i Wypoczynku w niedzielę, 28 maja. Kilka dni temu zebrało się w Komitecie Organizacyjnym Dni „GR" blisko 50 przedstawicieli handlu, gastronomii oraz uspołecznionych i prywatnych firm nastawionych na sprzedaż przeróżnych wyrobów przemysłowych, jakie oferowane będą w czasie festynu. Jak zapewniają organizatorzy, goście, a więc czytelnicy „Głosu", mogą liczyć na zaspokojenie swoich apetytów, jak i zakup atrakcyjnych wyrobów.

„LOCHY »MANHATTANU«" — to wystawa która ma być największym przeglądem polskiej sztuki awangardowej ostatnich lat. Jej otwarcie przewidziano na 18 maja. Udział w wystawie zapowiedziało wielu znanych i uznanych na świecie twórców — m.in. **M. Abakanowicz, M. Winiarski, B. Schaeffer**, a także młodzi artyści zajmujący się działaniami intermedialnymi. Poza stałą ekspozycją, która potrwa miesiąc, przewiduje się cykl codziennych wystąpień autorskich — performance, filmy eksperymentalne, sztuka wideo czy instalacje artystyczne. „Lochy »Manhattanu« czyli sztuka innych mediów" to wielkie przedsięwzięcie którego autorem jest **Józef Robakowski**, przy udziale — no oczywiście! — **Antoniego Szrama** z **Muzeum Kinematografii**.

TEATR NOWY gościł już po raz drugi artystów z **Teatru Miejskiego w Karl-Marx-Stadt** (pierwszy raz w 1986 r.) Goście zaprezentowali dwa przedstawienia — dla dzieci widowisko pt. **„Oj piesku"** według opowiadania **Fryderyka Wolfa** oraz spektakl warsztatowy studentów studium teatralnego — **„Antygonę" Sofoklesa**, w reżyserii Hasko Webera.

W ŁODZI PRZEBYWALI GRUZIŃSCY FILMOWCY — reżyser filmowy Dymitr Czyncadze i krytyk **Tatiana Twałczrelidze**. Gruzińscy goście spotkali się z senatem i młodzieżą PWSFTviT oraz obejrzeli etiudy studentów. Przy tej okazji Dymitr Czyncadze zaprezentował film pt. **„Narysowany krąg"**.

EGZAMINY NA STUDIA matematyczne, fizyczne i chemiczne w Uniwersytecie Łódzkim odbywać się będą w tym roku według innych zasad. Zamiast dotychczasowych egzaminów wstępnych — pisemnych i ustnych, prowadzone będą z kandydatami rozmowy kwalifikacyjne z zakresu obranego przedmiotu.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI w Gruzji! Tom wierszy Tadeusza Chróścielewskiego „Tożsamość" (w wersji gruzińskiej otrzymał tytuł „Inny świat") wyszedł w przekładzie na język gruziński w Tbilisi w nakładzie 10.000 egzemplarzy. Gratulujemy.

W CENTRUM INFORMACJI KULTURALNEJ czynna jest wystawa fotografii artystycznej **Roberta Laski**. Natomiast DDK Łódź-Górna wraz z Wydziałem Oświaty Wychowania i Kultury UD zaprasza do udziału w konkursie fotograficznym pod hasłem **„Jacy jesteśmy"**.

„JEDNĄ Z NAJWIĘKSZYCH BOLĄCZEK w obecnym okresie jest brak w Łodzi schroniska, domu noclegowego dla bezdomnych. Dworzec Fabryczny jest przykrym tego obrazem. Na ławkach w poczekalni śpią wynędzniali, starsi ludzie. Żebrzą u kelnerki o talerz ciepłej strawy. Brak im własnego miejsca zamieszkania, a może i aktualnego zameldowania. Nie możemy dłużej tak beztrosko patrzeć na tych bezdomnych, nieszczęśliwych, chorych ludzi..." (Z listu Samorządu Mieszkańców Komitetu Obwodowego nr 23 do „Expressu Ilustrowanego".)

W ŁÓDZKIM DOMU KULTURY (w pok. 114) w każdy wtorek w godzinach 17—18 pełnią **dyżury członkowie zarządu Oddziału Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna**. ŁDK udostępnił również członkom i sympatykom TPGiW swoją kawiarnię (od wtorku do piątku w godz. 12—18).

KONRAD KUJAU, który odsiedział już karę 5 lat więzienia za podrabianie pamiętnika Adolfa Hitlera, założył pierwszą w RFN galerię falsyfikatów — połączoną ze sprzedażą. Nabyć u niego można m.in. falsyfikaty dzieł Rembrandta, van Gogha, Salvadora Dali. Galeria świetnie prosperuje. **Tym razem więc oszustwo opłaciło się!**

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

boru Kazańskiego na Placu Czerwonym w Moskwie wystąpiło Wszechzwiązkowe Towarzystwo Ochrony Pomników Historii i Kultury. Świątynia należała do najcenniejszych zabytków rosyjskiej kultury i historii. Zbudowany w 1650 r. sobór wziął swą nazwę od przeniesionej tu z Niżniego Nowogrodu powszechnie czczonej ikony Matki Bożej Kazańskiej. Był główną świątynią wojskową carskiej Rosji. Po Rewolucji, w 1925 r. rozpoczęto w nim prace restauracyjne, jednak kilka lat potem je przerwano. Wydano inne decyzje i sobór, zburzony w latach 30-tych, zniknął z Placu Czerwonego.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

Ta antyczna biblioteka składała się z Biblioteki Wielkiej i Małej. Gromadziła niemal całe piśmiennictwo greckie, etiopskie, hebrajskie oraz indyjskie i perskie a liczebność jej zbiorów określano na 400 700 tys. zwojów rękopisów. Założona przez Ptolomeusza II w III w. p.n.e. spalona została w 640 r. Wśród bibliotekarzy byli znani uczeni, m.in. poeta Kallimach, który opracował katalog zbiorów w 120 księgach „pinakes".

Przed kilku laty zrodził się projekt rekonstrukcji największej i najbardziej znanej biblioteki starożytności, wylansowany przez Egipt i Organizację UNESCO, który wywołał żywy oddźwięk wśród architektów z całego świata. Do tej pory udział w międzynarodowym konkursie zgłosiło 1.258 specjalistów z 70 krajów. Międzynarodowe jury złożone z 9 architektów i bibliotekarzy wyłoni w końcu września br. laureata konkursu, który zostanie zobowiązany do przedstawienia w okresie roku szczegółowej koncepcji projektu. Budowa biblioteki, pod którą symboliczny kamień położony został w ub. r., rozpocznie się w końcu 1990 r., a ukończona ma być w 1995 r.

„OBSCENICZNE" MALOWIDŁA

Malarskie prace pędzla angielskiego pisarza **D. H. Lawrence'a**, autora m.in. głośnej powieści **„Kochanek Lady Chatterley"**, podobnie jak książki tego autora, ulegały konfiskatom przez policję, zaś zakaz ich wystawiania obowiązywał aż do roku 1960. W okresie nagonki na pisarza malowidła uznane za „ordynarne" i „bezwstydne" miały być spalone, zdecydowano się jednak zwrócić je Lawrence'owi po zapewnieniu, że wywiezie je z Anglii. Uznane ongiś za „monstrualne i obsceniczne" pokazane zostały ostatnio na wystawie zorganizowanej w **Teatrze Haymarket** w Leicester. Wystawa zbiegła się z aktualnie wystawianą w tym teatrze sztuką Lawrence'a **„The Widowing Of Mrs Holroyd"**. W obawie przed bojkotem przez miejscowe władze i zniszczeniem obrazów oryginały w ostatniej chwili zastąpione zostały fotografiami. Obecny właściciel obrazów, południowo amerykański kolekcjoner proponował przed 4 laty nabycie malowideł Uniwersytetowi w Nottingham, jednak władze uczelni nie wyraziły zgody na powrót obrazów do kraju.

Bügd Najramdach Mongoł Ard Uls — czyli Mongolska Republika Ludowa, półtora miliona km kwadratowych, 5 razy więcej niż w Polsce, wielkie bogactwa naturalne, góry Ałtaj i Changaj oraz pustynia Gobi.

Kraj, po którym nie można podróżować samochodem

MARZENA MRÓZ

Jeszcze do niedawna bardzo trudno było uzyskać zgodę na wjazd do tego niewątpliwie egzotycznego dla nas i dziwnego państwa. Dziś nie ma z tym praktycznie żadnych problemów.

Po Mongolii podróżuje się pociągiem

Podróż samochodem przez ten kraj jest właściwie niemożliwa, gdyż nie ma tam dróg łączących poszczególne miasta czy osady. Tylko nielicznym udaje się uzyskać pozwolenie na przemierzanie piaszczystych stepów samochodem terenowym. Tak więc w chwili, gdy zawiedzie łączność kolejowa i lotnicza, z Mongolii wydostać się praktycznie nie można.

Krajobraz oglądany z okien pociągu może wydawać się dość jednostajny — płowoszary, pustynny step — aż po horyzont. I tak przez cały dzień. Nagle w oddali wyrastają niewysokie góry — zapowiadają one, że zbliżamy się do stolicy. Pełna jej nazwa brzmi Ułaan-baatar chot — co znaczy dosłownie: Miasto Czerwonego Bohatera. Pojawiła się na mapach dopiero w 1924 roku — zastępując dawniejszą nazwę Bogdo Kuren, co znaczy — Boski Obóz. Rosjanie nazywali to miejsce Urgą. Była to niegdyś niewielka osada, obozowisko wojłokowych jurt mongolskich i fangaz — glinianych lepianek zamieszkiwanych przez Chińczyków. Prawie połowę 30-tysięcznego wówczas miasta stanowili lamowie, nic więc dziwnego, że nad jurtami górował pałac namiestnika lamajskiego boga na ziemi Chutuchty, zwanego również Bogdo-gegenem. Bogdo Kuren był bowiem wtedy świętym miastem wyznawców lamaizmu, drugim w hierarchii po tybetańskiej Lhassie.

Dzisiejsze Ułan Bator świętego miasta nie przypomina z pewnością.

Pozostałością po dawnej świetności jest jedynie klasztor Gandan.

Wysoka oryginalna budowla z charakterystycznymi dla starej architektury tybetańskiej zadartymi w górę narożami dachów. Wzniesiony został w latach 1911—1913 na pamiątkę wyswobodzenia z niewoli mandżurskiej. Krył on w sobie przecudny kilkudziesięciometrowy, odlany z mosiądzu i złota posąg bathisattwy Ariawala — „Pana o niezmierzonym blasku", do którego spieszyli wierni z najodleglejszych zakątków Azji. Według wierzeń miał on dzięki swej boskiej mądrości znać wszelkie sekrety duszy ludzkiej, przepowiadał również przyszłość. Jeszcze 60 lat temu Gandan posiadał aż 3 duchowne akademie i 7000 mnichów. Dziś również można spotkać modlących się na dziedzińcu mnichów, ale jest ich już bardzo niewielu. Modlitwy odmawiane są na specjalnie do tego celu przeznaczonych „leżach", trwają nieraz bardzo długo i wymagają od modlącego się dobrej kondycji fizycznej. Trudno bowiem przez godzinę czy nawet dłużej wznosić do nieba ręce i wzrok, po czym padać całym ciężarem ciała na usytuowane tuż przy ziemi twarde, spadziste „leże". Modlący się nieraz całymi godzinami mnisi o ogolonych głowach wydają przy tej czynności głośne pomruki. Przy wejściu do centralnej budowli klasztoru znajdują się dość egzotyczne dla nas urządzenia, a mianowicie „bębny", które same odmawiają za nas modlitwę. Wystarczy, aby grzesznik chwycił za wystający drążek i chodząc w kółko poruszał wielką, drewnianą maszynę. Przyczepione są na nim również kartki ze spisanymi prośbami i podziękowaniami.

Dzisiejsza stolica socjalistycznej Mongolii liczy sobie około 500 tysięcy mieszkańców.

Z tego prawie połowa żyje w jurtach. Miasto leży w kotlinie, otoczone niezbyt wysokimi górami Chentej o łagodnych zboczach.

Centralnym punktem miasta jest wielki prostokątny plac. Na jego środku stoi konny pomnik Suche-Batora — twórcy Mongolskiej Republiki Ludowej. Tuż obok znajduje się jego mauzoleum i siedziba głównych władz MRL. Ułan Bator posiada 4 ważne pomniki, oprócz pomnika Wodza są to postumenty: Włodzimierza Lenina, Józefa Stalina i Gieorgija Żukowa.

Olbrzymia postać Józefa Stalina, spoglądająca na nas z zagadkowym uśmiechem, przypomina odległą epokę. Ale pomnik ten jest tu bardzo popularny. Mongolskie rodziny przybywające z prowincji do stolicy robią sobie przy nim obowiązkowo pamiątkowe zdjęcie.

Postument, przedstawiający siedzącego Włodzimierza Lenina, zapatrzonego w dal, usytuowany jest w parku jego imienia. Każdego ranka ekipy porządkowe sprzątają park bardzo dokładnie, aby często przybywające tam delegacje przedstawicieli ludu mongolskiego mogły bezpiecznie złożyć przed pomnikiem „świeże" bukiety sztucznych kwiatów.

Wielkie popiersie Gieorgija Żukowa zdobi radzieckie osiedle. Jest ono bardzo rozległe, przestronne i nowoczesne. Piękne białe bloki, schludne alejki. Rosjan jest w mongolskiej stolicy bardzo wielu i wyraźnie widać, że dobrze się tam czują. Ciemne okulary — lustrzanki, skórzane płaszcze, w których najczęściej chodzą — nadają im należytego splendoru. Mają własne sklepy, gdzie mogą kupować radzieckie produkty płacąc rublami, własne szkoły, przedszkola. Bariera językowa między tymi dwoma narodami praktycznie nie istnieje, gdyż Mongołowie już od najmłodszych lat pilnie uczą się języka sąsiadów. Na tych najpilniejszych, najzdolniejszych czeka nagroda — pojadą studiować na Zachód — do Moskwy.

Chcąc przebukować bilet lotniczy usilnie poszukiwaliśmy biura Mongolskich Linii Lotniczych MIAT. Niestety, nie ma w mongolskiej stolicy takowego (podejrzewam, że nie ma go również w żadnym innym mieście). Jest natomiast przedstawicielstwo radzieckiego Areoflotu, które chętnie występuje w imieniu MIAT.

W stolicy Mongolii są trzy hotele. W najekskluzywniejszym z nich o nazwie „Bajangoł" nocleg w dwuosobowym pokoju z niezbyt czystą łazienką kosztuje 180 tugrików, to jest około 5 dolarów. W najtańszym — „Junostie" można przenocować za 2 dolary, ale w towarzystwie karaluchów.

Co można zamówić w mongolskiej restauracji hotelowej?

Właściwie nie ma to żadnego znaczenia, gdyż cokolwiek byśmy sobie zażyczyli możemy mieć 99-procentową pewność, że i tak podadzą twardą baraninę z rozgotowanym ryżem. Tam nawet kurczę czy ryba ma smak baraniego mięsa.

Ulice Ułan Bator w niczym nie przypominają ruchliwych, zatłoczonych i kolorowych arterii, które można zobaczyć w innych stolicach państw socjalistycznych. Nie ma neonów, barwnych wystaw sklepowych, restauracji. Tam po prostu nie ma sklepów. Nic więc dziwnego, że jedyny dom towarowy w stolicy jest przez kupujących dosłownie oblegany.

Barwnym akcentem mongolskiej ulicy są kolorowe stroje jej mieszkańców.

Najważniejszą częścią tradycyjnego stroju Mongołów, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, jest deli — szeroki, długi prawie do kostek chałat. Jego lewą połę zakłada się głęboko na prawą i zapina z boku na cztery guziki, dwa pod szyją i dwa na biodrze. Przepasuje się go szarfą w taki sposób, że górna część tworzy coś w rodzaju kieszeni, w której Mongołowie noszą pieniądze i dokumenty. Deli szyje się z bardzo popularnego, połyskliwego materiału w przeróżnych kolorach. Jest on do tego stopnia uniwersalny, że szyje się z niego również kołdry. W Ułan Bator prawie połowa spotykanych na ulicach mężczyzn i kobiet nosi na co dzień i od święta deli. Staruszkowie dopełniają swój strój butami o zadartych czubach — młodsi preferują obuwie europejskie.

Dziwni ci Mongołowie. Obserwując ich sposób życia w mieście wydaje się, że niezbyt dobrze się w nim czują. Woleliby pohasać sobie na koniku czy wielbłądzie po piaszczystym stepie. Większość z nich niechętnie wyprowadza się z jurt do bloków, ceniąc sobie swobodę i niezależność... A jeśli nawet już to uczynią, zabierają z sobą do nowego domu stare przyzwyczajenia odziedziczone po przodkach żyjących, koczujących w stepie. Na balkonach nowych osiedli nierzadkim zjawiskiem jest wyprawiona i wywieszona skóra kozy czy owcy.

Jurtowisko w Ułan Bator jest bardzo rozległe, otacza Gandan — będąc dlań niesamowitym kontrastem.

Składa się z tysięcy małych lepianek, betonowych „bunkierków", drewnianych komóreczek, w których egzystują ludzie. Rozciąga się na piaszczystym wzgórzu — stanowiącym doskonałą ekspozycję. Całość otoczona jest drewnianym, bardzo wysokim płotem. Mimo ostrzeżeń znajomych, wypuszczamy się w dzielnicę jurt.

Wszystko jest szare, brudne, smutne. Ludzi praktycznie nie widać. Z maleńkich kominów unoszą się smużki dymu. Bardzo chcielibyśmy wejść do środka, ale wiemy, że nie będziemy tam mile widziani. I rzeczywiście. W chwili gdy usiłuję zrobić zdjęcie korzystając z małej przerwy w płocie, ktoś rzuca w naszym kierunku kamieniem. Na szczęście niecelnie.

Bose, półnagie dzieci ślizgają się po zamarzniętej „fosie" — rzeczce ścieków okalającej jurtowisko. Pewnie nie widzą wielkiego elektronicznego zegara na jednym z najnowocześniejszych w stolicy budynków, który na przemian pokazuje godzinę i minusową o tej porze roku temperaturę.

Co zwiedzać w Mongolii oprócz jej stolicy?

Mongolskie Biuro Podróży oferuje dwie bardzo atrakcyjne wycieczki — przelot awionetką na Karakorum oraz na południową Gobi. Ceny wycieczek nie są wygórowane, można się na nie wybrać już od połowy maja.

Karakorum — to legendarna stolica Mongolii, siedziba Czyngis-chana. Położona jest 380 km w linii powietrznej na zachód od Ułan Bator, 160 km od centrum ajmaku. Na terenie dawnego Karakorum znajduje się zespół świątyń obecnie zrekonstruowanych. Całość otacza pustynny, szary step, który zdaje się nie mieć końca. Jednym z punktów programu pobytu w dawnej stolicy jest zwiedzanie klasztoru Erdeni Dzu. Otoczony jest on wysokim murem, z którego na cztery strony świata prowadzą cztery bramy. Na terenie objętym owym murem znajdowało się kiedyś ponoć sto wielkich i mniejszych świątyń.

Podróż na pustynię Gobi jest nie mniejszą atrakcją. Zajmuje ona południową i wschodnią część terytorium Mongolii oraz pograniczne tereny Chin. To olbrzymi obszar, obejmujący prawie 2 miliony kilometrów kwadratowych. Jednostajny, płowy kolor piasków Gobi skłania do refleksji. Egzotyczne zwierzęta — dzikie konie, wielbłądy (baktriany) — wszystko to można zobaczyć z niewielkiej odległości, na własne oczy. Latem jest tam bardzo gorąco; temperatura w lipcu dochodzi do 45 stopni, zimą — gwałtownie spada do —40.

Najpiękniej na pustyni jest późnym popołudniem, kiedy słońce zachodzi na czerwono, a cienie traw wydłużają się znacznie. Jest to czas, kiedy można bez ograniczeń spojrzeć przed siebie aż do bólu wzroku, aby zobaczyć to, czego nieraz przez całe życie usilnie szukaliśmy.

Sen Wilka (6)

JERZY WAWRZAK

— Raczej o kim! Chodzi o moich dawnych chłopców. Wir, Przepiórka, Maciek, Lis i Malutki — wymieniając pseudonimy odginał po kolei palce zaciśnięte w pięść — niepotrzebnie ich trzymasz w areszcie, są czyści, nic im nie udowodnisz... Wypuść ich, Bronek, przecież ci zależy na budowaniu zaufania dla tego twojego państwa. Wypuszczając ich puszczasz wodę na swój młyn.

— Nie jestem Panem Bogiem ani choćby prokuratorem.

— Nie rozśmieszaj mnie, prokurator podpisze każdy twój wniosek, bez czytania.

— Mógłbym to zrobić bez wahania, gdyby Śmiały rozpuścił oddział i sam poszedł do domu. Nie chcę jego głowy, chociaż przysłał mojemu zastępcy wyrok śmierci, wystarczy mi spokój w okolicy. Przekonaj go i z twoją piątką nie ma sprawy.

— Ja? — udał zdziwionego Radłowski.

— Nikt tego lepiej nie zrobi, niż były dowódca.

— Nie, towarzyszu, nie bądź taki chytry. Tak zrobimy: najpierw wypuścisz chłopaków, a ja daję ci oficerskie słowo honoru, że porozmawiam ze Śmiałym i użyję wszelkich argumentów, aby go przekonać do wyjścia z lasu. Chociaż za ostateczny skutek głowy dać nie mogę.

— Przemyślę sprawę, muszę się poradzić zaufanych ludzi, ale chyba się zgodzę, dla mnie każdy sposób jest dobry byle skuteczny... No, dobrze — machnął ręką z determinacją — i tak na mnie spada odpowiedzialność, jutro będą wolni. Nalej jeszcze strzemiennego idę trochę się przewietrzyć i uwalę spać — wypili ostatni kieliszek na stojąco, uścisnęli serdecznie; Kowal zapiął mundur i założył pas z kaburą — a ty, nocny ptaszku?

— Zejdę jeszcze na dół, wyrazić swoje uznanie Paciorkowi.

W chwilę po wyjściu Kowala do saloniku wsunęła się Lodzia. Zamknęła drzwi na klucz i stanęła przed siedzącym na kozetce Karolem, wolno rozpinając w pasie sukienkę.

— Nie zdejmuj sukienki — zaczął od samego dołu unosić jedwabistą materię.

— Panie kapitanie, pogniecie się... — zachichotała.

— Ale tak jest bardziej podniecająco, głuptasie... a powagę w łóżku zachowaj dla przyszłego męża — dziewczyna rozpięła bluzkę, wiedziała że lubi całować jej piersi, gryźć jej sutki; teraz już mogła uklęknąć nad jego obnażonym brzuchem i wchłonąć w siebie jego niecierpliwą i zolbrzymiałą pożądaniem męskość.

— Karol, Karol... — powtarzała bez przerwy jego imię na przemian z wymyślnymi przekleństwami, wczepiona palcami w jego włosy, to całując jego twarz, to przyciskając mocno jego głowę do swoich piersi — czuję go pod sercem... zamordujesz mnie draniu, nie śmiej się, łajdaku, będę krzyczeć ze szczęścia...

Radłowski ocknął się z zamyślenia. Tamten wieczór i kawałek nocy w „Europie" były udane pod każdym względem. Kowal dotrzymał obietnicy, Karol także, chociaż...? Pedant powiedziałby, że wywiązał się z zobowiązania połowicznie. Kowal miał co chciał, czyli spokój w powiecie, ale Śmiały nie rozwiązał oddziału i nie ujawnił się. Powiedział Radłowskiemu wprost: „Może mnie pan kapitan na miejscu kropnąć, ale tego rozkazu nie wykonam, sam sobie nie nałożę pętli na szyję, pan ma swoją politykę, a moją polityką jest pistolet maszynowy". Wtedy Karol wymyślił owo rozwiązanie zastępcze: nakazał Śmiałemu wynieść się z powiatu z oddziałem, podporządkować „Warszycowi" i nie zaglądać tu przynajmniej przez pół roku. Śmiały służbiście trzasnął obcasami, zameldował, że natychmiast przystępuje do wykonywania rozkazu i zaprosił Karola na pożegnalną szklaneczkę samogonu. Ustalili też, że Śmiały zmieni pseudonim i rozpuści po okolicy plotkę o swoim rzekomym wyjeździe do Szczecina.

Z kościoła zaczął się wylewać tłum wiernych. Radłowski musiał jeszcze chwilę odczekać, nim zobaczył rodziców wychodzących razem z Ostrowskimi. Podszedł się przywitać, uprzejmie wysłuchał matczynej przygany, że przyszedł księdza rozebrać i biorąc Kamillę pod rękę ruszyli do oczekujących w pobliżu sanek. Pokurczowaty Dąbek w furmańskim kożuchu do ziemi, w naciśniętej na oczy baranicy, z fioletowym nochalem, przytupywał śnieg filcakami. Zaraz na ich widok zaczął się gramolić na kozioł. Od pewnego czasu Karol zastanawiał się czy nie kupić auta, opelka czy małego forda, ale wydało mu się to przedwczesne, a właściwie lubił spacerować, w razie potrzeby korzystając z usług Dąbka, który teraz na zimę zamienił czarną, staroświecką dryndę na jakieś pokraczne, na niebiesko wymalowane pudło na płozach. Swoim zwyczajem płacił mu hojnie i Dąbek był na każde zawołanie. Ruszyli w stronę parku. Kama ubrana w karakułowe futro i czapę ze srebrnego lisa dała się objąć ramieniem i przytulić, ale milczała nienaturalnie długo.

— Powiedz chociaż na jaki temat mamy milczeć? — spytał wreszcie Karol.

— Dobrze wiesz na jaki — odparła jeszcze nadąsana, ale po chwili wyciągnęła z bobrowej mufki prawą dłoń i podsunęła mu pod usta. Posłusznie pocałował i roześmieli się oboje.

Do samego parku dojechali w milczeniu, ale było to już przyjazne milczenie. Płynny ruch sanek, dźwięk dzwoneczków dyndających u szyi konia skłaniały do zamyślenia Kamę, a Radłowski w pośpiechu szukał odpowiednich słów, jakiegoś w miarę łagodnego sposobu, aby jej oznajmić wieść może nie hiobową, ale obracającą wniwecz ich wzajemne plany. Przed wejściem do parku zostawili sanki i rozpoczęli samotny spacer, gdyż niska temperatura rzadko kogo mogła zachęcić do takiej ekstrawagancji.

— Coś cię gnębi, Karolu? — spytała z niepokojem w oczach Kama.

— To męskie sprawy — chciał jak najdłużej odwlec tę nieszczęsną dla narzeczonej chwilę, ale mu nie pozwoliła.

— Teraz nie możesz mieć przede mną żadnych tajemnic, przecież na Wielkanoc weźmiemy ślub — uśmiechnęła się. — Czytałeś w gazecie? Nasi demokraci wymyślili jakieś cywilne śluby, na wzór sowiecki. Jak chcesz, to możemy się jutro zarejestrować w starostwie... ech, głupstwo, i tak od dawna jesteś moim mężem, kochany, ale musze się za ciebie ostro wziąć...

— Obawiam się, Kamuszku — przerwał jej delikatnie — że musisz z moim wychowaniem jakiś czas poczekać... Mówię serio — dodał widząc jej oczy nadal roziskrzone wesołością — dziś rano zostałem ostrzeżony, bezpieka chce mnie zapudłować.

— Och, Karol — skrzywiła płaczliwie usta jak mała dziewczynka — prosiłam cię, obiecywałeś... Mają coś na ciebie?

— Tutaj nie, ale jeśli jakaś wsypa w Zrzeszeniu, w Łodzi albo w Warszawie, to mogą mieć.

— W jakim zrzeszeniu, na Boga?

— Ty, dziecino, żyjesz na księżycu... Wolność i Niezawisłość.

Nagle stanęła jak wryta.

— Człowieku! I ty sobie tak spokojnie spacerujesz ze mną po parku, jedziesz przez całe miasto sankami?! Przecież musisz uciekać! Rany boskie — rozejrzała się trwożliwie dokoła, jakby w ośnieżonych kępach krzewów czaiła się chmura agentów kamienieckiej bezpieki.

— Spokojnie, Kamuszku — objął ją i pocałował lekko spierzchnięte od mrozu wargi — nie posmarowałaś się nivejką, odmrozisz sobie nosek. Dzisiaj mnie nie wezmą, dzisiaj jeszcze moje święto. Mam w bezpiece przyjaciela, to facet z klasą, ma gest.

— Naprawdę?

— Słowo harcerskie...

Wrócili do sanek i Karol kazał podjechać Dąbkowi pod „Europę". Restauracja była czynna od południa i ruch w niej jeszcze niewielki. Podszedł Paciorek, przywitać się i złożyć życzenia z okazji Nowego Roku; o zaręczynach też już wiedział i nie zapomniał wyrazić z tej okazji swojego zachwytu. Obok niego pojawiła się Lodzia, aby przyjąć zamówienie. Zamówił kawę i dwa anyżkowe likiery. Nie cierpiał takiego trunku, ale był to jedyny rodzaj alkoholu, na który można było Kamillę namówić.

Odczekał chwilę aż Kama pójdzie do toalety poprawić makijaż i skinął na kelnerkę. Podeszła natychmiast.

— Szczęśliwego Nowego Roku, Lodziu.

— Szczęśliwego Nowego Roku, panie kapitanie... co się stało?

— Muszę dzisiaj u ciebie przenocować, przyjdź koło ósmej, będziesz mi potrzebna. Tylko sprawdź, czy nie wleczesz jakiegoś tajniaka za sobą.

— Rozumiem — lekko dygnęła i odeszła kołysząc biodrami.

Nie siedzieli długo, tyle żeby spokojnie wypić kawę i wysączyć likier. W szatni Karol kupił karton chesterfieldów i znów wsiedli do sanek. Nic w swoim planie nie chciał zmieniać. Nie sądził, że jest śledzony, nic też takiego nie zauważył, chociaż na wszelki wypadek pistolet miał za paskiem spodni. Podjechali pod willę Ostrowskich. Karol zwolnił Dąbka na trzy godziny, tyle czasu sobie wyznaczył na zjedzenie obiadu i oczekiwanie na wcześnie zapadający zmierzch.

Wracał do domu, kiedy już było zupełnie ciemno. Kama przy obiedzie zachowywała się dzielnie, paplała z matką i udawała, że cieszy się z powrotu na uczelnię. Mecenas roztrząsał przed swoim przyszłym zięciem problemy sądownictwa, kpił i złościł się na przemian z szopki jaką rząd robi z wymiaru sprawiedliwości, ale Karol go nie słuchał. Starał się tylko tak manewrować, żeby nie zostali z Kamą sam na sam, co mu się do końca udało. Z wyjątkiem ostatniego pocałunku w holu. Trzymał ją długo w objęciach, nie szlochała, ale ramiona jej drżały jak w ataku febry, jakby ten tłumiony płacz wyładowywał się wewnątrz piersi i przechodził w owo rozpaczliwe drganie. Musiał obiecać, że napisze na adres jej łódzkiej koleżanki i jeśli tylko będzie mógł odwiedzi ją na uczelni albo wyznaczy spotkanie w Warszawie.

Na Narutowicza nie było daleko, ale Radłowski celowo wracał sankami. Nim ruszyli zapłacił podwójną niż zwykle stawkę i kazał Dąbkowi czekać na siebie co najmniej godzinę, a gdyby nie wyszedł, miał odjechać bez żadnego rozpytywania się o niego w mieszkaniu Radłowskich. I okazało się, że intuicja Karola nie zawiodła. W przeciwległej do jego kamienicy bramie dostrzegł dwóch nie znanych mu mężczyzn palących papierosy, którzy udawali jak mogli, że ich jego osoba nie interesuje.

Idąc po schodach uśmiechał się i mruczał do siebie: och, głupie psy, macie za chude uszy na starego wilka... Wilk, wilk — smakował to słowo — będziesz miał Kowal swojego wilka, będę wilkiem, który ci skoczy do gardła... Wilk, kapitan Wilk, może major Wilk, to dobrze brzmi, mam nowy pseudonim.

Otworzyła mu Weronika. Matka czytała książkę w gabinecie ojca, a Hieronim Radłowski odbywał swą poobiednią drzemkę w małżeńskiej sypialni. Objął matkę ramieniem i zajrzał do książki.

— Znowu psujesz oczy nad jakimś francuskim romansidłem, mon maman — zmierzwił nieco jej starannie ułożoną fryzurę i cmoknął w policzek. Radłowska zdjęła okulary i przyglądała mu się z wyrozumiałym uśmiechem.

CDN.

(Fragment powieści)

Andrzej Makowiecki

Pięćdziesiąt melonów

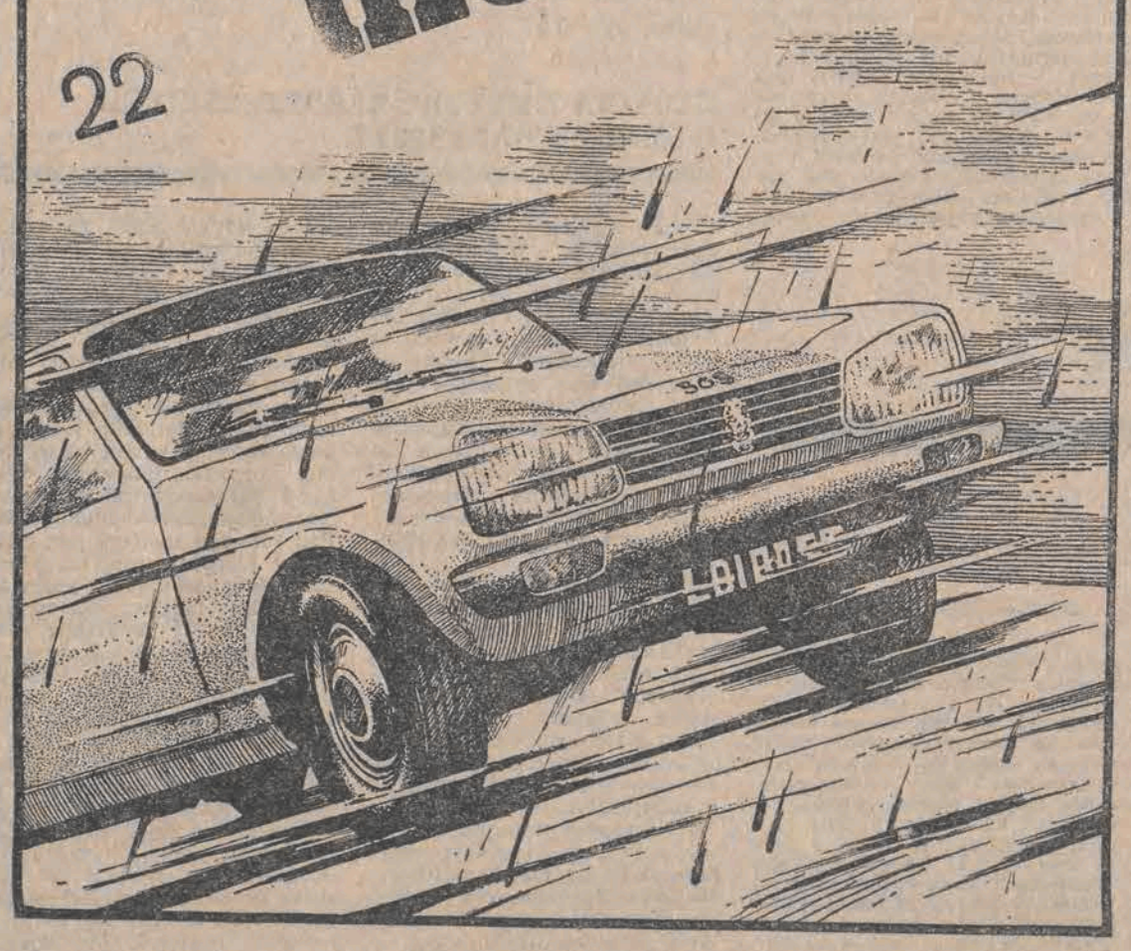

Rys. Janusz Szymański-Glanc

OD REDAKCJI: wszystkie hipotetyczne fakty są jedynie tworem bogatej wyobraźni autora!

Wbiegli w tunel z betonowych okrąglaków o dnie wypełnionym strugą gruntowej wody. Dalej nie mogli już biec; musieli rozstawiać szeroko nogi i czepiać stopy o lewą i prawą stromiznę tunelu. Byli ubłoceni do kolan; w okrąglakach grało echo ich zdyszanych oddechów. Ciągle jeszcze mieli na głowach kaski, a na dłoniach gumowe rękawice. U wyjścia z tunelu Bernard poślizgnął się i upadł.

W tym samym czasie szewc wykonał na warszawskiej drodze płynny, szeroki zakręt i zaczął wracać ku miasteczku ze wzrokiem utkwionym w ten punkt, gdzie powinny ukazać się kolorowe kaski.

Są!

Wychynęły spoza nasypu — najpierw granatowy, później czerwony. Gustaw przygazował, po czym, nie zatrzymując się praktycznie, otworzył braciom przednie i tylne drzwi.

Wskoczyli. Do tej pory akcja otrzymałaby zapewne celujący stopień w rankingu amerykańskich gangsterów; od tej pory natomiast amerykańscy gangsterzy zdjęliby po prostu z głów swoje szerokoskrzydłe kapelusze.

Bernard komenderował:

— Kaski!

Poszły pod siedzenie.

— Rękawice!

Poszły pod siedzenie.

— Kurtki!

Poszły pod siedzenie.

— Buty!

Poszły pod siedzenie zastąpione przez suche sandały.

— Papierosy!

Wszyscy trzej zapalili papierosy. Wszyscy trzej byli teraz w czystych, kolorowych koszulkach, co sprało z nich niejako odium zbrodni. Bernard przeczesał włosy i odwrócił głowę:

— Przykryłeś sakwojaż?

— Przykryłem. — Jacek poklepał stertę wyrobów dżinsowych, spiętrzonych u lewego uda.

— Wal jakiś kawał!

— Po co?

— Żeby nas rozbawić. Nasze twarze muszą wyglądać wesoło i pogodnie.

— No więc przychodzi baba do lekarza...

— A lekarz też baba. Nie możesz wymyślić prawdziwego dowcipu?

— Pewnego razu facet zjawił się na konferencji prasowej w samych tylko kalesonach i biustonoszu...

— Mata pieniądze?! — zainterweniował niecierpliwie Gustaw.

— Mamy.

— Ile?

— Cholera wie.

— Była strzelanina?

— Nie było żadnej strzelaniny — skłamał gładko starszy brat. — Grzej równo pięćdziesiątką!

— Przecie grzeję pięćdziesiątka!

— I tak trzymaj!

Urągając wszelkiej logice samochód wracał na miejsce zbrodni — zamiast uciekać, szedł w piekło! Na moście minęła go pędząca na złamanie karku kohorta milicyjnych polonezów i fiatów. Trzy radiowozy strzeliły ku Warszawie: dwa runęły na południe, dwa na północ.

Peugeot zbliżał się z każdą sekundą do bunkra, pod którym stało teraz mnóstwo gapiów; szewc nie dojrzał spryskanego krwią parkingu, zaniepokoił go natomiast milicjant o dystynkcjach kapitana — śledził nadjeżdżający samochód z wyczuwalnym zainteresowaniem i sprawiał wrażenie, jakby chciał go zatrzymać.

Był jeszcze czas, aby skręcić w prawo i umknąć boczną ulicą. Gustaw zamierzał trącić ramię kierunkowskazu, lecz Bernard wyciągnął rewolwer, wcisnął go pod udo i wystawiając przez krok ryjek lufy, szepnął z uśmiechem:

— Prosto albo rozwalę ci łeb!

— Będzie wpadka!

— Prosto, prosto! I uśmiechnij się, do ciężkiej kurwy, bo rąbnę!

Szewc wyczuł siarczany swąd prochu, pomyślał swoje i zastosował się do rozkazu. W tym samym momencie kapitan uniósł do góry dłoń.

24.

Kapitana rozpierała żądza czynu. Wszystko, co było do zrobienia w mieście, zostało już zrobione, tymczasem od dobrych dziesięciu minut nękało oficera silne przeświadczenie, że powinien natychmiast sprawdzić melinę Grzelików — ojca i trzech drągali, którzy mieli na sumieniu kilka kryminalnych afer, a wegetowali pięć kilometrów od południowej drogi za mostem, w rozpadającym się, dwuhektarowym gospodarstwie. Dlatego właśnie kapitan zawezwał do siebie z komendy sierżanta Wilczyńskiego, kierowcę zradiofonizowanej emzetki. Chłopak był świetny, jedyny na taką eskapadę — szybki, bojowy, jeżdżący w razie potrzeby jak kaskader i strzelający jak kowboj.

Gdzieś jednak zawieruszył się dzielny sierżant Wilczyński. Kapitan nie był od tego, aby pożyczyć sobie samochód od jakiegoś miejscowego obywatela, jednakowoż zmotoryzowani miejscowi obywatele, wyczuwając podłe zapędy oficera, poznikali przytomnie.

— Wsiarstwo!

Kapitan odpluł gorzką, zwarzoną gniewem żółcią. Podejrzenie, iż może to być banda Grzelików, zamieniło się nieomal w pewność. Skoku musiał dokonać ktoś, komu znane są doskonale powiatowe obyczaje i stosunki, i komu nieobcy jest rozkład zajęć obydwu kantorów. Puszczone w bój radiowozy podążyły za królikiem, tymczasem wilk może zacierać ślady!

Wilk skojarzył się kapitanowi z Wilczyńskim i rozwścieczony oficer posłał swojemu wspaniałemu chłopakowi mięsistą wiązankę.

Niebawem jednak uspokoił się na widok zdrożonego peugeota. Prywaciarstwo! Nie lubił bądź nie zdążył jeszcze polubić prywaciarstwa. Widoczna z oddali kipiel dżinsu nie była mu w smak. Kolorowe koszulki cwaniaków grały mu na nerwach. Normalnie, zgodnie z rutyną, milicjant patrzy na numery pojazdów, kapitan tak był przecież pogrążony w swoich rozważaniach o Grzelikach i o prywaciarstwie, że numery nie interesowały go zbytnio.

— Zarekwiruję! — zdecydował. — Mam obowiązek i prawo! Krótka przerwa wyjdzie im na zdrowie.

I wtedy właśnie uniósł do góry prawą dłoń, nie wiedząc, że jest krok od wieczności, krok od spokoju i krok od końca wszelkich śmiesznych ludzkich kłopotów, które zaśmiecają szalę na wadze Pana Boga nie pozwalając mu odpocząć.

Porządne chłopaki! — Peugeot zaczął wytracać szybkość stosując się karnie do sygnału kapitana. — Niby zgniłe, kapitalistyczne prywaciarstwo, a więcej przejawiają obywatelskiej troski niż ta swołocz! — Nie umknęło uwagi oficera, że wśród wozów, które zwiały, były również wozy lokalnych bonzów. — Swołocz, swołocz, swołocz, swołocz! A ci, proszę! Stają!

25.

Prawa stopa szewca krążyła cały czas między hamulcem i gazem, gotowa w każdej chwili przydusić akcelerator i staranować szlachetnego kapitana. Bernard odkręcił szybę, aby mieć czyste pole do strzału. Uśmiechał się i mruczał pod nosem:

— Jak powiem wal, to wal!

Wicher przyciskał ręką oszalałe serce. — Co myśmy najlepszego zrobili?! Cośmy zrobili!? Cośmy zrobili?! Boże najdroższy, po co nam to wszystko było!

Bernard uchylił juz usta, aby rzucić szewcowi rozkaz, wszelako w tym samym momencie kapitan odszedł i wskoczył na tylne siodło milicyjnej emzetki, która wyprysnęła dosłownie w powietrze z uniesionym przez chwilę do góry przednim kołem.

Peugeot potoczył się dalej przez powiatowe miasteczko, a potem wjechał na pustawą, spokojną drogę, gdzie tylko od czasu do czasu pojawiały się anonimowe samochody, prowadzone przez anonimowych kierowców, którym przyświecały jakieś anonimowe cele.

Część druga
Nietoperze

1.

Bernard zmienił spodnie i polecił Jackowi zrobić to samo. Obydwaj byli teraz w nowych, podrabianych dżinsach Montana, które cieszą się niezwykłym powodzeniem w kraju radzieckim, a Lwów śpiewa o nich przepojone tęsknotą romanse. Montany Bernarda były w sam raz, gdyż przygotował je sobie wcześniej; Jacek musiał podwinąć nogawki.

W samochodzie nastąpiło przetasowanie. Prowadził Bernard mając obok siebie Jacka; szewc siedział z tyłu. Wypytywał:

— Kiedy przeliczymy kasę?

— Jak przyjdzie czas.

— Ale dzisiaj?

— Dzisiaj.

— Ile dostanę?

— Swoje łykniesz; nikt cię nie oszuka. Ale uważaj, Gustaw! Na twoim miejscu nie ruszałbym tych pieniędzy przez najbliższe pół roku. Na twoim miejscu zakopałbym je w tym paskudnym ogródku przy torach i nie ruszał pod żadnym pozorem, dopóki sprawa nie ucichnie.

— Zgniją! W czym je zakopię? — obruszył się szewc.

— Uszyłem dla ciebie specjalny pojemnik.

— Ze szmat?

— Ze szmat i z hermetycznego plastyku.

W oczach szewca błysnęło uznanie.

— Samowity kizior z ciebie, brachu!

— Z ciebie też — pochwalił go Bernard. Było mu lekko, cudownie, bezpiecznie — słoneczny świat za upstrzoną trupami owadów szybą wydawał się rajem; urzekały go zielone łąki i wysokopienne lasy, urzekały eksplozje pojedynczych drzew na polach i kwiaty w ogródkach przydrożnych domów. Nie zapomniał jednak przekazać szewcowi dalszych poleceń: — Ani słowa żonie, Gustaw!

— No jużci!

— I nie znamy się od dzisiaj. Bez urazy, polubiłem cię nawet, ale kiedy przyjedziemy do Łodzi i powiemy sobie do widzenia, przestaniemy dla siebie istnieć. Jasne?

— Jasne.

— Mijamy się na podwórku tak, jak mijają się sąsiedzi, których łączy zadawniona niechęć i pogarda.

— Butów u mnie nie będziecie reperować?

— Będziemy. Robiliśmy to dotąd, więc nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy robili to dalej. Żadnych zmian!

— Dobra. Gadamy se i gadamy, zaś tych pieniędzy może być mało — mruknął podrażniony szewc.

— Nie przejmuj się! Jest ich więcej niż myślisz.

— Skąd wiesz?

— Trzeba było o nie strzelać.

— Mówiłeś, że nie strzelişta.

— Nie chciałem cię denerwować.

— Tak se właśnie kombinowałem — rzekł ponuro Gustaw. — Jak wyjąłeś w mieście kopyto, był smród, i tak se właśnie kombinowałem.

Przymknął powieki i zasnął. Mając sakwojaż u boku, nie przewidywał żadnych podstępów. Był spokojny!

— A co MY zrobimy z tym szmalcem? — szepnął Jacek.

— Na razie nic — odszepnął starszy brat. — Na razie trzeba odczekać, a potem przemielić go na dolary.

— Wszystko?

— Tak. Wszystko, jednym ciągiem i jednego dnia, w miastach, które są daleko od Łodzi. Nie będzie to wcale takie proste — kupić, lecz nie rzucić się w oczy, nie dać się zapamiętać. Czy ja wiem? Peruka, okulary, broda, sztuczne wąsy; może potrzebny będzie garnitur, może sutanna, może gwizdnę komuś wóz? Mam czas, aby to przemyśleć.

— Ale w ogóle załatwisz sprawę z cynkami?

— Oczywiście. Tylko cynki, kilkunastu cynków dysponuje takim papierem w dużej aglomeracji, w Poznaniu albo we Wrocławiu albo, jeszcze lepiej, w Trójmieście. Cynk gwarantuje zdrowy towar i wysoki nominał, a nam potrzebne są właśnie wysokie nominały tak, aby całość zmieściła się w podwójnym dnie jednej aktówki.

— I co dalej?

— Dalej to będziemy już poza wszelkim podejrzeniem i skoczymy do tatusia, który wcześniej przyśle nam zaproszenie.

— Jesteś genialny! — Jacek pocałował brata w rękę.

— Nie wygłupiaj się!

— Nigdy nie wiedziałem, że mam genialnego brata!

— Zjadłbym coś.

— Ja też.

— Zahaczymy o jakiś bar. Chciałbym, żeby było już po zmroku.

— Czemu?

— Zobaczysz.

Nie wracali przez Brzeziny, lecz przez Tuszyn. Odbili z Gierkówki w prawo. Tuż za ślimakiem próbował zastopować ich milicjant. Bernard wykonał ręką gest ubolewania i popędził dalej. Milicjanta zalała krew. Skurwysyny! Żadnego szacunku dla władzy! Fakt, że nie było luźno, ale jakoś by się zmieścił. Chodzi przecież tylko o kilka kilometrów — do kochanki jechał w najbliższej osadzie. Dranie, łajdaki! Zgrzytał zębami i zaciskał piąchy. Zlekceważyli go! Zignorowali! Potraktowali jak gówniarza! Może wiozą jakiś trefny ładunek? Nie, nie wiozą trefnego ładunku, trzeba jednak dać im popalić! Zajechać drogę, wylegitymować, przepytać i poszperać w samochodzie.

Pieścił kapral swoje mściwe myśli, a to z tego powodu, iż z Gierkówki stoczyła się na drogę biało-niebieska wołga z kogutkiem. No, będzie kogel-mogel w tym peugeocie, będzie! Już on chłopców odpowiednio nastawi, a chłopcy na pewno go podrzucą. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby milicjant nie podrzucił milicjanta.

Z otuchą patrzył na zbliżający się, miły oczom i sercu radiowóz, ten jednak zatrzymał się raptem, dwóch chłopców wyskoczyło na pobocze i oddało mocz, po czym wołga wróciła na autostradę.

Peugeot tymczasem stanął przed gospodą w osadzie i Bernard z Gustawem poszli dokonać zakupów. Wyrostek o zdziczałych z nudy oczach, brudny, chudy, wyposażony przez matkę naturę w fizys, która rokowała mu przyszłość w jednym z wolnych bandyckich zawodów, odzyskał jakby wiarę w urok życia. Strzyknął przez zęby śliną, której barwa świadczyła dowodnie, iż lubi sobie zapalić, zmarszczył czoło, co było sygnałem, że zaczęły się skomplikowane procesy myślowe, skosił chodnik, podszedł do siedzącego w peugeocie Jacka i patrząc z oskomą na zaścielony dżinsem tył samochodu, zapytał słodko:

— Wiela chcesz za te pantaluny?

Zwykle odprawiał Jacek w takich wypadkach intruzów jednym celnym, ordynarnym słowem, tym razem jednak zdobył się na grzeczność.

— Nie moje.

— A czyje?

— Właściciela.

— Pogaż!

Jacek przycisnął guzik w drzwiach, nim wyrostek złapał za klamkę, i nie mogąc już dłużej wytrzymać, powiedział:

— Sknacaj!

— Co się nerwujesz, goleś?! Gupię, mam pieniądze.

— Sknacaj! — powtórzył Jacek; rzeczywiście był zdenerwowany i wypatrywał gorączkowo brata. Do cholery z tą osadą! Do cholery z piciem i żarciem!

— Potrzebowzgi jezdem w sam raz, gochany — bełkotał niewyraźnie stwór, przyglądając się Jackowi z bezgraniczną zuchwałością i wyzwaniem. — Zabawa jutro u nas będzie z gobietami i gapelą.

Jacek usłyszał śmiech. Trzech innych wyrostków zjawiło się na chodniku, a potem jeszcze trzech i dwie dziewczyny. Rżała z radości cała ósemka, „gochany" jeno był poważny, z czego należało wysnuć wniosek, iż rzeczywiście zamierzał uskutecznić kupno.

Wysiądę i sflekuję drania! — Jacek zbladł. Drugim torem myśli rozcierał w proch Gustawa i Bernarda. Jeść im się zachciało, baranom!

— Odejdź!

— Otwórz!

— Nie!

— To pogaż chociaż bez ogno, gochany, pogaż!

— Ty, ty!

— Co?

— Telefon do ciebie!

— Nie lubię tagich gawałów.

— A co lubisz?

— Te pantaluny mnie pasują.

Jacek wpadł nagle na szczęśliwy pomysł i krzyknął:

— To idź i zawołaj właściciela!

C.D.N.

Wideonotes

FILM TV WIDEO

„Skok w głęboką wodę"

— rozmowa z reżyserami filmów krótkometrażowych: JERZYM BEZKOWSKIM, ZBIGNIEWEM KIERSZTAJNEM i RYSZARDEM NAKONIECZNYM.

— Kilka tygodni temu na łamach „Odgłosów" rozmawiałam z Władysławem Wasilewskim i Zygmuntem Skoniecznym o powołaniu do życia „Zespołów Filmowych" w krótkim metrażu. Obydwaj rozmówcy akcentowali plusy takiej inicjatywy. Czy panowie podzielacie ich entuzjazm?

— W dzisiejszych warunkach powołanie „Zespołów Filmowych" w krótkim metrażu jest skokiem w dość głęboką wodę — mówi **Jerzy Bezkowski** — Jest to przecież problem przejęcia pełnej odpowiedzialności ekonomicznej nie tylko za produkcję filmów, ale także częściowo za ich dystrybucję. A kwestia samodzielności zespołów nie jest do końca wyjaśniona.

— Dlaczego?

— Pierwsze próby stworzenia „Zespołów Filmowych" w WFO miały miejsce w 1981 r., ale dopiero z chwilą ogłoszenia nowej Ustawy o Kinematografii zaistniała faktycznie taka możliwość. Na mocy tej Ustawy zespoły mogą powstawać w ramach instytucji filmowej. W związku z tym ich pełna samodzielność pozostaje pod znakiem zapytania, skoro zespół ma być ekonomicznie odpowiedzialny przed Wytwórnią. Jeżeli zespół miałby być jednostką samodzielną nie tylko w sensie programowym, ale również finansowo, to ustawa musi ulec nowelizacji, którą proponują twórcy filmów fabularnych.

— Czego się panowie obawiacie?

— Film krótkometrażowy jest nieco innym produktem aniżeli film fabularny — kontynuuje Jerzy Bezkowski. — Sposób jego dystrybucji daleko odbiega od zadowalającego. Właściwie nikt się tą produkcją nie interesuje. Dla Centrali Dystrybucji Filmów jest to działalność marginesowa. Nie ma kopii, a nawet gdyby były, to Okręgowe Instytucje Rozpowszechniania Filmów nie są zainteresowane towarem, który będzie leżał na półkach. Nasze filmy najczęściej są wyświetlane poza kinami, w szkołach, klubach, przeważnie w instytucjach dysponujących aparaturą przystosowaną do taśmy szesnastomilimetrowej. Kopie trzydziestopięciomilimetrowe nie przynoszą zysku. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat bardzo zmieniła się sytuacja. Oczywiście Wytwórnia jako instytucja świadcząca usługi filmowe może istnieć dalej, ale kosztem zlikwidowania produkcji filmów krótkometrażowych. Ta alternatywa jest groźna dla naszego środowiska filmowego, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę. Wcale nie jest powiedziane, że po wyprodukowaniu filmu będzie on komukolwiek sprzedany. Dystrybutor filmów ma tak samo wolny rynek w towarach jak inne przedsiębiorstwa i będzie wybierać filmy które zakupi. Film stał się towarem. Bezpowrotnie skończyły się czasy, kiedy każdy film krótki, poza tymi, które otrzymały ocenę niedostateczną był „brany" do rozpowszechnienia. Dzisiaj o sprzedaży filmu decyduje jego atrakcyjność i cena. Nawet gdyby nie doszło do utworzenia „Zespołów Filmowych" to Wytwórnia musi zreorganizować i przystosować się do nowych warunków rynkowych, jeżeli nie chce ulec likwidacji.

— Co zatem proponują twórcy, którzy nie zadeklarowali przynależności do żadnego z „Zespołów Filmowych"? — pytam Ryszarda Nakoniecznego.

— Idea, że za wszystko jesteśmy sami odpowiedzialni, jest szalenie kusząca. Pojawiła się ona niejako automatycznie z chwilą niedostatecznie sprawnej realizacji koncepcji reformy WFO i jest to zresztą jej słabość: zamiast bowiem zastanawiać się dlaczego reforma Wytwórni nie wypaliła, sięgnięto po inną, nienową zresztą myśl.

Wiele lat temu nasze władze postawiły twórców krótkiego metrażu w sytuacji przymusowej. Praktycznie wstrzymano rozpowszechnianie filmu krótkiego i tym samym odzwyczajono ludzi od jego oglądania. Jedyny wyjątek stanowią filmy telewizyjne, które mają jednak inny charakter i są robione przez ludzi z telewizji. Ta sytuacja wywołała moim zdaniem także określone skutki w środowisku. Środowisko początkowo walczyło o przywrócenie naturalnego układu pomiędzy twórcą i widzem, a ponieważ walka ta nie dała rezultatów, przestało w końcu liczyć się z publicznością, przestało pamiętać o widzu. Pojawia się pytanie: Kto będzie chciał w tej chwili oglądać za pieniądze filmy krótkie, od których się już odzwyczaił, zwłaszcza że są one coraz droższe. Film podlega podobnie przecież inflacji jak i inne towary. Kto będzie dawał pieniądze na ich produkcję? Kto będzie kształtował ambicje artystyczne w sytuacji, gdy ciągle zły pieniądz wypiera dobry? „Zespoły Filmowe" będą musiały bardzo szybko udowodnić swoją ekonomiczną samowystarczalność.

Mówiąc najprościej, obawiamy się, że film krótki nie jest obecnie kochany przez władze kinematografii i jest ostatni w kolejce do uzyskania pieniędzy na jego produkcję. Nie kocha go także masowy widz. Ciągle krążą pogłoski na temat likwidacji tego typu działalności artystycznej... A łatwiej jest zlikwidować małe grupy ludzi, za którymi nikt nie stoi, poza nimi samymi które są dopiero na dorobku w jakże trudnej sytuacji gospodarczej naszego kraju, którym można zarzucić brak ekonomiczności w działaniu (sprawy artystyczne są mało ostre) niż zaatakować Wytwórnię która ma tradycję, majątek trwały potężne archiwum i trzystu pracowników. Zawsze trudniej będzie dać sobie radę z WFO niż małą grupą realizatorów, należących do „Zespołu Filmowego".

Myślę, że ci nasi koledzy, którzy z pewną determinacją przystąpili do tworzenia zespołów z biegiem czasu zaczynają tracić na swoim entuzjazmie i tak będzie do momentu rozstrzygnięcia spraw ekonomicznych, aż się okaże że ryzyko nie jest samobójcze i zespoły będą mogły powstać. Na obecnym etapie nie można przesądzać, w jakim kierunku pójdą ostateczne decyzje. Poza wszystkim jednak uważam, że zespoły powinny powstać. Może to bowiem doprowadzić do intensywnych przewartościowań programowych oraz energicznego działania ekonomicznego i produkcyjnego. Zrobi się Zachód, a tego od lat wszyscy pragnęli. Problem tylko w tym czy Zachód zrobi się dookoła i czy powinien się zrobić?

— Z tego mniemam, że panom tak bardzo na samodzielności ekonomicznej nie zależy?

— Zależy nam, ale nie w takiej formie, w jakiej oferuje nam obecna Ustawa o Kinematografii — mówi **Zbigniew Kiersztajn.** — Skazany z nadprodukcją twórców filmowych. Powiem coś bardzo przewrotnego, ale i prawdziwego. Obecna sytuacja jest bardzo korzystna dla twórcy, ponieważ każdy może się ogłosić potencjalnym „mistrzem kina", który robiłby arcydzieła, gdyby warunki ekonomiczne naszej kinematografii były bardziej sprzyjające. Z chwilą wejścia w życie wolnej konkurencji inne wyznaczniki będą decydowały o wartości produkcji filmowej. Zwycięży prawdziwy talent i operatywność działania. Dokona się naturalna selekcja wśród twórców. Wielu z konieczności będzie musiało zmienić zawód. I z tego trzeba sobie zdawać sprawę. Ponadto wydaje mi się, że zagraniczni producenci nie będą chcieli wchodzić w koprodukcję z zespołami, które nie dysponują własnym majątkiem, takim, jaki posiada Wytwórnia. Także i z tych powodów uważam, że w naszym interesie leży wnikanie i zwiększanie wpływu na decyzje kierownictwa WFO i zreformowanie jej. W Polsce jest obecnie czas nie sprzyjający kulturze i sztuce. Trzeba ten okres przeczekać z najmniejszymi stratami i choćby minimalnymi zyskami. Wcześniej czy później ktoś sobie przypomni, że film oświatowy jest bardzo ważny, choćby w procesie edukacji naszego społeczeństwa i wtedy dopiero staniemy na nogach.

Siła leży w jedności — dopowiada Jerzy Bezkowski. — Zespoły mają szansę przetrwać ten trudny okres, jeżeli będą ze sobą współdziałały, jeżeli będą dbały o to, aby w pierwszym okresie przerób był zabezpieczony. Być może po paru latach rynek filmowy ustabilizuje się i wtedy dopiero nadejdzie czas rywalizacji o „palmę pierwszeństwa" między zespołami.

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

P.S. Na dzień dzisiejszy, w miesiąc po rozmowie zarówno reforma WFO jak i kwestia powołania „Zespołów Filmowych" pozostają otwarte, a czas pracuje przeciwko środowisku filmowemu.

A może do kina?

„Schodami w górę, schodami w dół" to polski film **Andrzeja Domalika.** Akcja filmu rozgrywa się w Zakopanem w ostatnich tygodniach przed wybuchem II wojny światowej. Oto przyjezdni i miejscowi przedstawiciele bohemy skupiający się wokół Malarza — Mistrza. W ich życie włącza się Karol, niedoszły malarz, zamierzający uczyć się u Mistrza. Poznaje środowisko cyganerii, staje się świadkiem wydarzeń zarówno okrutnych, jak i zabawnych, niezwykłych i banalnych. Wszystko to pokazane jest oczami Karola, a jego obserwacje odnoszą się nie tyle do tych wydarzeń, ile do postaci. Właśnie ich rysunek jest w filmie sprawą wyjątkową, jakby nadrzędną, decydującą o wartości obrazu.

Film ma na swym koncie „Lwy Gdańskie", a występują w nim m. in. **Jan Nowicki, Maciej Robakiewicz, Anna Dymna, Jan Peszek.**

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

Dyżur specjalny. Wyjątkowo w środę.

24 maja — BOGDA MADEJ i kandydat na posła KAROL JÓZEF STRYJSKI — godzina 10—15.

1 czerwca — EUGENIUSZ IWANICKI — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 18 MAJA 1989 R.

Panią **Marię Szpakowską** denerwuje (a wieczorami i przeraża) stan dawnego cmentarza, a obecnie parku przy ulicy Felsztyńskiego. Robót nie dokończono, mury sypią się w wielu miejscach, natomiast park stał się wygodną oazą dla zwolenników wszelkiej maści spirytualiów. Zapewne kilka milicyjnych patroli w pobliżu zwiększyłoby okolicznym mieszkańcom szanse dotarcia do domu bez ordynarnych zaczepek i pijackich wyzwisk.

Pan **Antoni Grzeszczak,** zamieszkały przy ul. Urzędniczej 42, nie może zrozumieć (my też nie...) dlaczego u progu XXI wieku instytucja pod „tytułem" Poczta nie jest w stanie zatrudnić niezbędnej liczby doręczycieli czy, jak kto woli, listonoszy. Do domu pana Antoniego G. od ponad 2 miesięcy nikt nie przynosi listów, przesyłek, emerytur. Ponoć mają Poczcie w tym zbożnym dziele pomagać hufce OHP, ale jak dotychczas nie udało się żadnemu ochotnikowi dotrzeć na ulicę Urzędniczą...

Telefonujący ciepły baryton przedstawił się jako kibic **„Westy"** i nie chciał podać nawet imienia, natomiast twierdził, że czuje się przez firmę „nabity w butelkę". Kupił bowiem reklamówkę-informator zatytułowany „Spółdzielczy Zakład Ubezpieczeń „Westa" za jedyne 40 złotych. Te osiem stron nie spełnia — jak sugerował — jego oczekiwań, a już całkiem przerazić się można widokiem okaleczonej panienki (bez rąk i nóg) na stronie tytułowej, która nawet nie bardzo ma co ubezpieczyć...

Pan **Rajmund Drzazgowski,** nasz stały Czytelnik i Korespondent, tym razem sugeruje, aby zaprzestać jałowych dyskusji nad ostateczną nazwą ulicy Obrońców Stalingradu. Pod rozwagę radnych pan Rajmund kieruje projekt, który usatysfakcjonowałby zapewne nie tylko łodzian. Proponuje mianowicie, by tę arterię nazwać imieniem Ofiar Katynia.

Pan **Janusz D. ze Zgierza** buduje dom, ale utknął z robotami z powodu braku gotówki. Od roku oczekuje na kredyt z Banku Spółdzielczego w Zgierzu, ale mimo zapewnień, iż jest w czołówce oczekujących — wciąż są lepsi, którzy pieniądze otrzymują. Pyta na zakończenie z goryczą: — Czy mam chyłkiem sprzedać mieszkanie, domeldować się do rodziny i wtedy kredyt dostanę, bo będę miał fatalne warunki mieszkaniowe? Czy uczciwą drogą nie mogę tego kredytu otrzymać?...

Pan **Grzegorz K.** w dość długim monologu bardzo krytycznie wyrażał się o pracy łódzkiego ośrodka telewizyjnego. Zna — jak twierdzi — większość zespołu (stąd zapewne ta ostrożność w publicznym zaprezentowaniu swego nazwiska), a specjalnością łódzkich dziennikarzy telewizyjnych stało się według Czytelnika wyszukiwanie problemów błahych, nijakich, oklepanych, brak krytycznego spojrzenia i mizdrzenie się do telewidzów...

Pan **Czesław P.,** od 14 lat członek spółdzielni „Bawełna", otrzymał mieszkanie rotacyjne. — Na to „prawdziwe" przyjdzie mi jeszcze czekać minimum 4—5 lat, ale teraz za to rotacyjne muszę zapłacić około 600 tysięcy złotych kaucji (12 tysięcy za 1 metr kwadratowy). Od tej kwoty odliczą mi później za „zużycie" rotacyjnego. Co te pieniądze będą warte!? Czy na tym polega pomoc dla młodych małżeństw?...

Pan **Jerzy Brygier** słusznie sugeruje, by ktoś zainteresował się niszczejącymi księgozbiorami Ossolińskich w Wilnie. (Chodzi zapewne o Bibliotekę Ossolińskich we Lwowie — red.) Czas by jakieś kroki w celu odzyskania poczyniły odpowiednie Towarzystwa Przyjaciół Lwowa

Pani **Maria Chybowska** boleje nad przerażającą dewastacją urządzeń łódzkich parków, na przykładzie pięknego skupiska zieleni na Stokach. Porozbijane lampy, zniszczone, poskręcane przez jakichś furiatów ławki — to widok, który rani serce każdego łodzianina i spacerowicza. Podobnie opłakany widok przedstawia kiosk „Ruchu" na placu Pokoju. Kiosk-zawalidroga — z powybijanymi szybami, połamanymi półkami wewnątrz...

I na zakończenie „polski rodzynek". Pani **Dorota Szletyńska** od 4 maja bezskutecznie czeka na przekaz pieniężny nadany — uwaga — w Łodzi. Dodajmy od razu, że może jeszcze czekać do trzech miesięcy! To naprawdę tylko w tym kraju jest możliwe: dowód wpłaty istnieje, Poczta przekaz gdzieś „posiała", ale aby wystawić duplikat i pani Dorocie wypłacić pieniądze, musi ona czekać, aż m.in. potwierdzi ten fakt... Bydgoszcz (sic!). I nikt kobiecie nie może pomóc, bo „PRZEPISY TEGO NIE PRZEWIDUJĄ"!...

I tym „optymistycznym" akcentem Państwa żegnam, dziękując za wszystkie telefoniczne sygnały, utarczki i dyskusje.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Polmatex Łódzka Fabryka Maszyn Jedwabniczych Majed

w Łodzi
PRODUCENT MASZYN
dla przemysłu włókienniczego i chemicznego

O R G A N I Z U J E

PRZESZKOLENIE i PRACĘ

w zakresie obsługi obrabiarek sterowanych numerycznie, obrabiarek skrawających, centrów obróbczych, galwanotechniki oraz montażu maszyn włókienniczych, również dla absolwentów techników

O F E R U J E

ATRAKCYJNĄ PRACĘ INŻYNIEROM i TECHNIKOM,
szczególnie w specjalnościach

- technologii budowy maszyn
- konstrukcji maszyn włókienniczych
- konstrukcji form do tworzyw sztucznych
- konstrukcji oprzyrządowania do obróbki skrawaniem i plastycznej
- powlekania galwanicznego i lakierniczego.

Z A T R U D N I

PRACOWNIKÓW WYKWALIFIKOWANYCH i DO PRZYUCZENIA
w zawodach

- tokarz
- frezer
- wiertacz
- szlifierz
- ślusarz
- galwanizer
- odlewnik
- monter maszyn
- blacharz
- elektronik
- elektryk
- narzędziowych
- remontowych

oraz

- portierów-rewidentów
- wydawców magazynu
- robotników niewykwalifikowanych

I N F O R M U J E

MONTERZY MASZYN, ELEKTRONICY i ELEKTRYCY
delegowani są do prac przy montażu do wielu krajów świata.

Chętnym umożliwiamy podjęcie dodatkowego zatrudnienia na terenie przedsiębiorstwa.

Nie przyjmujemy osób po porzuceniu pracy.

Posiadamy ośrodki wczasowe nad morzem i rzeką Wartą, prowadzimy wymianę wczasów z przedsiębiorstwami w NRD.

Szczegółowych informacji udziela **Dział Kadr i Szkolenia Zawodowego, Łódź, ul. Żeromskiego 96, tel. 36-05-26 lub 36-57-00, wew. 115.**

3344/K

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

1 CZERWCA — DNIEM BEZ ALKOHOLU!

Dla kogo to codzienne zmęczenie? Ten trud pracy i poświęcenia? Ciągła gonitwa za tym, co w zasięgu ręki i za tym, co zawsze za daleko. Wyścig z czasem, który biegnie zbyt szybko i życiem, które coraz mniej obiecuje, a coraz więcej żąda.

A jednak wstajesz i idziesz dalej, pomimo wszystko i wbrew wszystkiemu, bo przecież TWOJE DZIECKO MA TYLKO CIEBIE i to, co możesz mu dać — swój czas, swoją miłość, swą troskę i poświęcenie.

A może jeszcze coś? Może TRZEŹWOŚĆ...

W jego święto — MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ DZIECKA — Twojego dziecka. Daj mu ten prezent, który ma zawsze tę samą cenę — CENĘ JEGO UŚMIECHNIĘTYCH OCZU.

ZARZĄD GŁÓWNY
SPOŁECZNEGO KOMITETU PRZECIWALKOHOLOWEGO

BYŁEM W IZRAELU

Izrael stał się krajem bogatym i jak się wydaje dobrze zorganizowanym i sprawnie administrowanym. Wzbudzają uznanie nowe szosy i piękne autostrady, dobra gęsta komunikacja autobusowa (istnieje tylko jedna linia kolejowa północ-południe), nowe dzielnice miast, a właściwie nowe miasta, doskonale zaopatrzone sklepy we wszystkie towary z różnych krajów świata, ale ze znacznym udziałem produkcji własnej. Domy towarowe niczym nie ustępują podobnym w Zachodniej Europie. Na ulicach auta wszystkich marek, w przeważającej większości nowe, z ostatnich roczników; podobno za auta stare płaci się wyższy podatek.

Duże wrażenie robi nowa dzielnica akademicka pod Tel Awiwem — piękne nowoczesne gmachy dla poszczególnych kierunków studiów, szereg domów akademickich. Przeszłość narodu żydowskiego licząca ponad 3000 lat znajduje odbicie w urządzanych muzeach i wystawach. W gmachu, który mieści stałą ekspozycję „2000 lat diaspory" wiele miejsca poświęcono zabytkom kulturalnym i pamiątkom Żydów polskich; wiernie odtworzone makiety synagog, dziś już nie istniejących, plastycznie przedstawione żydowskie dzielnice niektórych miast polskich, obrazki folkloru itp Przy kibucu Lochamei (w pobliżu miasta Akko) — okazały gmach muzeum poświęconego martyrologii Żydów w czasach hitlerowskich, a w tym obszerna część dotycząca powstania w getcie warszawskim.

W miastach wiele ulic nosi nazwiska znaczących w dziejach narodu Żydów o brzmieniu słowiańskim; prawie w każdej miejscowości jest ulica lub plac im. Mordechaja Anielewicza, pierwszego przywódcy powstania w getcie.

Godne zwiedzania i podziwiania są nowe dzielnice Jerozolimy — dzielnica rządowa z gmachem parlamentu i gmachami ministerstw, piękny oryginalny budynek teatru, komplet budynków Centrum Medycyny, nowe osiedla mieszkaniowe itd. Wymieniam tu tylko niektóre godne zwiedzania dzisiejsze budowle. A przecież Izrael posiada na stosunkowo niewielkim terenie, jak żaden kraj na świecie, ogromne bogactwo zabytków wszystkich epok od czasów pierwszych Hebrajczyków z ok. 1000 lat przed naszą erą; wiele miejsc kultu trzech religii uważanych za miejsca święte.

Wszyscy, którzy nas zapraszali do siebie i podejmowali potrawami, przyrządzanymi po polsku, mieszkają w obszernych nowoczesnych mieszkaniach w blokach lub w willach segmentowych, które są ich własnością Wszyscy tęsknią za krajem dzieciństwa. Znajomi, u których zatrzymaliśmy się, od dawna zapewne nie mieli tylu wizyt co w czasie naszego pobytu. Prawie co dzień odwiedzali nas, głównie dawni łodzianie, aby powspominać, pochwalić się znajomością dawnej Łodzi i pozostającymi nadal żywo w pamięci przedwojennymi piosenkami, a wreszcie zapytać, czy stoi jeszcze na Bałutach taki a taki dom, czy jest jeszcze takie kino, taki sklep taka szkoła itd.

Cały dzień spędziliśmy w jednym z kibuców Wrażenia można streścić następująco: trudno wyobrazić sobie lepszy sposób zapewnienia wszystkich potrzeb życiowych przeciętnego człowieka w końcu XX wieku. Wygodne obszerne mieszkania, stołówka (korzysta — kto ma życzenie), kawiarnia, czytelnia, sala kinowa i teatralna, przychodnia zdrowia, ośrodek rekreacyjno-sportowy, dom starców z osobną jadalnią i stałą opieką lekarską, szkoła podstawowa, przedszkole itd., itd. Wszystko to rozmieszczone w zalesionym osiedlu liczącym ok 2,5 tys. mieszkańców. Kibuc prowadzi hodowlę bukatów oraz produkcję mleka, a także posiada niewielką wytwórnię puszek blaszanych. Pracuje się w zasadzie do 65 roku życia, a później kto jeszcze chce i może.

Polaków przybywa do Izraela coraz więcej, odkryto bowiem możliwości zarobkowe. Utytułowane panie pełnią funkcje służących czy gospodyń domowych, utytułowani panowie pracują na budowlach jako prości robotnicy; cóż, 500-600 dolarów miesięcznie na czysto stanowi niemałą pokusę.

Osiągnięcia Izraela są rzeczywiście duże i widoczne na każdym kroku i pomimo że u ich podstaw leżą ogromne kredyty z USA i pomoc z wielu krajów są godne pochwały za ich umiejętne wykorzystanie. Godne pochwały, której odwiedzający ten kraj na pewno nie poskąpią. Ale bywa i tak, że niektórych rozmówców rozpiera nadmierna duma, skąd już tylko krok do podkreślania rzekomo wyższych uzdolnień, talentów, umiejętności, jakimi cechuje się naród żydowski w porównaniu do innych narodów A to już trąci teoriami, które w nie tak znów odległej przeszłości przyniosły w praktyce największe cierpienia właśnie narodowi żydowskiemu.

WŁODZIMIERZ WROŃSKI

POLSKA „YMCA" ZNÓW W ŁODZI?

Ostatnio w prasie sporo informacji o reaktywacji działalności „YMCA" w Polsce. Jest już komitet składający się z dawnych działaczy tej organizacji, złożono odpowiednie wnioski i memoranda. Jak będzie z odzyskaniem byłego majątku, co z działalnością — trudno jeszcze powiedzieć, ale jak z tego widać — powody, dla których „YMCA" pod koniec lat czterdziestych została rozwiązana — ustały. To dobrze.

A jakie były początki „YMCA" w Łodzi? Przypominam, cytując za folderem wydawnictwa Z. Manitius, Łódź, Żeromskiego nr 87:

„Polska YMCA w Łodzi buduje nowoczesny gmach, rychłego wykończenia którego tysiące młodzieży naszego miasta oczekują z niecierpliwością i entuzjazmem. Gmach ten został rozplanowany bardzo starannie i będzie wyposażony we wszystkie nowoczesne urządzenia, aby umożliwić młodzieży rozwój fizyczny, społeczny, umysłowy i moralny. Gmach położony jest w centrum miasta przy ul. Moniuszki 4a. ... zawiera oddzielne sale towarzyskie dla mężczyzn i chłopców, bibliotekę, czytelnię, sale wykładowe i klubowe oraz na 2 i 3 piętrze pokoje mieszkalne dla pewnej liczby młodych ludzi. Sala towarzyska i gościnna dla mężczyzn będzie wygodnie umieszczona niedaleko głównego wejścia...

Dział wychowania fizycznego posiadać będzie wszystkie nowoczesne urządzenia dla utrzymania ciała w zdrowiu i tężyźnie. Wychowanie fizyczne w Polskiej YMCA nie dąży do zdobywania rekordów ani do wychowania zawodowych atletów. Celem jego jest przede wszystkim zdrowie, pełniejsze życie fizyczne oraz korzystanie przez każdego mężczyznę i chłopca ze zdrowych uciech, jakie dają uprawianie gier i sportów".

I dalej informacja, że cały gmach Polskiej „YMCA" w Łodzi ukończony będzie w 1936 roku za kwotę ca 2,5 mln złotych, z których milion zebrano w Polsce, zaś dar w wysokości 200 tys. dolarów uzyskano za pośrednictwem dr Johna R. Motta, Prezesa Wszechświatowego Zjednoczenia Związków Młodzieży Chrześcijańskiej, odznaczonego w 1924 r. krzyżem komandorskim Polonia Restituta.

Tyle z folderu, który zachowuję jako jeden z dokumentów życia społecznego w okresie międzywojennym. A „YMCA" pamiętam z lat powojennych, gdy jako uczniowie Gmin. i Lic. im. M. Kopernika chodziliśmy dwa razy w tygodniu na basen. Po zajęciach — przepyszna bułka z masłem i duży kubek kakao... Dla wielu z nas był to wówczas rarytas, bo w domach na co dzień było różnie.

No i możliwość uczestniczenia w innych zajęciach! „YMCA" była w tym czasie źródłem jeszcze innych możliwości i inspiracji: było to „siedlisko jazzu". Płyty z najlepszymi wykonaniami, muzycy przy fortepianie w „salach towarzyskich". Ale nie mnie o tym mówić: są jeszcze inni świadkowie tych czasów, lepiej ode mnie zorientowani i niech oni się odezwą.

A w pewnym momencie płyty poszły pod kocioł c.o., YMCA została przemianowana na MDK. I choć „emdek" też ma swoje zasłużone karty — cieszę się z góry, że „YMCA" znów podejmie działalność.

W. AFELT

OSTATNI KIERMASZ JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

Przed dziesięciu laty, 20 maja 1979 roku udałem się do Warszawy na kiermasz książki z głównym celem uzyskania autografu od Jarosława Iwaszkiewicza.

Wielki kiermasz przed Pałacem Kultury i Nauki zgromadził tysiące osób, które oblegały dziesiątki stoisk z nowościami wydawniczymi, a do większości pisarzy ustawiały się długie kolejki.

W odróżnieniu od swoich kolegów J. Iwaszkiewicz podpisywał książki stojąc. Wysoki, silnej budowy, wyprostowany, w płaszczu i kapeluszu, nie sprawiał wrażenia, iż ma już 85 lat. Obok Jarosława Iwaszkiewicza zapamiętałem Jerzego Putramenta, który po każdym podpisie stawiał kreskę na kartce prowadząc statystykę autografów. Gdy byłem zadowolony, iż niedługo dojdę do stoiska, speaker ogłosił, iż Jarosław Iwaszkiewicz kończy podpisywanie w tym stoisku i przechodzi do drugiego. Znalazłem się szybko przy tym stoisku i pierwszy zająłem miejsce. Tutaj kończył swój dyżur znany profesor Kazimierz Dąbrowski. Przez blisko pół godziny obserwowałem rozmowy młodych ludzi z profesorem cieszącym się wielką sympatią i poważaniem, autorem znanym z porad w „ITD". Wreszcie otoczony gromadą ludzi nadszedł Jarosław Iwaszkiewicz.

I wówczas rozpoczął się straszny bałagan — wszyscy naraz zaczęli podsuwać książki, krzycząc i kotłując się, aż sam Iwaszkiewicz musiał przywoływać do porządku. Myślałem, że z mojego planu nic nie będzie — ale w końcu udało się! Pisarz podpisał książkę oraz na moją prośbę postawił datę: 20.V.1979 r. Mogłem wyruszyć do następnych stoisk.

Był to ostatni kiermasz majowy Jarosława Iwaszkiewicza. Zmarł dziesięć miesięcy później w marcu 1980 roku. A w listopadzie zmarł profesor Kazimierz Dąbrowski.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

„MENEDŻERIA" ANDRZEJA KAROLA

W nr 18 z 30 kwietnia 1989 r. „ODGŁOSÓW", w ramach „nagłego zastępstwa", pan Andrzej Karol, na wpół serio, na wpół żartem, zajął się naszą nomenklaturowo-rekomendowaną „menedżerią", słusznie krytykując nadużywanie obcego naszemu językowi pojęcia „manager" w sposób nie mający wiele wspólnego z jego prawdziwą treścią.

Na zjeździe American Management Association w Nowym Jorku w 1952 r. Ralph C. Cordiner, prezes General Electric Co., a więc osobistość miarodajna tak tłumaczył, co oznacza słowo „management":

„Jest rzeczą interesującą sprawdzić co oznacza nasze słowo „MANAGEMENT". Jeśli poszukamy jego znaczenia w słowniku, to znajdziemy wielką różnorodność tłumaczeń, jak np.: administrować, rozkazywać, prowadzić, kontrolować, kierować, składać wyjaśnienia, władać, wpływać, skierowywać, uzupełniać, objaśniać, powiadamiać, łagodzić, uczyć i wdrażać. Jest to typowo amerykańskie pojęcie. W innych językach, oprócz angielskiego, nie ma ono właściwego odpowiednika i zazwyczaj bywa określane jako organizacja pracy. Szczególnie w naszym kraju utarł się zwyczaj, że doświadczeni ludzie interesu zbierają się na takich zjazdach jak obecny, aby wzajemnie wyjaśniać sobie, co rozumieją oni pod pojęciem management we własnych przedsiębiorstwach i dążą do tego, aby przez wymianę poglądów nauczyć się jak trzeba wykonywać tę skomplikowaną pracę, nazywaną właśnie management, która jest ich zadaniem".

Inny wysoko ceniony naukowiec — Peter F. Drucker — autor znakomitych dzieł, w książce pt. „Practice of Management", będącej biblią „managerów", już w pierwszym rozdziale podaje następujące określenie:

„Manager jest siłą dynamiczną i życiodajną w każdym przedsiębiorstwie. Bez jego przywództwa środki produkcji pozostałyby tylko środkami, nie przybrawszy nigdy postaci produkcji".

I dalej:

„Management jako organ społeczności, którego głównym zadaniem jest wydajne zastosowanie środków produkcji, ponosi odpowiedzialność za zorganizowanie postępu gospodarczego i dlatego jest on odbiciem ducha naszego stulecia".

W naszej „menedżerii" przegrywamy wyścig z czasem, bo nie chcemy sobie uświadomić istoty działalności przedsiębiorczej i tego, co nas czeka. Dyrektor nie jest tylko tym człowiekiem, który czeka na dyrektywy, a kierownik nie jest tylko człowiekiem, który nie spóźnia się do biura.

Przyłączam się całkowicie do opinii pana Andrzeja Karola, że trzeba skończyć z używaniem pojęć, o których się nie ma pojęcia.

TADEUSZ ORDYŃSKI

„CZY ŁÓDŹ MUSI BYĆ BRUDNA?"

Od wielu już lat stan czystości miasta oraz stan dróg pozostawiają wiele do życzenia — są przedmiotem ciągłej krytyki ze strony opinii społecznej. Sytuacja taka jest głównie wynikiem niedofinansowania przedsiębiorstw komunalnych. Niedostateczna ilość taboru specjalistycznego do wywozu nieczystości oraz zmywania i omiatania ulic, brak odpowiedniej ilości pojemników do gromadzena odpadów w połączeniu ze skromną, bo wystarczającą na najpilniejsze remonty dróg ilością środków finansowych przyznawanych z budżetu terenowego, stwarzają barierę uniemożliwiającą poprawę sytuacji na tym odcinku. I tak np., jak wynika z planu remontu dróg opracowanego przez WDIM, pomimo iż nominalna wysokość środków finansowych uległa zwiększeniu, to ich wartość realna jest znacznie niższa od nakładów, jakie poniesiono na remonty dróg w roku 1988. Oznacza to więc, że w 1989 roku przedsiębiorstwo będzie mogło zrealizować ok. 60 proc. zadań rzeczowych wykonanych w roku 1988. Taki stan trwa już od kilku lat.

W związku z powyższym przedsiębiorstwa komunalne nastawione są przede wszystkim na utrzymanie dotychczasowego poziomu usług oraz poprawę ich jakości i to głównie poprzez zmiany organizacyjne. Nie ma natomiast możliwości zwiększenia zakresu świadczonych usług czy taką poprawę ich jakości, która wymagałaby poniesienia dodatkowych nakładów finansowych.

Stan estetyczny Łodzi był m.in. przedmiotem działań przeprowadzonej niedawno Akcji „Porządek 89", w trakcie której zauważono wiele nieprawidłowości i wydano odpowiednim służbom polecenia ich usunięcia, a winnych zaniedbań ukarano mandatami. Należy podkreślić, że wszelkie zauważone przez obywateli niedomagania w świadczeniu usług komunalnych są przez przedsiębiorstwa w ramach ich możliwości szybko likwidowane. Nie jest natomiast możliwe, z powodów o których była mowa wyżej, zabezpieczenie wszystkich potrzeb społecznych w zakresie gospodarki komunalnej na oczekiwanym poziomie.

Wiceprezydent Miasta Łodzi
STANISŁAW ŻAŁOBNY

Z GRABOWA NADESZŁO WYJAŚNIENIE

W publikacji pt. „Uszczęśliwianie na siłę" Bogumiła A. Makowskiego („Odgłosy" nr 15 z 9.04.1989) znalazło się wiele nieścisłości i stwierdzeń nie będących w zgodzie z prawdą.

1. Powierzchnia gruntów wsi Grabów objęta planem zagospodarowania przestrzennego wynosi nie 160 ha a 1075 ha, z których na wyłączenie z produkcji rolnej przewidziano 14 ha, z czego około 7 ha to grunty przy istniejących częściowo zabudowanych i uzorojonych ulicach. Bez wyłączenia tych gruntów właściciele nie mogli podejmować działalności inwestycyjnej ani sprzedawać na działki budowlane.

2. Gminna Rada Narodowa nie zaakceptowała ani nie zatwierdziła planu w lutym 1987 r., natomiast stało się to w lutym 1989 r. Projekt planu przestrzennego znany był wszystkim, którzy się nim interesowali, mimo że wywieszony był w pokoju Zastępcy Naczelnika Gminy. Świadczą o tym uwagi i wnioski złożone na piśmie przez mieszkańców Grabowa. Wnioski te zostały częściowo zrealizowane.

3. Druga wersja planu (z roku 1989) realizuje uchwałę zebrania wiejskiego z 25 maja 1988 r., przyjmując w pierwszej kolejności zagospodarowanie gruntów PFZ pod działki budowlane. O realizacji tej uchwały powiadomiono mieszkańców na zebraniu wiejskim w listopadzie 1988 r.

4. Ogólny plan przestrzennego zagospodarowania nie określa ilości działek budowlanych, tylko wskazuje tereny. Dotychczasowa liczba transakcji kupna — sprzedaży działek w wolnym obrocie wskazuje na duży popyt w tej dziedzinie i jest przejawem akceptacji społecznej dla planu.

5. Autor publikacji insynuuje, że domy wybudowane na gruntach PFZ są „całkiem okazałe jak na urzędnicze pensje" Ponieważ dotyczy to również mnie, pozostawiam Redaktorowi Naczelnemu ocenę tego rodzaju postępowania w praktyce dziennikarskiej. Dodaję również, że prąd i wodę zainstalowałem w moim domu za własne pieniądze. Nie mam natomiast domu na tych działkach do którego „asfalt dochodzi aż do drzwi".

6. Właściciele wiśniowego sadu, kupując ten grunt, wiedział, że jest on przeznaczony na pawilony usługowe. Wydana lokalizacja (listopad 1988) na budowę poczty nie koliduje jednak z terenem sadu i nie wiem, skąd wzięło się przypisywane mi przez autora stwierdzenie, że „zrobię wszystko, aby tam gdzie dzisiaj jest sad została wybudowana poczta i punkty usługowe".

7. Nigdy i nigdzie nie stwierdziłem że odbiorę ziemię pracownicy Urzędu Gminnego, albowiem nabyła ona działkę o pow. 0,50 ha z zasobów PFZ zgodnie z obowiązującymi przepisami. Jest to kolejna nierzetelność w tekście.

8. Zarzuty dotyczące nieprawidłowości przy opracowywaniu planu przestrzennego były przedmiotem kontroli NIK, która nie wykazała w tej sprawie żadnych uchybień.

9. Pragnę stwierdzić, że „osoby Grabowianie" to zaledwie 27 osób, podczas gdy wieś Grabów liczy 1400 osób.

10 Informuję na koniec, że zatwierdzony w 1989 r. ogólny plan przestrzennego zagospodarowania gminy Grabów jest realizowany z akceptacją miejscowego społeczeństwa.

WŁODZIMIERZ RYSZKIEWICZ
(Naczelnik gminy Grabów)

Z dziennikarskiego obowiązku muszę zwrócić Czytelnikom uwagę, że tematem nieprawidłowości występujących w Grabowie zajął się w „Przeglądzie Tygodniowym" nr 20 z 1989 roku Piotr Pytlakowski. Opublikował on reportaż pt. „Grabów kontra Grabów", z którego nie wynika taki jednoznaczny obraz, jak to sugeruje naczelnik Włodzimierz Ryszkiewicz.

Urzędnicy odpowiadający na krytyczne publikacje są na ogół skłonni o wszystko obwiniać dziennikarzy, jakby byli oni zdolni wymyślić wszystkie zło. Tymczasem dziennikarze opisują na ogół to, co widzą lub co im się opowiada. Gdyby w Grabowie nie było konfliktu dziennikarze sami go nie byliby w stanie wymyślić, gdyż byłoby to sprzeczne z obowiązującym „Prawem prasowym". Skoro więc w Grabowie istnieje konflikt, to może zajęłyby się nim odpowiednie władze partyjne i administracyjne.

REDAKTOR DYŻURNY

ZAWIADAMIAMY — POLECAMY — INFORMUJEMY

GŁÓWNA KOMISJA BADANIA ZBRODNI HITLEROWSKICH W POLSCE — INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ w Warszawie ogłosiła konkurs: **„Warszawa i warszawiacy między kapitulacją a wyzwoleniem".** Chodzi o okres między kapitulacją powstania 02.10.1944 a wyzwoleniem Warszawy 17.01.1945. Dokonano wówczas wiele zbrodni, których świadkami byli Warszawscy Robinsonowie. Ich wspomnienia, relacje, pamiętniki inne dokumenty o objętości nie mniejszej niż 10 stron maszynopisu, w których podane byłyby fakty dokonanych zbrodni na ludziach i mieście oraz przedstawione losy ludzi, którzy się ukrywali w gruzach, powinny być nadesłane do **30 września 1989 roku** pod adresem: **Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce — Instytut Pamięci Narodowej, 00-950 WARSZAWA, Aleje Ujazdowskie 11.** Na kopercie: „Konkurs". Wysokie nagrody.

KONKURS na opowiadanie lub nowelę o tematyce współczesnej ogłosiła **Miejska Biblioteka Publiczna im. Jerzego Szaniawskiego w Zduńskiej Woli** i pod jej adresem do **31 sierpnia 1989 r.** należy nadsyłać prace konkursowe opatrzone godłem. W osobnej kopercie dane osobowe. Oto adres: **98-220 ZDUŃSKA WOLA, ul. Łaska 12.** Na kopercie dopisek: „Konkurs literacki".

Zabrzańskie Gwarectwo Węglowe

Kopalnia Węgla Kamiennego „MAKOSZOWY"

w Zabrzu ul. MAKOSZOWSKA 24

ZATRUDNI OD ZARAZ DO PRACY POD ZIEMIĄ:

mężczyzn w wieku od 18 do 40 lat, w zawodach: górnik, ślusarz, elektryk, pracownik niewykwalifikowany pod ziemią oraz pracowników na powierzchni w zawodach: murarz, dekarz, zdun, robotnik budowlany.

PRACOWNIKOM ZAPEWNIA SIĘ:

— wynagrodzenie wg układu zbiorowego dla PW w zależności od stopnia kwalifikacji i stażu pracy,
— wynagrodzenie z Karty Górnika,
— deputat węglowy w wysokości 8 ton rocznie (dla pracowników żonatych),
— roczne nagrody z funduszu zakładowego (13 i 14 pensja),
— z okazji Dnia Górnika przysługuje nagroda w wysokości miesięcznego wynagrodzenia,
— jednorazową pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 100.000 zł dla pracowników zatrudnionych pod ziemią, którzy zawarli związek małżeński po 01.02.1982 r. umarzaną po 5 latach nienagannej pracy,
— premie jubileuszowe za 15, 20, 25, 30, 35, 40, 45, 50 lat pracy,
— zakwaterowanie i wyżywienie w Domach Górnika,
— dodatek stabilizacyjny przez okres 2 lat w wysokości 2.240 zł miesięcznie i do 5 lat w wysokości 1.120 zł dla osób, które po raz pierwszy podjęły pracę pod ziemią,
— premie regulaminowe, uznaniowe, produkcyjne oraz specjalne premie dla pracowników nowo przyjętych zatrudnionych pod ziemią w następujących wysokościach:
  — po siedmiu dniach pracy 1000 zł,
  — po miesiącu pracy 2.000 zł,
  — po trzech miesiącach pracy 2.000 zł (jeżeli absencja usprawiedliwiona nie przekracza 5 dni).

Nie przyjmujemy kandydatów do pracy zwolnionych dyscyplinarnie lub z porzuceniem pracy.

DOKUMENTY WYMAGANE DO PODJĘCIA PRACY:

— dowód osobisty
— legitymacja ubezpieczeniowa
— książeczka wojskowa
— świadectwo pracy
— świadectwo szkolne
— dla osób z rolnictwa zaświadczenie z Urzędu Gminy potwierdzające czasokres pracy w gospodarstwie rolnym wraz z adnotacją, że może pracować poza rolnictwem.

Szczegółowych informacji udziela dział zatrudnienia, po osobistym zgłoszeniu się lub telefonicznie 71-40-41 w. 5655.

Przy kopalni istnieje Zasadnicza Szkoła Górnicza w Zabrzu, ul. 3 Maja, przyjmująca młodzież do nauki w wieku 15—18 lat.

Informacji udziela sekretariat szkoły, telefon 71-29-15. 2072/k

„MAKOSZOWY"

zgłoś się do nas!

ZASADNICZA SZKOŁA GÓRNICZA KOPALNI „MAKOSZOWY"

Zabrze ul. 3-go Maja 118
tel. 712-915

O G Ł A S Z A

wpisy dla absolwentów szkół podstawowych na rok szkolny 1988/89

Kształcimy w zawodach:

✸ **górnik kopalni węgla kamiennego**
✸ **mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego**
✸ **elektromonter górnictwa podziemnego** ✸ **mechanik maszyn i urządzeń przeróbczych**
✸ **monter układów elektronicznych i automatyki przemysłowej.**

Warunkiem przyjęcia jest:

— **nie ukończony 18 rok życia**
— **ukończenie szkoły podstawowej**
— **zaświadczenie lekarskie o stanie zdrowia**

Kopalnia prowadząca szkołę zapewnia:

— **pomoc materialną:**
w klasie I 3881 zł
w klasie I o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego 6468 zł
w klasie II 4620 zł.
w klasie II o specjalności górnik węgla kamiennego 7700 zł
w klasie III, jeżeli zajęcia praktyczne odbywają się na dole, 6098 zł + 650 zł dodatek adaptacyjny. Jeżeli zajęcia praktyczne odbywają się na powierzchni — 4712 zł + 450 zł dodatek adaptacyjny
w klasie III o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego 10 164 zł + 650 zł dodatek adaptacyjny.

Uczniowie mieszkający w internacie otrzymują bezpłatne wyżywienie i zakwaterowanie oraz dodatek na wydatki osobiste płatny w gotówce.
w klasie I 1164 zł.
w klasie I o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego 1940 zł.
w klasie II 1386 zł
w klasie II o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego 2310 zł
w klasie III, jeśli zajęcia odbywają się na powierzchni 1414 zł + 450 zł dodatek adaptacyjny
w klasie III, jeżeli zajęcia odbywają się na dole, 1829 zł + 650 zł dodatek adaptacyjny.
Klasa III o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego 3049 + 650 zł dodatek adaptacyjny.

Ponadto uczniowie nie korzystający z interantu otrzymują ekwiwalent pieniężny za 2 tony węgla wynoszący 830 zł miesięcznie. Wszyscy uczniowie mają prawo do premii miesięcznej do 50 proc.

Zapewniamy:

— **internat dla uczniów zamiejscowych**
— **codziennie bezpłatny posiłek regeneracyjny dla wszystkich uczniów**
— **bezpłatne wyposażenie uczniów w komplet podręczników i przyborów szkolnych.**

ABSOLWENCI wyróżniający się dobrymi wynikami w nauce posiadają pierwszeństwo w podejmowaniu dalszej nauki w 3-letnim Technikum Górniczym. Natomiast absolwenci podejmujący bezpośrednio po ukończeniu ZSG pracę w kopalni otrzymują bezzwrotną pożyczkę w wysokości 150.000 zł. Szkoła prowadzi również następujące kursy, z których mogą korzystać uczniowie szkoły:

✸ **kurs spawania gazowego i elektrycznego**
✸ **kurs radiowo-telewizyjny oraz języków obcych** ✸ **kurs prawa jazdy**

Zapisy przyjmuje i bliższych informacji udziela sekretariat szkoły. 2073/k

Ogłaszaj się w „Odgłosach"

ZSMP wśród studentów nie cieszy się popularnością

Czy studenci są apolityczni?

Wśród studentów na dobrą sprawę o ZSMP się nie dyskutuje, ponieważ nie dyskutuje się o czymś, czego nie ma. Wprawdzie formalnie organizacja ta na uczelniach istnieje, ale jej działalności zupełnie nie widać i jej wpływ na środowisko studenckie jest tak mały, że można jej istnienie kwestionować. **Na 15 tys. studentów** uczących się w Łodzi do ZSMP należy **269.**

Nie można do końca zgodzić się z poglądem przewodniczącego ZSMP **Romanem Jachmanem**, który tak małe zainteresowanie studentów tą organizacją tłumaczy tym, że: „młodzież studencka interesuje się tylko samą sobą, co powoduje, że w wielu wypadkach trudno jest to oddziaływanie zachować i że studenci są w swojej szerokiej masie apolityczni i bardziej zainteresowani zarabianiem, działalnością gospodarczą oraz wyjazdami za granicę". O tym, że opinia taka nie do końca jest słuszna, decyduje chociażby fakt, że inne organizacje młodzieżowe działające na uczelniach mają znacznie większe poparcie studentów. Natomiast słuszny jest inny pogląd, że o wstępowaniu do danej organizacji decyduje jej popularność. Popularności tej jednak ZSMP w środowisku studenckim brakuje, co spowodowane jest — zdaniem Romana Jachmana — „pewnym stereotypem widzenia lub własnymi (tzn. studentów) nie zawsze najlepszymi doświadczeniami".

Niestety w latach 70-tych ówczesne władze polityczne uczyniły z organizacji młodzieżowych, w tym również z ZSMP, atrakcyjną oprawę oficjalnego życia politycznego, bezwolnego uczestnika gigantycznych obrzędów, skutecznie przyczyniając się do tego, że choć minął już okres wielkich widowisk politycznych wizja ZSMP jako organizacji obrzędowo-klakierskiej do tej pory pokutuje w świadomości studenckiej. I z tym ZSMP powinno się liczyć. Natomiast zlikwidowanie tego stereotypu myślenia uzależnione jest tylko od samej organizacji. Od tego czy swoją działalnością będzie ona potrafiła zainteresować czy też nie. Na popularność — w pozytywnym znaczeniu tego słowa. Bo jeśliby się zastanowić, to ZSMP popularność posiada — tyle tylko, że tę nie najlepszą. Na pytanie o tę organizację, studenci odpowiadają: **„ZSMP na uczelniach nie widać, oni zupełnie nic nie robią**, najbardziej podobają mi się ich czerwone krawaty, gdyby nie faktura materiału byłyby naprawdę modne".

ZSMP NIE ZAMIERZA PRZYCIĄGAĆ STUDENTÓW NA SIŁĘ i jest w tym oczywista racja. Ale przecież z drugiej strony organizacja nie cierpi na nadmiar członków ze środowiska studenckiego. Gdyby ZSMP wyszło do nich z konkretnymi, atrakcyjnymi propozycjami — być może udałoby się ich pozyskać. Nie wystarczy również sama otwartość na inicjatywy ze strony młodych, którą przejawia ZSMP.

BEATA KOSTRZEWA

1

Czy można oduczyć się nudziarstwa?

Zazdroszczę Bogusławowi Kaczyńskiemu umiejętności okrągłego i ładnego mówienia. Gdy pokaże się na ekranie telewizora i zaczyna mówić, podziwiam go całkowicie i już bez zastrzeżeń kocham muzykę, artystki i cały świat. Wprawdzie każde przemówienie Bogusława Kaczyńskiego — to laurka na czyjąś cześć. Jego bohaterowie i bohaterki są najczęściej najwspanialsi, genialni, boscy, cudowni, niepowtarzalni, ale taki styl reprezentuje i jego to sprawa.

Mało jest jednak ludzi, którzy potrafią tak mówić i mówienie których nie nuży słuchaczy. Większość mówić nie umie, a bierze się do mówienia. Mówienie — to nasza wada. Kochamy mówić. Wielu z nas wydaje się, że jeśli coś powiemy głośno i to dobrze do słuchacza, to nieuchronnie wpłynie to na zmianę rzeczywistości. Nic błędniejszego. Gdyby wszystkie słuszne słowa i poglądy zostały urzeczywistnione, to żylibyśmy w raju. Ale popatrzcie uważnie wokół siebie, czy ten świat w czymkolwiek raj przypomina.

Lubimy też pisać. Wydawało mi się, że sztuka epistolarna powoli umiera, ale nic podobnego. Ludzie nauczyli się pisać i chcą z tej sztuki korzystać. Mają do tego prawo. Więc piszą. Gorzej z tymi, którzy mają to czytać.

Nie wiem, jak jest teraz w szkole. Ale w czasach, gdy szkoła była mi bliższa, wiem, że uczono tam pisać podanie, list, pismo. Powinno się też uczyć przemawiania. Dawniej coś podobnego robiono. Dziś niepomierniej panuje gadulstwo, tak w mowie, jak i w piśmie. Bo gadulstwo można uprawiać też w piśmie.

W latach siedemdziesiątych modne były obszerne opracowania. Zresztą moda ta — niestety — nie zniknęła i dziś. Takich obszernych opracowań nie czytano do końca, bo nikt nie miał na to cierpliwości. A były to teksty często nadmiernie drobiazgowe i przez to bezcelowe. Pewien dyrektor, który swoim zastępcom i kierownikom fabryki przekazał obiegiem obszerny dokument, gdzieś w drugiej jego części, bliżej końca, włożył 100 złotych. A wtedy była to spora suma. Kiedy dokument wrócił do niego, zwołał zebranie i zdumionym pracownikom pokazał 100-złotowy banknot tkwiący między kartkami z dopiskiem, że kto do tego miejsca dobrnie, może wziąć 100 złotych w nagrodę. Pieniądze wróciły do właściciela.

Inny dyrektor nakazał swojemu pracownikowi zrobić projekt niezbędnych zmian organizacyjnych. Zastrzegł, że taki projekt — a właściwie jego założenia — nie mogą przekraczać trzech stron tekstu. Miał to przedłożyć w „centrali" i wiedział, że długi tekst będzie tam leżał miesiącami. Trzy kartki maszynopisu — to też już dużo, ale jeszcze do przebrnięcia. Otrzymał w rezultacie... opracowanie na 30 stronach maszynopisu. Pracownik zapytany, dlaczego zrobił tak, a nie jak mu polecono, przyznał z rozbrajającą szczerością: — *Tego się nie da inaczej zrobić!*

To już Karol Marks ponoć zauważył, że kiedy ma mało czasu pisze długie listy, za co przepraszał adresatów. Żeby pisać krótko, trzeba na to stracić więcej czasu. W ogóle umiejętność pisania wiąże się ze sztuką skreślania. My w większości posiadamy tę pierwszą i prawie wcale tę drugą.

W przeszłości zdarzało mi się brać często udziały w różnych naradach i posiedzeniach. Odkryłem nawet pewne prawo. Otóż na dużej naradzie liczą się przemówienia 5 pierwszych przemawiających, pozostali na ogół powtarzają to samo tylko inaczej i często gorzej, nudniej. Przywykliśmy bowiem nazywać dyskusją składanie sprawozdań i nie możemy się tego oduczyć. A w ogóle — to najwyższy czas nauczyć się dobrze mówić. Krótko i treściwie.

Gdy tak siadałem na różnych naradach, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Pod każdą mównicą powinna być zapadnia. Kiedy mówca nudzi niemiłosiernie — a są tacy, którzy robią to z lubością — kiedy mówca delektuje się swoim głosem — bo i tacy są — kiedy pragnie zanudzić salę rzekomymi osiągnięciami — wtedy przewodniczący widząc reakcję sali naciska dźwignię i mówca znika. Jest miejsce dla następnego. Ten następny wie już, co go czeka, gdy będzie nudził. Ale potrzeba nudzenia jest silniejsza niż instynkt samozachowawczy. Przewodniczący naciska dźwignię...

Gdyby takie urządzenia były zainstalowane w wielu salach obrad i wszyscy o tym wiedzieli. Gdyby nudziarze znaleźli się po kilka razy w zapadni, to by się może wreszcie oduczyli nudzić wszędzie i na każdy temat. Może wtedy narady byłyby krótkie, treściwe i... konstruktywne. Może coś by pożytecznego z nich wynikało. Może nie kończyłyby się samozadowoleniem prezydium: *ale odwaliliśmy kawał dobrej politycznej roboty!* Podczas, gdy uczestnicy tej narady rozchodzą się z przeświadczeniem, że stracili kupę czasu, który można było spędzić znacznie pożyteczniej. Po prostu „w robocie"!

ZENON POROWATY

2

Z ręką w nocniku

Dwudziesty wiek, poza wszystkim innym, będzie się jeszcze na pewno charakteryzował niesamowitym przyspieszeniem czasu. Oglądałem kiedyś taki album, w którym na jednym zdjęciu widać było ulicę w roku 1910, a na drugim — tę samą ulicę w roku 1920. Minęło zaledwie 10 lat, a świat zmienił się nie do poznania. I jak na razie nic nie wskazuje na to, by stary wiek dwudziesty miał zamiar zwolnić. Gna gdzieś, nie wiadom dokąd, a każde jego dziesięć lat, to jakby sto w średniowieczu.

W naszym kraju przyśpieszenie także nie jest wcale takie najgorsze, choć nie w gospodarce i nowych pomysłach technicznych się ono objawia. W Polsce najszybciej zmiany następują w sposobie patrzenia na rzeczywistość, w naszej świadomości. Oto, na przykład, przed paroma miesiącami telewizja w niedzielne wieczory powtarzała serial „Dyrektorzy". Pamiętam, że w latach siedemdziesiątych, kiedy po raz pierwszy wyświetlany był ten film, było to wydarzenie. Film podobał się bardzo. Dziś natomiast ten obraz jest śmieszny, bo w błyskawicznym tempie stał się produkcyjniakiem lat siedemdziesiątych i bawi nas prawie tak samo jak filmy z okresu lat pięćdziesiątych.

Natomiast w ciągu mniej więcej ostatnich dwóch lat wszystko dookoła nabrało takiego tempa, że trudno doprawdy w tym się zorientować. Wcale nie tak dawno to było, gdy pisałem, że Polacy nie są w stanie się dogadać, a potem był „okrągły stół" i teraz znowu mamy „Solidarność". Co będzie dalej, nie sposób przewidzieć. Wiem tylko, że bawienie się w tym kraju w futurologa nie należy do zajęć zbyt bezpiecznych. Niejeden już pogubił się w swoich planach i do dnia dzisiejszego nie bardzo może się odnaleźć. Na przykład mój kolega przed kilkoma laty powiedział, a traktował to jako świetny żart, że jeśli w Polsce zaczną oficjalnie prosperować domy publiczne, to on w życiu swoim nie powie już złego słowa na rząd i komunistów. Teraz, kiedy coraz częściej mówi się, że taka możliwość jest brana pod uwagę, kolega jakby przycichł, niewiele się odzywa i na żarty już w ogóle nie ma ochoty. Bo tu naprawdę nie wiadomo, co się jeszcze może wydarzyć i dlatego lepiej uważać. A swoją drogą, czy może ktoś sobie wyobrazić Polaka, który nie psioczy na rząd? Toż to zgroza!

Obecnie jednak ważniejsze sprawy walą się na nasze głowy. Jedna z nich to na pewno uczenie się demokracji. Przyjęcie do wiadomości faktu, że może istnieć obok siebie wiele grup o różnych poglądach. Nie będzie to sprawą prostą, bo czterdzieści lat życia w konkretnych układach zrobiło swoje, ale próbować trzeba. I wierzę, że jest to możliwe. Oto ostatnio byłem u znajomych, którzy mają bardzo negatywny pogląd na obecne wybory. Oni po prostu nie chcą w tych wyborach wziąć udziału. Pogadaliśmy sobie, oni przedstawili swoje racje, ja swoje, nikt nikogo nie przekonywał i następnie w zgodzie się rozstaliśmy. Można wobec tego zadać pytanie: czy taka rozmowa miała jakikolwiek sens? Ależ oczywiście! Wymiana poglądów zawsze ma sens. Natomiast to, czy oni, czy ja miałem rację, pokaże dopiero czas. Ale nie znaczy to także, że trzeba usiąść z założonymi rękami i spokojnie patrzeć na mijający czas. Taka postawa na niewiele się zda, boć nagle możemy obudzić się z przysłowiową ręką w nocniku. A wtedy najczęściej ma się pretensje do wszystkich naokoło, tylko nie do samego siebie. Każdy więc, jak śpiewa Wojciech Młynarski, niech robi swoje.

Musimy również przyzwyczaić się do wszelkiego rodzaju złych stron, które niesie ze sobą demokracja. Bo przecież w każdym żywym organizmie, a takim przecież jest społeczeństwo i one być muszą. Słusznie w wywiadzie dla „Zeszytów Literackich" w roku 1983 Leszek Kołakowski stwierdził, że *„...nie istnieje wolność, za którą się nie płaci, że wolność jest wartością, która nieuchronnie będzie powodowała społecznie nieprzyjemne skutki (...). One być muszą. Nie mamy wyboru między światem doskonałym, gdzie jest wolność, a nie ma pornografii, ani możliwości rozpowszechniania absurdalnych czy społecznie szkodliwych idei, a światem, w którym żyjemy obecnie; pewne uciążliwe czy nieprzyjemne skutki demokracji trzeba znosić".*

Dlatego, na przykład, nie ma co rzucać się od razu z pięściami na jakąś grupę kobiet, która z transparentem „Precz z prezerwatywami" zablokowała kiosk, tylko spokojnie pójść i poszukać innego.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

3

Sport

Wyścig spokoju

Życie ma to do siebie, że pozwala idealizować przeszłość. Już starożytni Grecy wymyślili „złoty wiek" i było im z tym dobrze. U nas też idealizuje się przeszłość i to w różnych dziedzinach. W sporcie również. Gdy czytałam publikowany w „Odgłosach" wywiad z Jerzym Kulejem, to łza mi się w oku kręciła. Kiedyś to umieliśmy się bić. Mieliśmy bokserów. A dziś co? To samo można powiedzieć o kolarzach. Właśnie niedawno przeczytałam w „Sztandarze Młodych" wywiad ze Stanisławem Królakiem. To były czasy. To byli kolarze. A dziś co?

Dziś jest „dziwny wyścig". Oficjalnie nazywa się to „największą amatorską kolarską imprezą świata", ale faktycznie jest to wielki cyrk na rowerach.

Być może czegoś już nie rozumiem. Wiem, że świat się zmienia i, na przykład, na boiskach mistrzostw świata w piłce nożnej zaskakująco dobrze grają drużyny z Afryki czy Azji. Wiem, że tam sport się rozwija i przychodzi taki czas, gdy ze sportowcami z tych kontynentów trzeba się będzie liczyć i w tych dyscyplinach, w których do tej pory byli słabi. Bo w kilku dyscyplinach wiodą już prym bezapelacyjnie. Ale jakoś nie mogę uwierzyć, że Mongołowie, Syryjczycy i Chińczycy osiągnęli już w kolarstwie szosowym taki poziom, że mogą zagrozić „starym repom" ze wschodniej Europy: NRD, Polski, CSRS, ZSRR. Drużyn, które tradycyjnie od lat przewodzą w Wyścigu Pokoju. A tu nagle ucieczki i to udane podejmują kolarze z dalekich krajów.

Wyścig Pokoju ma swoją historię, legendę, tradycję. Do dziś ludzie wierzą, że Stanisław Królak przylał komuś pompką rowerową.

— „Może mi pan wierzyć — powiedział Januszowi Pinderze bohater Wyścigu Pokoju Stanisław Królak — nigdy nikogo nie uderzyłem pompką".

Zgodnie z prawdą próbował zaprzeczać, ale mu nie wierzono. Ludzie byli rozczarowani, że bohater legendy nie chce być bohaterem.

— „Gdy więc po raz kolejny usłyszałem — panie Stasiu, ale dobrze żeś mu pan przyłożył — przestałem zaprzeczać".

I tak utrwaliła się legenda. Ludzie odetchnęli z ulgą. Fajny chłop z tego Staszka Królaka. Bo ludzie kochają legendy i mity. Każda impreza musi mieć swój mit.

Wiem, wiem! Czasy się zmieniają, postęp nie omija kolarstwa. Sprzęt się doskonali. Dziś inaczej się już jeździ niż przed 20 laty. Drogi pokryte asfaltem, na bieżniach stadionów tartan położony, coraz częściej finiszuje się na ulicy, a nie na stadionie. I rowery są inne. Gdyby Stanisław Królak wówczas miał taki rower, jakie mają dziś kolarze, to by odpadł na pierwszych kilometrach. Ówczesne warunki wymagały innego sprzętu.

A doping? Wydaje się nam, że wówczas doping sztuczny nie mógł być znany. I mylimy się. Oto, co mówi na ten temat Stanisław Królak:

— „Mogliśmy się tylko domyślać. Wielu kolarzy szczególnie zachodnich jeździło wtedy na „koksie". Myślę, że kolarze NRD również. Na etapach czekały na nich skrzynki z mlekiem. Pili je litrami".

Inaczej było z czeskim kolarzem Ružičką. „Nie można było za nim jeździć, tak śmierdział eterem. To był jego prywatny doping".

I prawdą okazało się, że wówczas nagradzani kolarze handlowali nagrodami. A co mieli robić? Jak ktoś dostał na etapie szafę albo prosiaka? Tylko sprzedać. Gorzej, że niektóre nagrody... nie trafiały do kolarzy. Do Stanisława Królaka nie dotarł kupon materiału z Bielska-Białej, do Hindusa — dywan, a także Stanisław Królak zamiast nowego radia otrzymał jakiś podniszczony gruchot. Przykro robi się człowiekowi, gdy o tym czyta.

Wróćmy do współczesności. Jadą sobie kolarze przez Polskę, NRD, do CSRS wkrótce dojadą. Jadą spokojnie. Rozmawiają, śmieją się — być może dowcipy sobie opowiadają. Majówka. Brytyjczyk ma dwa balony założone na szyję, ku uciesze gawiedzi licznie zgromadzonej na szosie. A kolarze, aby rozbawić tłumy na trzy, cztery robią gimnastykę na rowerach. Ręce w górę, ręce w bok, ręce w górę, ręce w bok i ręce na kierownicę! Jedziemy dalej! Zabawnie to pewnie wygląda. Szkoda, że telewizja tego nie pokazuje. Cyrk jedzie przez NRD i niedługo znajdzie się w CSRS. Wyścig Spokoju. Bardzo długa majówka na rowerach w środkowej Europie. Pogoda jakoś sprzyja.

Zbigniew Spruch potłukł się w Berlinie i były wątpliwości, czy pojedzie do Drezna. Pojechał i na mecie był piąty. Sprawozdawcy telewizyjni przez długi czas robili wszystko, aby nie powiedzieć co sobie potłukł Zbigniew Spruch. On sam szczerze rzecz wyjaśnił, oświadczając, że bolał go strasznie lewy półdupek.

Telewizja, wbrew rzeczywistości, ciągle próbuje udawać, że nadal jest to taki sam Wyścig Pokoju, a jest to już zupełnie coś innego i ktoś musi powiedzieć wreszcie prawdę. Albo zreformować Wyścig Pokoju, aby stał się prawdziwą imprezą kolarską, albo... zakończyć tę imprezę, skoro już się przeżyła. Na coś trzeba się zdecydować.

BOGDA MADEJ

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

SKLEJKĘ, wodoodporną — kupię. 52-65-63. 30597-g

ŚCIĄGACZ bawełniany — sprzedam 43-61-27. 30221-g

SPRZEDAM videoodtwarzacze — 74-51-25. 30338-g

POJAZDY

PRZEDPŁATĘ 126p — odkupię. Chałupnictwo przyjmę. Listy 30454. Biuro Ogłoszeń, Piotrkowska 96.

MEDYCZNE

WP CENTROPOL — Zespół Psychologów-Logopedów-Pedagogów poleca usługi specjalistów w domu klienta. Diagnostyka, poradnictwo, korepetycje (kl. 0—III), inne. 55-70-27, 55-70-45 (8—15), 43-16-48 dni robocze 18—21. 22278-g

USŁUGI

EKSPRESOWA naprawa pralek automatycznych. Misiak 33-00-86 (8—11). 28925-g

ZE SLAJDÓW — negatywy, odbitki na materiałach zachodnich — wykonuje „Studium", Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskiej). Rycel. 31054-g

POŚREDNICTWO kupna-sprzedaży telewizorów, odtwarzaczy itp. 34-10-51. Trzuskowski. 29610-g

WYPOŻYCZALNIA magnetowidów 74-82-92 Woźniak. 23010-g

ZGUBY

ZAGUBIONO książkę ewidencji zakupów, Teresa Tłomakowska, Tomaszewicza 9/59. 30892-g

MATRYMONIALNE

ATRAKCYJNE oferty panów z RFN. „Samanta" 59-850 Świeradów Zdrój, skrytka 13. 30566-g

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II (17)

Zrób to, Kalina!

Jeśli ktoś lubi samochody, to znaczy, że lubi ruch. A jeśli lubi ruch, to lubi też motocykle i rowery. I nawet lubi biegać, o czym Duch przekonał się wiele lat później, kiedy musiał zrzucić czterdzieści kilogramów wagi, żeby nie umrzeć na zawał, i w tym celu biegał po pięć, dziesięć i piętnaście kilometrów dziennie, by po sześciu miesiącach, lżejszy o te czterdzieści, ładować dwadzieścia pięć kilometrów za jednym zamachem, i to bieganie trwało przez kilka lat — ale o tym później.

Owoż maszyneria, służąca do przesuwania się po płaszczyźnie ziemskiej, interesowała go pod każdą postacią, Trabant nie mniej niż Porsche. Wiedział, że po odejściu z „Zanzibaru" czeka go praca fizyczna, a — trzeba to jasno powiedzieć — nienawidził pracy fizycznej, która w jego mniemaniu jest zwykłym upodleniem człowieka, przypominaniem mu, że jest zwykłym, schwytanym w kierat zwierzęciem. Można by mieć zastrzeżenia do takich opinii na temat pracy fizycznej, podnoszonej do najwyższej rangi w latach radosnego budowania baśni, ale spójrzmy prawdzie w oczy: Jan Duch za młodu kopał ziemię dla elektrowni łódzkiej, nosił na plecach połówki świń i cielaków dla jakiejś rzeźni, wydobywał węgiel w kopalniach śląskich, pracował w hucie, na roli, a także boksował na ringu — wszystko to były zajęcia fizyczne, z których największe wymagania pod względem umysłowym i psychicznym stawiał oczywiście boks. Boks zawodowy jest bardzo trudną pracą, niedostępną ludziom ociężałym umysłowo i leniwym, jakich miliony widzimy przy innych zajęciach.

Co za sztuka być górnikiem? Kopaczem ziemi? Szoferem? Mechanikiem? Można wymienić tysiąc i kilka zawodów, które Jan Duch mógłby opanować w stopniu doskonałym w ciągu paru tygodni, może miesięcy. To, że niektóre z tych zawodów wymagają kilkuletniej nauki, można wytłumaczyć jedynie niskim poziomem umysłowym i słabym unerwieniem pobierających te nauki ssaków. To nie jest pogarda dla tak zwanych zwykłych ludzi, to jest naga prawda — należy czym prędzej wybudzić małych ludzi ze snu nieomal kataleptycznego, w który wprawiła ich powojenna propaganda. Stróż musi wiedzieć, że jego jedyną umiejętnością jest machanie miotłą, i musi wiedzieć ten stróż, że w sprawach większej wagi może się wypowiadać poprzez wolne, demokratyczne głosowanie, nie zaś poprzez codzienną demonstrację swojego stosunku do rzeczywistości, objawiającego się zresztą w niewyszukany sposób: pod postacią lenistwa, brudnych ulic i zasikanych klatek schodowych.

W Kanadzie szewc nie zazdrości biskupowi, że ten został kardynałem — a w Polsce tak, na takiej bezsensownej zazdrości i konkurowaniu nie przystających do siebie elementów polega piękno tak zwanego życia społecznego, jeśli ono w ogóle istnieje, bo przecież w tym stanie rzeczy jego istnienie jest utrudnione nadzwyczaj.

Owoż Jan Duch zna pracę fizyczną, a nie lubi jej dlatego, że ta praca po prostu go nudzi. Koledzy z Roncesvalles, w tym większość dawnych znajomych z Brukseli, poszli do fabryki Massey-Ferguson, żeby pracować na taśmie. Był wśród nich Jan K. z Rzeszowa, ongiś szef zarządu jakiejś dość operatywnej spółdzielni, był Krzysztof S., historyk z wykształcenia, wydawałoby się że inteligentny i niezależny duchem młody człowiek (obecnie redaktor dziennika polonijnego „Związkowiec", który po wyjeździe Jana Ducha do Polski opisał go w sposób zupełnie idiotyczny, jako „sługusa czerwonego reżimu") — poszli ci faceci na taśmę, na maszyny do sztancowania, pracowali wiele lat w ciemnych, dusznych i zapylonych halach — po co? Jaki im cel przyświecał? Czy taki S. nie mógł wcześniej postarać się o pracę w „Związkowcu"?

Jan Duch nie chciał iść do niewoli, do zamkniętych i dusznych i ciemnych i śmierdzących smarami kazamatów fabrycznych. Wiedział, że od zwykłej roboty się nie wymiga, ale niech to będzie robota w miarę swobodna, dająca jakąś przyjemność i niezależność.

Najpierw pani Polweis z Manpower posłała go na wyspę, leżącą na jeziorze Ontario tuż na wprost Toronto. Znajdował się tam klub jachtowy, Royal Canadian Yacht Club, taki „królewski kanadyjski" klub dla bogaczy. Duch miał zostać ogrodnikiem.

Ogrodnikiem nigdy jeszcze nie był i w jego pojęciu oznaczało to sadzenie kwiatków i podlewanie konewką albo z węża. Wielkie nieporozumienie! Była wiosna i drużyna ogrodników musiała usuwać zwalone przez zimowe wichury grube drzewa, ciąć je na kłody i nosić na brzeg, gdzie ładowano je na statek. To była ciężka robota, nie mająca nic wspólnego z ogrodnictwem. Potem trzeba było z wielkiego i bardzo głębokiego basenu pływackiego wyrzucić sterty piekielnie ciężkiej, namokniętej od śniegów i wciąż jeszcze zmarzniętej słomy, wypełniającej basen po brzegi. To już była naprawdę brzydka robota. Duch stał tam w dole godzinami, zapieprzał jak głupi i bał się przerwać choć na chwilę, bo nigdy nie wiedział, czy z góry nie obserwuje go supervisor. Po miesiącu rzucił tę pracę, choć płacono lepiej niż w „Zanzibarze": cztery i pół na godzinę. Ale denerwował go widok tych bogatych skurwysynów, którzy już o szóstej rano razem z ogrodnikami przyjeżdżali statkiem z Toronto, żeby relaksować się przy upiększaniu swoich jachtów, takie pieprzone ranne ptaszki, co to przedtem spały dwadzieścia godzin, i to nie same. Ubrani z nonszalancką, rozchełstaną elegancją, miękkie buciki, flanelowe spodnie, koszule po sto dolarów... Duch nienawidził ich, żeby mógł, to by podłożył bombę pod któryś z jachtów, a wiele z nich kosztowało drożej niż luksusowe domy.

W ogóle stosunek Ducha do Kanady, do tego nowego kapitalistycznego układu — był negatywny, i stawał się coraz ostrzejszy. Tu się nasze drogi — psychiczne — rozeszły. Ja przyjmowałem życie jak szło, owszem, miałem momenty depresji, ale krótkie, na ogół wystarczyło zadzwonić do kogoś, pogadać, obejrzeć żywy film (żywy, ale z trupami, im więcej śmierci, tym żywszy!), i już było dobrze. Z Duchem natomiast działo się źle, ponieważ przeżywał swój los na serio, brak mu było dystansu do samego siebie.

Wiecie, to jest tak: jeden przeżywa rozmaitości, jakby patrzył na film, w którym gra główną rolę. Dziwi się, zastanawia: no i dokąd cię jeszcze, nygusie, los zapędzi? Jak zareagujesz na to, co nastąpi? Wtedy jest zabawa, bo nie tylko życie obserwujemy, ale i siebie samych w tym życiu. Natomiast inni, i Duch do nich należał, w ogóle siebie nie widzą, nie są częścią składową świata, tylko innym, odrębnym światem. Tu oni — a poza powierzchnią ich skóry rozciąga się obcy świat, i na tym styku powstaje konflikt, ponieważ świat jakoś nie chce ułożyć się, przystosować niczym plastelina do kształtu tych ludzi. Do kształtu ich ciał, ich myśli, pragnień, wyobrażeń. To są niezbyt szczęśliwi ludzie.

Ja zdecydowałem się szybko wyrzucić stare obrazy, wiszące na ścianach mojego mentalnego mieszkania. Ba, zdrapałem nawet tynk z tych ścian, a po jakimś czasie rozwaliłem cały ten domek doszczętnie. Byłem wolny, mogłem zacząć wszystko od nowa — i zacząłem, po jakimś czasie orientując się, że wpadam w starą pułapkę nowych przyzwyczajeń, pragnień i mitów.

Jan Duch wyobrażał sobie, że do tego, co on nazywał życiem, trzeba bardzo wiele. Przede wszystkim pieniędzy. Ale właśnie pieniądze są zwierzęciem najtrudniejszym do upolowania dla większości ludzi!

Poszedł pracować na budowę, bo tam płacili dziesięć na godzinę. Kazali mu wbijać jakieś kołki w ziemię. Wbijał bez chwili przerwy przez kilka godzin, aż wreszcie kołków zabrakło, ciężarówka z kołkami miała nadjechać za chwilę. Więc Duch na tę chwilę usiadł na stercie desek. W mgnieniu oka znalazł się obok niego nadzorca.

— Hey, boy! — wrzasnął. — Tu się nie siada!

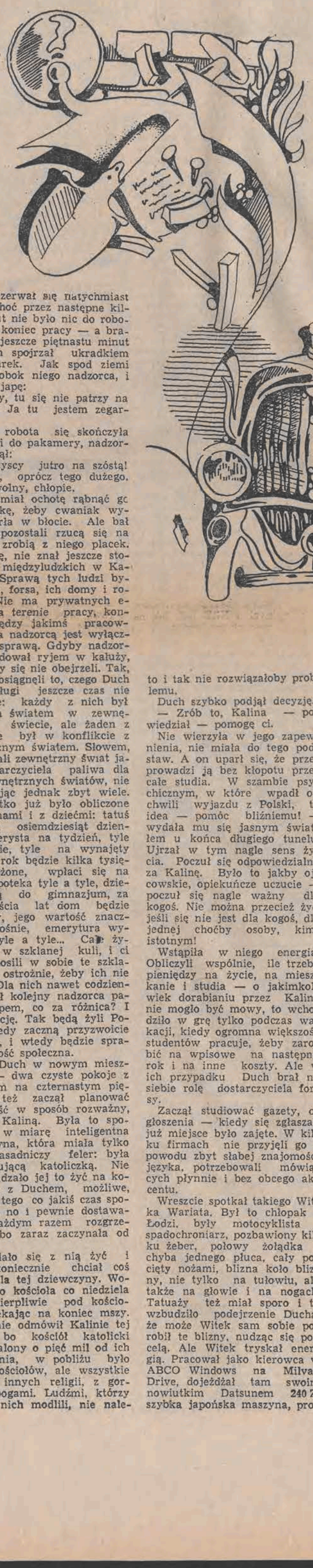

Duch zerwał się natychmiast i stał, choć przez następne kilka minut nie było nic do roboty. Pod koniec pracy — a brakowało jeszcze piętnastu minut — Duch spojrzał ukradkiem na zegarek. Jak spod ziemi wyrósł obok niego nadzorca, i rozdarł japę:

— Boy, tu się nie patrzy na zegarek! Ja tu jestem zegarkiem!

Kiedy robota się skończyła i wracali do pakamery, nadzorca ryknął:

— Wszyscy jutro na szóstą! Wszyscy, oprócz tego dużego. Jesteś wolny, chłopie.

Duch miał ochotę rąbnąć go w szczękę, żeby cwaniak wywinął orła w błocie. Ale bał się, że pozostali rzucą się na niego i zrobią z niego placek. Mylił się, nie znał jeszcze stosunków międzyludzkich w Kanadzie. Sprawą tych ludzi była praca, forsa, ich domy i rodziny. Nie ma prywatnych emocji na terenie pracy, konflikt między jakimś pracownikiem a nadzorcą jest wyłącznie ich sprawą. Gdyby nadzorca wylądował ryjem w kałuży, nawet by się nie obejrzeli. Tak, oni już osiągnęli to, czego Duch przez długi jeszcze czas nie zrozumie: każdy z nich był osobnym światem w zewnętrznym świecie, ale żaden z nich nie był w konflikcie z zewnętrznym światem. Słowem, traktowali zewnętrzny świat jako dostarczyciela paliwa dla ich wewnętrznych światów, nie wymagając jednak zbyt wiele.

Wszystko już było obliczone — z żonami i z dziećmi: tatuś przynosi osiemdziesiąt dziennie, czterysta na tydzień, tyle na żarcie, tyle na wynajęty flat, za rok będzie kilka tysięcy odłożone, wpłaci się na dom, hipoteka tyle a tyle, dzieci pójdą do gimnazjum, za dwadzieścia lat dom będzie spłacony, jego wartość znacznie wzrośnie, emerytura wyniesie tyle a tyle... Całe życie jak w szklanej kuli, i ci ludzie nosili w sobie te szklane kule ostrożnie, żeby ich nie potłuc. Dla nich nawet codziennie mógł kolejny nadzorca padać trupem, co za różnica? I mieli rację. Tak będą żyli Polacy, kiedy zaczną przyzwoicie zarabiać, i wtedy będzie sprawiedliwość społeczna.

Więc Duch w nowym mieszkaniu — dwa czyste pokoje z balkonem na czternastym piętrze — też zaczął planować przyszłość w sposób rozważny, wraz z Kaliną. Była to spokojna, w miarę inteligentna dziewczyna, która miała tylko jeden zasadniczy feler: była praktykującą katoliczką. Nie przeszkadzało jej to żyć na kocią łapę z Duchem, możliwe, że się z tego co jakiś czas spowiadała, no i pewnie dostawała za każdym razem rozgrzeszenie, bo zaraz zaczynała od nowa.

Ale dało się z nią żyć i Duch koniecznie chciał coś zrobić dla tej dziewczyny. Woził ją do kościoła co niedziela i stał cierpliwie pod kościołem, czekając na koniec mszy. Nigdy nie odmówił Kalinie tej posługi, bo kościół katolicki był oddalony o pięć mil od ich mieszkania, w pobliżu było wiele kościołów, ale wszystkie jakichś innych religii, z gorszymi bogami. Ludźmi, którzy się do nich modlili, nie należało pogardzać, po prostu byli nieświadomi. Tak samo twierdzili ci inni ludzie, i panowała ogólna zgoda między wyznawcami kilkuset konkurencyjnych bogów.

Kalina chciała pójść na studia. Wybrała sobie bardzo obiecujący kierunek: informatykę w połączeniu z zarządzaniem przedsiębiorstwami. To dawało duże nadzieje na przyszłość, ale studia były drogie i miały trwać cztery lata. Na stypendium Kalina nie mogła zbytnio liczyć, zresztą to i tak nie rozwiązałoby problemu.

Duch szybko podjął decyzję.

— Zrób to, Kalina — powiedział — pomogę ci.

Nie wierzyła w jego zapewnienia, nie miała do tego podstaw. A on uparł się, że przeprowadzi ją bez kłopotu przez całe studia. W szambie psychicznym, w które wpadł od chwili wyjazdu z Polski, ta idea — pomóc bliźniemu! — wydała mu się jasnym światłem u końca długiego tunelu. Ujrzał w tym nagle sens życia. Poczuł się odpowiedzialny za Kalinę. Było to jakby ojcowskie, opiekuńcze uczucie — poczuł się nagle ważny dla kogoś. Nie można przecież żyć, jeśli się nie jest dla kogoś, dla jednej choćby osoby, kimś istotnym!

Wstąpiła w niego energia. Obliczyli wspólnie, ile trzeba pieniędzy na życie, na mieszkanie i studia — o jakimkolwiek dorabianiu przez Kalinę nie mogło być mowy, to wchodziło w grę tylko podczas wakacji, kiedy ogromna większość studentów pracuje, żeby zarobić na wpisowe na następny rok i na inne koszty. Ale w ich przypadku Duch brał na siebie rolę dostarczyciela forsy.

Zaczął studiować gazety, ogłoszenia — kiedy się zgłaszał, już miejsce było zajęte. W kilku firmach nie przyjęli go z powodu zbyt słabej znajomości języka, potrzebowali mówiących płynnie i bez obcego akcentu.

Wreszcie spotkał takiego Witka Wariata. Był to chłopak z Łodzi, były motocyklista i spadochroniarz, pozbawiony kilku żeber, połowy żołądka i chyba jednego płuca, cały pocięty nożami, blizna koło blizny, nie tylko na tułowiu, ale także na głowie i na nogach. Tatuaży też miał sporo i to wzbudziło podejrzenie Ducha, że może Witek sam sobie porobił te blizny, nudząc się pod celą. Ale Witek tryskał energią. Pracował jako kierowca w ABCO Windows na Milvan Drive, dojeżdżał tam swoim nowiutkim Datsunem 240 Z, szybka japońska maszyna, prowadził wóz trzymając nogi na kierownicy, rękami machając do mijanych dziewczyn w samochodach, pędził ulicami setką, kierując tymi swoimi wariackimi nogami. Duch był mokry ze strachu, kiedy wreszcie dotarli do firmy, w której potrzebowano szofera. Tuż za bramą stał potężny, naładowany ramami do budowy domów Ford 700 „long bed", wysoki jak spora kaplica i tak samo pękaty. Duch wiedział, że jak się znajdzie w kabinie, to na pewno zacznie się modlić.

Szefem był Niemiec i natychmiast w Duchu zbudziły się wątpliwości, czy dobrze zrobił, że tu przyszedł. Ale pomyślał, że przecież Witek też jest Polakiem i ten Ginter go przyjął, więc może i jego przyjmie.

— Jak długo jesteś truck-driverem? — zapytał Ginter.

— Dwadzieścia lat — odparł Duch.

Niemiec spojrzał na jego dłonie, i uśmiechnął się. Wstał i kazał Duchowi iść za sobą. Wlazł po stopniu do wysokiej kabiny, zajął miejsce pasażera. Duch wsunął się za kierownicę.

— Ruszaj — powiedział szef. — Zobaczę, jak jeździsz.

Duch nigdy w życiu nie siedział w ciężarówce. Nawet jako pasażer. Patrzył na wielkie koło, na dziesięć zegarów na desce rozdzielczej, nie mógł nawet wzrokiem odnaleźć stacyjki. Była to chwila, w której zrozumiał, że popełnił błąd. Powinien najpierw pójść na kurs.

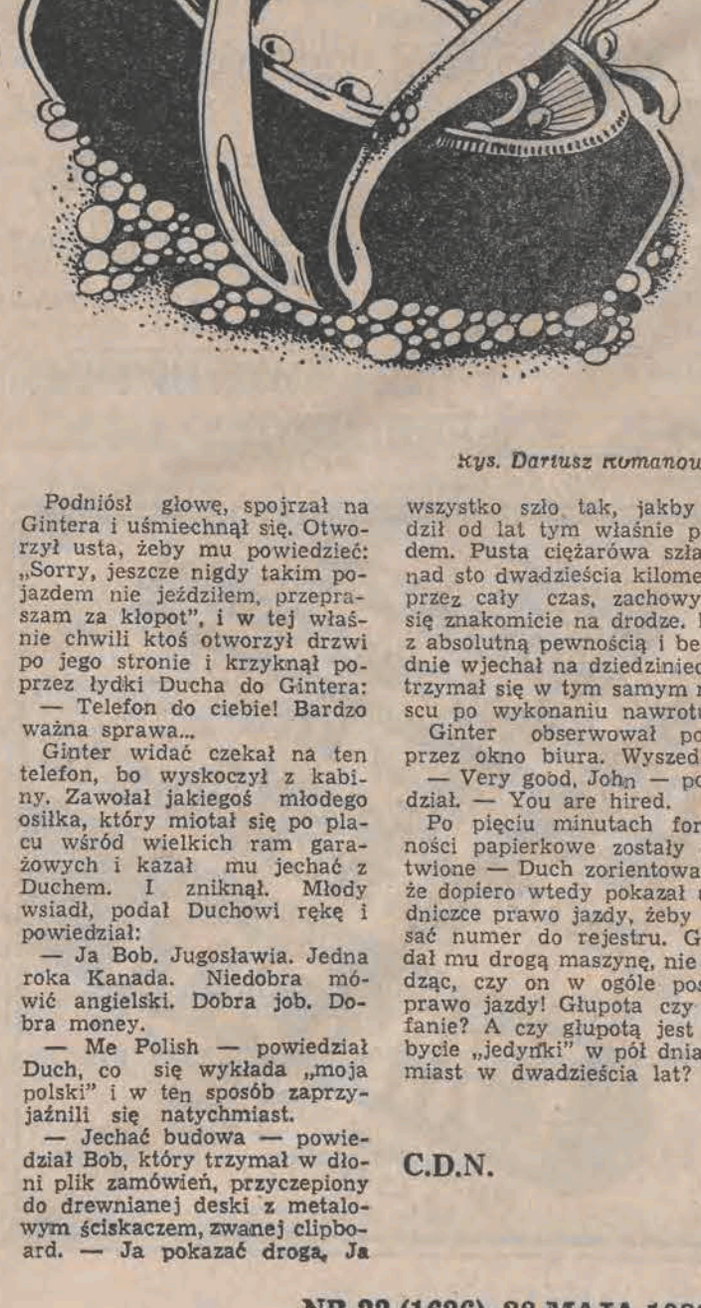

Kys. Dariusz Romanowicz

Podniósł głowę, spojrzał na Gintera i uśmiechnął się. Otworzył usta, żeby mu powiedzieć: „Sorry, jeszcze nigdy takim pojazdem nie jeździłem, przepraszam za kłopot", i w tej właśnie chwili ktoś otworzył drzwi po jego stronie i krzyknął poprzez łydki Ducha do Gintera:

— Telefon do ciebie! Bardzo ważna sprawa...

Ginter widać czekał na ten telefon, bo wyskoczył z kabiny. Zawołał jakiegoś młodego osiłka, który miotał się po placu wśród wielkich ram garażowych i kazał mu jechać z Duchem. I zniknął. Młody wsiadł, podał Duchowi rękę i powiedział:

— Ja Bob. Jugosławia. Jedna roka Kanada. Niedobra mówić angielski. Dobra job. Dobra money.

— Me Polish — powiedział Duch, co się wykłada „moja polski" i w ten sposób zaprzyjaźnili się natychmiast.

— Jechać budowa — powiedział Bob, który trzymał w dłoni plik zamówień, przyczepiony do drewnianej deski z metalowym ściskaczem, zwanej clipboard. — Ja pokazać droga. Ja być raz. Ja wszystko pamiętać. Jechać.

Nie było wyjścia. Duch musiał jechać. Pojawiła się ogromna szansa. Nie musiał kłamać temu chłopakowi. Nawet jak zrobi masę błędów, to przecież szybko złapie, o co chodzi. Najważniejsze są gabaryty tego domu na kołach. Żeby tylko o coś nie zawadzić...

Bob wyciągnął rękę. Pokazał stacyjkę, w której tkwił kluczyk.

Od tej chwili wszystko działo się jak w męczącym śnie. Potężna ciężarówa, wyładowana do granic możliwości wysokimi ramami — zaledwie pół metra niższa niż prześwit mostów nad autostradą — ciężka jak czołg, i świadomość Ducha, że jazda może się skończyć tragicznie... Duch zacisnął zęby. Niech się dzieje co chce — pomyślał — ten Ginter będzie odpowiadał, jak kogoś rozwalę. Bo nie sprawdził moich kwalifikacji. Jestem tylko biednym, nowym emigrantem i pragnę pracować. Nie popełniam żadnego przestępstwa...

I ruszył. Wyjechał z bramy ostrożnie, wmieszał się w tłum pojazdów, zmieniał biegi z podwójnym sprzęgłem i międzygazem — nie różniło się to od rajdowych sposobów, które znał jak własną dłoń.

Znalazł się na highwayu 401. Z chwili na chwilę Duch oswajał się z szerokością pojazdu, czuł się coraz pewniej między białymi pasami sześciopasmowej autostrady. Zaczął zmieniać pasy żeby wyczuć zachowanie pojazdu przy szybkości stu na godzinę — wtedy to było jeszcze sześćdziesiąt mil — a potem przyspieszył do siedemdziesięciu mil i tak trzymał, przesunąwszy się w highway 427, potem w Queen Elizabeth Way — kurs w jedną stronę wyniósł ponad sto kilometrów i kiedy dojechali do placu budowy, Duch skakał z radości i krzyczał:

— Kurwa! Zrobiłem to! Zobacz, Bob, pierwszy raz w życiu prowadziłem takiego potwora, i to w Ameryce, wśród tysięcy pojazdów i nikogo nie zabiłem! Cudownie!

Bob z trudem rozumiał angielski Ducha, który zresztą był znacznie lepszy niż jego, ale pojął, że był to pierwszy kurs zawodowy tego Polaka. Uściskał mu łapę i pogratulował, przyrzekając:

— No talk, Ginter, me shut-up, me friend.

— Nie mówić Ginter, moja trzymać mordę, moja przyjaciel. Znakomicie, Duch miał kumpla w nowej robocie, a to było na wagę złota. Wyładowali szybko ramy i Duch z radością wskoczył za koło. Teraz wszystko szło tak, jakby jeździł od lat tym właśnie pojazdem. Pusta ciężarówa szła ponad sto dwadzieścia kilometrów przez cały czas, zachowywała się znakomicie na drodze. Duch z absolutną pewnością i bezbłędnie wjechał na dziedziniec, zatrzymał się w tym samym miejscu po wykonaniu nawrotu.

Ginter obserwował powrót przez okno biura. Wyszedł.

— Very good, John — powiedział. — You are hired.

Po pięciu minutach formalności papierkowe zostały załatwione — Duch zorientował się, że dopiero wtedy pokazał urzędniczce prawo jazdy, żeby wpisać numer do rejestru. Ginter dał mu drogą maszynę, nie wiedząc, czy on w ogóle posiada prawo jazdy! Głupota czy zaufanie? A czy głupotą jest zdobycie „jedynki" w pół dnia, zamiast w dwadzieścia lat?

C.D.N.